



BARBARA KAYE

**W DRODZE DO
KALIFORNII**

Tytuł oryginału:
Love Me Tender



Russell Cade wjechał swą osiemnastokółową ciężarówką do bazy firmy Red Star Trucking i ostrożnie wprowadził ją na wolne miejsce parkingowe pomiędzy dwoma identycznymi maszynami. Uzpełnił jeszcze jakieś zapiski w karcie drogowej, sięgnął do tyłu na koję i zabrał stamtąd swoje rzeczy osobiste, a potem wyskoczył z kabiny. Zamykając drzwi, pogłaskał jeszcze namalowane w kształcie gwiazdy firmowe logo.

- Cześć, kochanie. Nie było nam ze sobą źle, prawda?
Jego zmiennik - potężnie zbudowany dobroduszy mąż-

czyzna imieniem Junior - okrążył przód ciężarówki i dołączył do niego, Starając się dotrzymać mu kroku.

- Wiesz co, Russ? Idę o zakład, że nie kończysz tak na amen z tą robotą. Odpoczniesz sobie trochę i wrócisz, no nie?

- Mylisz się, Junior. Naprawdę odchodzę. Od dawna mi to chodziło po głowie.

- Co? Kalifornia?

- Zgadłeś. Północne wybrzeże. Przez rok nie będę robił nic poza łowieniem ryb i gadaniem z sekwojami. A potem... to się zobaczy.

- Jak ci raz coś zajedzie do głowy, to już się potem tego trzymasz; no nie?

Minęło dziesięć lat od czasu, gdy Russell ujrzał po raz pierwszy północne wybrzeże Kalifornii. Złapali z Juniorem kurs z San Francisco do Oregonu. Urwiste brzegi, prastare drzewa, odludne, dzikie plaże, osobliwe, jak przeniesione z epoki wiktoriańskiej, miasteczka - wszystko to zauroczyło go od pierwszego wejrzenia. „Zamieszkać tutaj kiedyś” - oświadczył wówczas. Junior podśmiewał się z niego, ale od tego czasu każdy zarobiony przez Russella dolar - jeśli tylko nie musiał być wydany na życie - trafiał do kasy oszczędnościowo-pożyczkowej przedsiębiorstwa Red Star, jako lokata na przyszłe osiedlenie się w Kalifornii.

- Nigdzie nie natrafiłem na miejsce, które by mi się bardziej podobało, a wydaje mi się, że przez te ostatnie trzynaście lat obejrzelśmy obaj każdy centymetra pjezdnej drogi w tej naszej Ameryce Północnej - powiedział Juniorowi. - Ale myślę, że nawet gdybym nie zobaczył nigdy przedtem Kalifornii, to i tak dałbym sobie z tym spokój. Dostyc już mam takiego życia. Śmietnik mi rośnie od tego, jak siedzę po dzie-

sięć godzin za kółkiem, a potem się napcham żarciem w knajpach dla ciężarówkarzy i wpełzną spać do koi. Potrzebuję pożyć bardziej aktywnie.

- Gdzie ty tam masz, cholera, śmietnik? - zaprotestował Junior, gładząc swój własny, wydatny brzuch.

- Właśnie że początek już mam.

- Nie podoba mi się, cholera jasna, że odchodzisz. W życiu nie znajdę zmiennika, z którym by mi tak dobrze było w trasie jak z tobą.

- Na pewno sobie znajdziesz. - Russell uśmiechnął się szeroko. - Poszukaj jakiegoś młodego, zdrowego chłopaka i przyucz go, tak jak przyuczyłeś mnie. Na początku też nie byłeś mną zachwycony. Mówiłeś, że nic ze mnie nie będzie i że jestem gówniarz i popapraniec.

- Cholera, przecież to było dawno temu. Musiałem cię uczyć pokory, synu.

Przeszli na parking, każdy z nich wrzucił swoje rzeczy do własnego wozu i obaj przekroczyli próg biurowego budynku. Minęła już piąta. W środku prawie nikogo nie było. Długim korytarzem powędrowali do kantoru dyspozytora, gdzie Russell zostawił książkę wozu i po raz ostatni się podpisał.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytał Junior.

- Natychmiast.

- Znaczy, że... już dziś wieczór?

- Postaram się.

- Mam trzy dni wolne - powiedział Junior. - To jak raz skoczę do Muskogee zobaczyć się z tą wariatką, co to kiedyś za mnie wyszła. Zabierzesz się ze mną?

- Słuchaj, Junior, byliśmy w trasie przez okrągłe trzy tygodnie. Oboje z Sarą potrzebujecie pobyć ze sobą sami.

- Co ty, kurde! Nie jesteśmy świeżo po ślubie. Myślisz,

Że jak tylko wejść w drzwi, to od razu walimy do wyra?
Srebrna rocznica ślubu nam się zbliża, chłopie!
Russell pokręcił głową, udając zdumienie.

- Sara wytrzymała z tobą dwadzieścia pięć lat? Należy jej się za to medal.

- Rzadko kiedy naprawdę się widywaliśmy. Pamiętaj, Russell, to jest sposób na długie, szczęśliwe małżeństwo. Sara ucieszy się, jak cię zobaczy. Naprawdę nie chcesz do nas zjechać?

- Nie, bracie, dziękuję. Wolę się tu z tobą pożegnać. -
Russell wyciągnął do niego rękę.

Junior potrząsał nią tak, że omal nie pogniótł mu kostek.

- Nie zapomnij o mnie, dobra?

- Nie zapomnę. Trzymaj się, Junior!

- Trzymaj się, bracie. I pamiętaj: ze wzniesienia zjeżdżasz na tym samym biegu, na jakim wjechałeś pod górę.

- Dobra! Zapamiętam.

Russell odprowadził wzrokiem oddalającą się sylwetkę Juniora. Ogarnęło go nieoczekiwane poczucie straty. Nie spodziewał się, że tak trudno przyjdzie mu powiedzieć „do widzenia” temu staremu krogulcowi. Czekał dość długo. Kiedy upewnił się, że Junior zdążył już wsiąść do swego wozu i odjechać, wyszedł z budynku.

Po drodze do odległego o piętnaście mil od bazy miasteczka, w którym mieścił się lokalny college i gdzie wynajmował pokój, prowadząc wóz zastanawiał się, czy ma jakieś spóźnione refleksje, żale bądź wątpliwości. Nic podobnego jednak sobie nie przypomniał. Skończył trzydzieści siedem lat i mniej więcej połowę życia miał już za sobą. Jego jedynym domem był ten wynajęty pokój, w którym spędzał nie więcej niż trzy-cztery noce w miesiącu. Jego rodzice byli na emeryturze i mieszkali na Florydzie, a siostra z mężem w Atlancie.

Jemu nie udało się założyć rodziny. Miał żonę, ale nie potrafiło to dostatecznie długo, by cokolwiek z tego wynikło. Poza kupą rachunków do zapłacenia i mocnym postanowieniem, że dopóki nie skończy z zawodem kierowcy ciężarówki, nie będzie próbował powtórnie się ożenić.

Nie miał więc właściwie niczego poza tym złotym jajkiem w, kasie oszczędnościowej, masą kawalerskich wspomnień i gorącym pragnieniem, by osiedlić się w Kalifornii. Spędzanie życia na tym, na czym spędza go większość ludzi, było dla niego czymś tak obcym jak dla nich prowadzenie wozu na dziesięciogodzinne zmiany dzień po dniu. I dlatego też poprzedniego miesiąca, jadąc tak w środku nocy po pustej międzystanowej autostradzie, zdecydował po prostu, że wreszcie nadszedł czas. Myślał o tym i robił plany przez dziesięć lat, a teraz należało to wreszcie zrobić.

Pożegnanie z Juniorem rzeczywiście było trudne, ale reszta okazała się już łatwa. Nie był ani odrobinę przywiązany do swego pokoju ani do miasteczka Ozarks. Nie miał się tam z kim żegnać. Prawdziwych przyjaciół właściwie nie posiadał; jedynie dużo znajomych rozsianych po całym kontynencie. Jeśli istniał na świecie człowiek prawdziwie wolny i nie związany z niczym, to był nim on - Russell Cade. A teraz przyszedł czas, by i on zapuścił korzenie.

Rozejrzał się po swoim pokoju. Rzeczy zdążył spakować już poprzednio, zanim ruszyli z Juniorem w ostatnią wspólną trasę. Pozostało tylko zebrać je do kupy i oddać klucz właścicielowi, który życzył mu wszystkiego dobrego, nie kryjąc braku jakiegokolwiek zainteresowania. W ciągu ostatnich trzech lat, w trakcie których Russell opłacał tu czynsz, nie zamienili ze sobą więcej niż kilkadziesiąt słów. Wyszedł z budynku, wrzucił rzeczy do bagażnika i zatrzasnął klapy.

Ten wóz - czteroletni thunderbird - to jedyna ekstrawagancja, na którą pozwolił sobie w ciągu tych długich lat. Kiedy wyruszał w trasę, samochód czekał tutaj na niego, przykryty uszytym na miarę ochronnym pokrowcem. Sprawiało mu radość, ilekroć mógł powiedzieć, że prezentuje się on jak z salonu wystawowego - bez jednej rysy czy zadrapania. A teraz wystarczyło po prostu ruszyć nim na zachód.

Na noc zatrzymał się w Fort Smith, wynajął pokój w za droгим motelu, wypił parę drinków, zjadł wspaniałą - ale również za drogą- kolację. A potem oglądał do północy telewizję i usnął jak dobrze nakarmione, zadowolone dziecko. Rankiem obudził się jednak dręczony poczuciem, że wiszą nad nim nie dotrzymane zobowiązania rodzinne. Bardzo dawno nie odwiedzał siostry i jej dzieci.-Dzwonił do niej często i kilka razy - wtedy, gdy mógł zatrzymać się na chwilę w Atlancie - udało mu się spotkać z nią na lunchu na postoju dla ciężarówek. Ale nie pamiętał już, kiedy ostatni raz widział jej męża i swoich siostrzeńców. Kalifornia czekała na niego przez te wszystkie lata. Uznał, że tydzień wcześniej czy tydzień później - to zupełnie nie ma znaczenia.

Helen niezmiernie ucieszyła się z jego wizyty. Rzeczywiście dłużej tam nie był, niż przypuszczał. Jego siostrzeńcy - bliźniaki, które pamiętał jako małe dzieci - chodzili już do liceum, a szwagier - Ed - zaczynał łysieć. Russell miał zamiar spędzić tam dwa, najwyżej trzy dni; w rezultacie skończyło się na czterech. Helen bez ustanku wpychała w niego jakieś jedzenie, tak jakby była przekonana że od dawna się głodził. W rzeczywistości kierowcy ciężarówek - jako grupa zawodowa - są zapewne najbardziej przejadającymi się ludźmi na świecie. Nuda i monotonia na autostradzie sprawiają, że jedzenie jest czymś, na co czeka się z niecierpliwością.

Wyjeżdżając z Atlanty, ponownie przypomniał sobie o zobowiązaniach wobec rodziny. Skoro zajęwał już tak daleko, powinien ruszyć dalej na południe i odwiedzić rodziców w Pensacoli. Gdy się tam tylko zjawił, matka przez równą godzinę płakała ze wzruszenia, tatuś zaś ustawicznie poklepywał go po ramieniu. I znowu zaczęło się wmuszanie w niego domowego jedzenia. Spędził tydzień, leniuchując na basenie i powtarzając bez przerwy: „Dziękuję, mamó, ale naprawdę nie mogę już ani kęsa”. Udało mu się jakoś wyjechać z Florydy, zanim nie rozchorował się z przejedzenia.

Coraz bardziej pobłażał swoim zachciankom, pozwalał sobie na wiele przyjemności. Zaoszczędzony kapitałik, mający mu zapewnić wygodne życie, zaczynał szybko topnieć. Od trzech tygodni Russell bawił się świetnie, pił i jadł, co tylko zapragnął, przepuszczając pieniądze bez umiaru i sensu. A do tego wszystkiego oglądał po drodze dokładnie to samo, co uprzednio z szoferki ciężarówki: setki mil gładziutkiej autostrady i liczne przydrożne knajpki serwujące „fast food”. Dlatego też wyjeżdżając z San Antonio, zdecydował się na drugorzędne drogi. Nareszcie coś się zmieniło - miał okazję podziwiać piękny, pagórkowaty krajobraz, falujące pola uprawne i płaskie, połacie pastwisk. Im dalej na północny zachód, tym rzadziej spotykał jakieś miasta. Widywał teraz więcej krów niż ludzi, a wieże wiertnicze - ujęcia gazu ziemnego - nieregularnie rozrzucone w terenie - urozmaicały monotonię pejzażu. Często jego wzrok podążał gdzieś w nieskończoność, zatrzymując się na niczym konkretnym.

Okolo południa żołądek Russella - przyzwyczajony do posiłków w regularnych odstępach czasu - zaczął się głośno dopominać o swoje prawa. Co prawda wcześniej Russell postanowił zrezygnować z lunchu, ale teraz był skłonny zmienić

zдание. Sandwicz albo jakiś hamburger mógłby na razie wystarczyć; wieczorem zjadłby już tylko lekką kolację. Kłopot jednak w tym, że znajdował się na kompletnym odludziu i w zasięgu wzroku nie było żadnej kafejki ani restauracji.

Włączył radio, aby oderwać myśli od jedzenia. Właśnie minęło południe. Wysłuchał prognozy pogody.

Trzydzieści dwa stopnie w czerwcu! Nieźle. Ciekawe, co tu się dzieje w środku sierpnia. Dzięki Bogu nie będzie miał okazji sprawdzić tego na własnej skórze. Zabębnił palcami po kierownicy, zastanawiając się, kiedy w końcu dotrze do jakiegoś prawdziwego miasta. Wreszcie zatrzymał się, aby zatankować. Stacja benzynowa przypisana była małej wiosce, która sprawiała wrażenie, jakby istniała jedynie po to, by zaopatrywać w trunki okoliczne okręgi. Znajdowało się w niej pięć sklepów alkoholowych i jakiś mały magazyn wielobranżowy. Na drogowskiej tuż obok stacji widniał napis: „Leatrice 35 mil”.

- Czy to jest większa miejscowość niż ta tutaj? - spytał Russell, wskazując na drogowską.

- Prawie każda miejscowość jest większa niż ta tutaj.

- A czy znajdę tam jakąś kawiarnię albo restaurację?

- Oczywiście. Świeżo otwarta „Dairy Queen”. Jak tylko pan tam wjedzie, to po prawej.

- A po drodze do Leatrice niczego nie ma?

- Jest. Pięć czy sześć wiatraków.

Tina Webster wjechała do Leatrice i skierowała się na parking przed „Dairy Queen”. Było już bardzo ciepło, za ciepło jak na czerwiec; ten dzień na dobre zapowiadał prawdziwą letnią spiekotę. Dobrze zносиła gorąco - większość życia spędziła w upałach - ale teraz myślała, żeby tylko meteo-

rolodzy od prognoz nie pomylili się co do tego deszczu. Wszyscy cieszyli się z kwietniowych ulew, ale ta błogosławiona obfitość opadów nie trwała długo i od tamtej pory tylko czasami trochę pokropiło.

Zostawiła szyby w pikapie nie domknięte do końca, wysiadła z wozu i weszła do środka.

- Jak się masz, Marge! - Podeszła do baru. - Daj mi dwie tortille i dużą mrożoną herbatę.

Barmanka powtórzyła zamówienie, wołając na cały głos przez okienko do wydawania potraw, a następnie zdjęła z piramidy wielki kartonowy kubek i pokruszyła do niego lód.

- Jak ci idzie?

- Nie najgorzej.

- A co z twoim tatusiem?

- No... właściwie bez zmian.

- Przykro mi. To paskudna historia.

- No właśnie. - Tina postawiła swoją herbatę na dwuosobowym stoliku blisko baru i czekała na jedzenie. - Nie słyszałaś przypadkiem o kimś, kto szukałby jakiejś pracy?

- Nie bardzo. - Marge zmarszczyła brwi. - Wygląda na to, że każdy, kto szuka pracy, zmierza raczej prosto do Amarillo.

- Jakbyś coś wiedziała, to daj mi znać. W tym roku próbowałam już dwa razy kogoś zatrudnić ale z miernym skutkiem. Zdaje się, że nikt nie ma ochoty pracować na roli czy przy bydle, a Jake naprawdę ma strasznie dużo roboty. Bardzo by się przydało znaleźć dodatkową parę rąk. Robię, co mogę, ale lwią część czasu zajmuje mi opieka nad tatusiem.

- Wiem, że ci jest trudno. Jak tylko usłyszę o kimś takim, natychmiast mu o tobie powiem. - Marge postawiła papierowy koszyk z tortillami na kontuarze. - Chcesz pikantnego sosu?

- Tak, proszę.

Tina zabrała swoje jedzenie, usiadła przy stoliku i zaczęła się posilać. Była poza domem od wczesnego ranka i miała poczucie winy, że poświęca czas na delektowanie się tymi kilkoma kęsami; czasami wydawało jej się jednak, że jeśli nie wyrwie się na chwilę z tego domu, to zwariuje. Konieczność angażowania całego swego czasu i cierpliwości wywoływała w niej ten rodzaj emocjonalnego wyczerpania, którego trzydziestotrzyletnia kobieta nie powinna doświadczać.

Czyż to możliwe, że upłynęło dopiero osiemnaście miesięcy od czasu, gdy u Tima Webstera - jej cieszącego się niegdyś niespożytych zdrowiem ojca - rozpoznano chorobę Alzheimera? Wydawało się, że minęły od tamtej pory całe wieki! Teraz wiedziała co prawda, że pierwsze symptomy dały się zauważyć przynajmniej rok wcześniej, ale wtedy nie przejmowała się nimi, przypisując je jakimś innym przyczynom. Ojciec nigdy nie miał zbyt łagodnego usposobienia, w związku z czym wybuchy zdenerwowania traktowała jako „złe humory tatusia”. Stałe zaś zapominanie o wszystkim przypisywała wiekowi. Tyle że wkrótce zaczął nie poznawać ludzi, których znał od urodzenia. Wreszcie zdała sobie sprawę z tego, że on nie tylko zapomina, gdzie położył jakąś rzecz, ale również nie wie, co chciał z nią zrobić, gdy ją przypadkiem znalazł. Jego reakcje na codzienne wydarzenia stawały się coraz bardziej bezsensowne. Po pomoc medyczną zwróciła się jednak dopiero wtedy, gdy tatuś nie poznał jej samej - i wówczas po raz pierwszy usłyszała łaciński termin *dementiasenile*.

Potem przeszła przez kolejne, często opisywane, stany psychiczne: niedowierzanie, negowanie oczywistości, wściekłość, a wreszcie rezygnację. I poczucie żalu - żalu o to, że choroba ojca zepchnęła jej własne życie na boczny tor. Nie

miała najmniejszej ochoty na prowadzenie tego rodzinnego rancza. Była młoda i wolałaby pracować w mieście, gdzie mogłaby spotykać się z ludźmi i prowadzić jakieś życie towarzyskie. Ale samo myślenie o tym wywoływało w niej poczucie winy. Tym bardziej, że podczas ostatniej wizyty u lekarza w Amarillo nie zaoszczędzono jej kolejnego ciosu:

- Musisz być przygotowana, Tino - powiedział doktor - na to, że któregoś dnia nie będziesz w stanie zapewnić Timówi należytej opieki. Trzeba będzie umieścić go w zakładzie, gdzie zadbają o niego osoby przyuczone zawodowo do sprawowania opieki nad takimi przypadkami.

O Boże - pomyślała Tina - gdzie znajdę odwagę; by oddać tatusia do któregoś z tych zakładów? Poczucie winy przytłoczyło ją jeszcze bardziej.

Jak przez mgłę dotarł do niej dźwięk dzwonka przy drzwiach. Do kontuaru podszedł niespiesznie jakiś mężczyzna, coś zamówił, potem usiadł przy sąsiednim stoliku i czekał, aż podadzą mu jedzenie. Tina odruchowo zaczęła mu się przyglądać - przede wszystkim dlatego, że nie pochodził stąd. Niełatwo było określić jego wiek, choć wydało jej się, że ma około trzydziestu pięciu lat. Rzuciła jej się w oczy jego ciemna, spłowiała nieco od słońca czupryna i wyrazisty, bardzo pociągający profil. Ręce miał muskularne i nie wyglądał na człowieka, który utrzymuje się z pracy przy biurku. Gdy stał przy kontuarze, wydał jej się wysoki - mierzył zapewne powyżej metra osiemdziesięciu. Doszła do wniosku, że jest tu tylko przejazdem i zastanawiała się przez chwilę, skąd przybywa i dokąd jedzie. Widok nieznanym ludzi często wywoływał u niej ostatnio tego rodzaju myśli, wiedziała bowiem, że sama długo jeszcze nie będzie mogła nigdzie się stąd ruszyć.

- Czuje się pani jak w potrzasku? - spytał ją psycholog prowadzący zajęcia z grupą wsparcia, na które uczęszczała. Gdy przyznała, że rzeczywiście tak jest, uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Tego rodzaju odczucia są czymś normalnym. Proszę się ich w żadnym razie nie wstydzić. I proszę śmiało zwracać się o pomoc do rodziny, przyjaciół, do każdego, kto tylko jest w stanie jej udzielić. Żaden zwykły śmiertelnik nie może być przez dwadzieścia cztery godziny na dobę obarczony obowiązkami.

Nieznajomy ponownie przyciągnął jej wzrok. Przez długą minutę zdawał się uosabiać tego rodzaju wolność, jaka jej została odebrana. Po chwili jednak obruszyła się na siebie. Równie dobrze przecież mógł mieć żonę, pięcioro dzieci, zniechęconą pracę i długi nie do spłacenia.

Podniósł się właśnie z miejsca, gdyż Mafge wywołała jego ząttiówienie. Tak, rzeczywiście miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był dobrze zbudowany. No... może klamra paska zwisała mu trochę zanadto do dołu. Ale i tak sprawiał wrażenie silnego. Bawełniana koszulka z krótkimi rękawami opinała świetnie prezentujące się barki.

Sięgnął ręką do tylnej kieszeni džinsów, wyciągnął z niej portfel, zapłacił Marge i zaniósł jedzenie na swój stolik. Najwyraźniej wtedy dopiero po raz pierwszy zauważył Tinę i uśmiechnął się do niej.

- Halo!

-Halo!-odpowiedziała;

Ugryzła kęs placka, starając się trzymać go nad tekturowym talerzykiem.

Nieznajomy żuł swojego hamburgera. Sprawiał wrażenie zamyślnego. Przełknął i odwrócił się ku niej.

- Zawsze w czerwcu jest tu tak gorąco? - spytał.

- Nie, nie aż tak gorąco. Czekamy na deszcz.
- Jadąc tu, słyszałem faceta, który mówił, że może będzie padać.

- Zobaczymy. Burze są tu stale możliwe. Każdego popołudnia, aż do października.

- Parę dni ternu w Houston lało jak z cebra.

- Zabawne, że najwięcej deszczu dostaję, którzy zupełnie go nie potrzebują.

Bezsprzecznie są takie miejsca na świecie, gdzie wdawanie się w rozmowę z nieznanym w takim lokalu jak „Dairy Queen” może być czymś niestosownym, a nawet niebezpiecznym, ale wiejskie okęgi zachodniego Teksasu na pewno do nich nie należą. Przeciwnie - obcy przybysz może się tam raczej spotkać z nadmiarem życzliwości.

- Skąd pan pochodzi? - spytała Tina,

- Znikąd. - Russell uśmiechnął się. - Sam nie wiem, jak to pani powiedzieć. Dawno temu to byłem z Kansas. Potem z Arkansas.

- A gdzie pan jedzie?

- Do północnej Kalifornii.

- To musi być piękny kraj.

- Naprawdę piękny. Taki przynajmniej był, gdy go ostatni raz widziałem. Mam nadzieję, że wiele się nie zmienił.

- Czym się pan zajmuje?

- Byłem kierowcą ciężarówki przez kupę lat. Tyle, że aż mi się nie chce ich zliczyć. Zmęczyło mnie to w końcu i dałem sobie z tym spokój. - Ugryzł kolejny kęs hamburgera.

Tina odczekała chwilę, dając mu czas, by przełknął, i wtedy dopiero spytała:

- A więc jest pan w tej chwili bez pracy?

- Obecnie tak.

- A czy w północnej Kalifornii czeka na pana jakaś praca?

- Nie. Tak naprawdę, to w całym stanie nie znam żywej duszy. Jadę tam, bo jest to coś, co chciałem zrobić od dawna.

Tina poczuła, jak po jej skórze przeszedł lekki dreszcz. Może głupio o to pytać, ale...

- A nie interesowałaby pana tu jakaś praca? Mogłoby to być coś dorywczego, jeśli na tym właśnie by panu zależało.

- A co takiego miałbym robić?

- Mam ranczo dwadzieścia pięć kilometrów stąd.

- Obawiam się, że hodowla bydła to coś, na czym się absolutnie nie znam. - Russell pokręcił przecząco głową. - Obrabiałem kiedyś pola z pszenicą, ale z bydlęm nigdy nie miałem do czynienia.

- My także uprawiamy pszenicę, bawełnę i kukurydzę. Nie musiałby pan się zajmować bydlęm. Ono daje sobie samo radę, szczególnie o tej porze roku. A kiedy trzeba coś z nim zrobić, to Jake się tym zajmuje. Ale w gospodarstwie jest masa innej roboty. Maszyny wymagają konserwacji, płoty trzeba zreperować, zadbać o zasiewy kukurydzy. Rozpaczliwie potrzebują jeszcze jednego, a raczej może jeszcze dwóch ludzi. Gdybym tylko mogła ich tu znaleźć. Oferuję pięćdziesiąt dolarów dziennie, miły, czystutki pokój i najlepsze w obrębie kilkudziesięciu mil wyżywienie.

Russell dokładnie jej się przedtem nie przyjrzał. Zrobił to dopiero teraz. Nie była podlotkiem, ale ocenił, że jest młodsza od niego. I ładna - w taki naturalny, niepretensjonalny sposób, który przywodzi na myśl świeże powietrze i słońce. Włosy miała cudowne, sięgające do podbródka, lekko falujące, rdzawobrunatne, a oczy niesłychanie zielone, bez najmniejszej domieszki szarości czy złota. Można się

zapatrzeć w nie tak jak w górski strumień. Jej lewa dłoń spoczywała na stole i Russell zdążył zauważyć, że nie ma na niej obrączki.

Pięćdziesiąt dolarów dziennie, trzysta tygodniowo - zakładając, że niedziela na tym ranchu jest wolna. Za kółkiem zarabiał trzy razy więcej. No oczywiście, gdyby policzyć pokój i wyżywienie, to ta proporcja trochę by się zmieniła. Zainteresowany pracą nie był, ale bawiła go ta rozmowa. I po to, by nadal ją kontynuować, zapytał:

- A kogo jeszcze, prócz tego Jake'a, ma pani do pomocy?

- Nikogo. No... to znaczy, jest jeszcze Ruby, żona Jake'a, która pomaga w domu. Czasem również i w polu, jeśli jest to konieczne.

- A jak duży jest ten pani interes?

- Ma około pięciuset pięćdziesięciu hektarów - odpowiada Tina.

Russell zaczął się śmiać, sądząc, iż zażartowała sobie z niego, ale natychmiast zauważył, że jest śmiertelnie poważna.

- Pani i jeszcze jeden facet obrabiacie pięćset pięćdziesiąt hektarów?

- Och, czasem zatrudniamy kogoś, jeśli ktoś taki się znajdzie. I każdego lata najmujemy kombajny do zbioru pszenicy. Ale wszystko robi głównie Jake. Jak mówiłam, przy bydle przez większość roku nie ma właściwie dużo pracy, ale i tak jest potrzebna jakaś dodatkowa pomoc.

- Ze mnie nie byłoby chyba specjalnego pożytku, proszę pani.

- Czemu? Sprawia pan wrażenie sprawnego fizycznie.

A poza tym nikt nie wymaga podpisywania umowy na określony czas. Niechby to był tylko tydzień, i tak bardzo by nam

to pomogło. Jakby się panu nie spodobało, mógłby pan natychmiast odejść. Inni tak właśnie robili.

Nie zabrzmiało to obiecująco, pomyślał Russell. Warunki pracy mogłyby się okazać nie do zniesienia. Może właścicielka tego rancza była nie do wytrzymania jako szefowa? Choć w to właściwie trudno było uwierzyć. Gdyby musiał użyć jednego słowa, by ją określić, to mógłby to być przymiotnik „słodka”. Miała słodko brzmiący głos, słodki wyraz twarzy, tak jakby w jej głowie nigdy nie zagościła żadna zła myśl. Co oczywiście było niemożliwe, ale takie właśnie wywarła na nim wrażenie.

Tina natomiast modliła się w duchu, by się zgodził. Był on pierwszym nie pracującym mężczyzną, jakiego napotkała od kilku miesięcy, i nie mogła pozwolić, by się tak spokojnie oddalił. Nie mówiąc o tym, że wydał jej się kimś absolutnie wyrastającym ponad przeciętną: był porządnie ubrany, czysty, zachowywał się poprawnie. Na pewno można było na nim bardziej polegać niż na obieżyświatach, których uprzednio zatrudniała. Gdyby tylko zechciał dać im szansę.

Jej modlitwy, niestety, nie miały zostać wysłuchane. Przynajmniej przez chwilę wydawało się, że poważnie rozważa jej propozycję, w końcu jednak pokręcił głową i odparł:

- Przykro mi, proszę pani, ale praca na ranczu to akurat nie jest to, na czym mi teraz zależy. A także i ten kraj nie jest miejscem, w którym chciałbym się teraz zatrzymać. Za długo czekałem na tę moją Kalifornię.

Tina westchnęła z rezygnacją.

- Mam nadzieję, że szybko znajdzie pani kogoś innego - próbował ją pocieszyć.

- Ja też mam taką nadzieję. - Sprzątnęła pozostałości po swym posiłku i zaniósła je do kosza przy drzwiach.

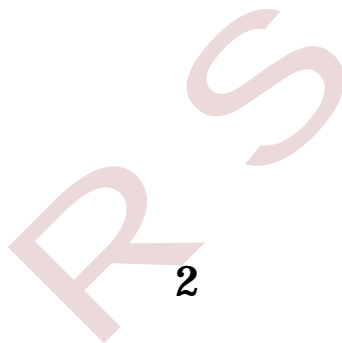
Nieznajomy znalazł się nagle tuż obok niej. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Na dworze było tak gorąco, że wszystkie zmysły buntowały się przeciwko temu.

- Miło mi było z panią rozmawiać - powiedział Russell, rozstając się z nią.

- Dziękuję. Szerokiej drogi, czy jak to się mówi...

Tina przyglądała się jego sylwetce, gdy szedł przez parking, a potem wsiadał do wymuskanego thunderbirda z arkansaską rejestracją. Trudno sobie wyobrazić, by mężczyzna będący właścicielem tej klasy wozu mógł być zainteresowany pracą, jaką miała do zaoferowania, pomyślała z kwaśnym uśmiechem. Thunderbird wycofał się, a następnie ruszył przed siebie. Nieznajomy pomachał jej na pożegnanie.

Tina, choć nigdy nie zamierzała prowadzić rancza, miała jednak instynkt ranczera. Siłą nawyku zlustrowała wzrokiem północno-zachodnią część horyzontu z nadzieją, że ujrzy zbierające się tam burzowe chmury. Ale niczego podobnego nie dostrzegła. Jeśli kogoś powinnam zatrudnić, pomyślała z westchnieniem, to raczej jakiegoś zdolnego zaklinacza deszczu.



Tina zatrzymała się jeszcze w aptece Foster'a, aby wziąć nową porcję leków dla ojca, a następnie skierowała się do domu. Droga, którą jechała, należała do łatwych. Było na niej zaledwie kilka zakrętów. Jeden z nich znajdował się o półtora kilometra przed bramą wjazdową na teren jej rancza. Szosa wznosiła się tani. łagodnym łukiem w górę i gdy Tina znalazła się na szczycie wzniesienia, zobaczyła, że zdarzył się jakiś wypadek. To było zderzenie furgonetki z samochodem osobowym.

Skrzywiła się z niechęcią. Kolidzja miała miejsce przy

wjeździe na farmę Higginsa, a znaczyło to tyle, że stary Willard musiał znowu wejść komuś w drogę. Zręczliwy, osiemdziesięcioletni farmer już dwa lata temu miał cofnięte prawo jazdy. Powodem był fatalny wzrok, ale to nie było w stanie powstrzymać go od ustawicznych prób prowadzenia samochodu. Ilekroć udało mu się wymknąć spod kurateli rodziny, ładował się do swego pikapa. A siedząc za kierownicą, stanowił śmiertelne zagrożenie dla siebie i innych. Rejestr zawinionych przez niego wypadków był legendą w całej okolicy.

Sądząc, że może się okazać pomocna, Tina zahamowała i zjechała na pobocze. I wtedy dopiero zauważyła arkansaskie tablice rejestracyjne samochodu, który uległ wypadkowi. O Boże, to ten człowiek z „Dairy Queen”, pomyślała. Furgonetka Willarda wyszła z tego bez żadnego zadrapania, a jednocześnie udało jej się jakimś cudem po mistrzowsku zdemolować prawy błotnik i przód Thunderbirda. Nieznajomy znajdował się w stanie tak skrajnego zdenerwowania, że należałoby go dla jego własnego dobra związać.

Russell był nieprawdopodobnie wściekły. Gdy to się stało, nie wierzył wprost własnym oczom, a i teraz jeszcze nie w pełni dotarło to do niego. Widział oczywiście tę furgonetkę i założył, że jej kierowca mu ustąpi, jako jadącemu drogą z pierwszeństwem przejazdu. Tymczasem ten stary osioł najspokojniej w świecie pojechał dalej i nawet nie zwolnił, wyjeżdżając z bramy na szosę. Sprawdzając szkody, jakie odniósł jego samochód, Russell czuł wzbierający gniew. Był pewien, że gdyby nie sędziwy wiek faceta, to natychmiast by mu przyłożył.

Jednocześnie był zrozpaczony. Przykucnąwszy, tępo przyglądał się pociętym blachom karoserii. Jego wóz, jego piękny wóz! Nawet najbardziej mistrzowska blacharka nie przywróci

go do stanu dawnej świetności.. Wprostował się i stał tak w tym oślepiającym upale, czując wściekłość, a zarazem zupełną bezradność, gdy usłyszał cichy kobiecy głos:

- Ojej! Ten śliczny samochód! To okropne!

Russell podniósł wzrok. To była ta sama kobieta, z którą rozmawiał w „Dairy Queen”.

- Co się stało? - spytała.

- Ten idiota wjechał prosto na mnie. Ot, co się stało!

Tina spojrzała na starego farmera.

- Willard, wiesz przecież, że nie wolno ci siadać za kierownicą.

- Chciałem tylko wyskoczyć na chwilę do miasta. Nie widziałem tego faceta.

- Jak mogłeś mnie nie widzieć?! - wrzasnął Russell. -

Przecież w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu wiadać wszystko na dwadzieścia mil dokoła!

- Willard nie widzi nawet na dwadzieścia stóp - wyjaśniła Tina. - Czy któryś z was jest ranny?

Obaj mężczyźni zapewnili ją, że nic im się nie stało.

- Musimy zawiadomić policję - przypomniała im.

- Ja się tym zajmę - rzekł Willard i zaczął gramolić się do swojej furgonetki.

Tina powstrzymała go.

- Nie rób tego, Willard. Nie wolno ci opuścić miejsca wypadku. Wróć do miasta i przyślę tu kogoś. Niech żaden z was nie oddała się stąd.

Russell westchnął zrezygnowany, ponownie zwracając wzrok na swój wóz. Mała szansa, żeby się stąd mógł w ogóle oddalić. Dlaczego nie trzymał się autostrady?

Tina wróciła po półgodzinie. Tuż za nią nadjechał Bob Louvin z miejscowego posterunku policji i Leon Shaw, wła-

ściciel zakładu naprawczego. Podczas gdy Bob zbierał niezbędne informacje i sprawdzał prawo jazdy Russella, Leon badał zniszczenia thunderbirda, kręcąc przy tym głową i wydając z siebie raz po raz jakieś syczące dźwięki.

Bob zwrócił Russellowi prawo jazdy.

- Przykro mi, że to się stało, panie Cade. Pan Higgins dostanie wezwanie do sądu. - Policjant zwrócił się teraz do farmera. - Przysięgam, Willard, że jeśli ciejeszcze raz złapię prowadzącego samochód, to masz u nas załatwiony nocleg w komisariacie. Oziębimy ci pięty na tym naszym klinkierze. Masz przy sobie ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej?

-Nie mam - odparł farmer.

- Dobra. Jedź do domu i znajdź je. Pojadę za tobą. I jak odstawisz już tę furgonetkę, to pamiętaj, żebyś nigdy więcej nie ważył się usiąść za kółkiem. Słyszysz?

Leon Shaw nadal kręcił głową. Russellowi nie podobał się wyraz twarzy mechanika.

- Tę zabaweczkę trzeba odnotować do Leatrice. Pogotowie drogowe zostało właśnie gdzieś wezwane, ale jak tylko będą wolni, to ich tu przyślę.

- A co ja mam do tego czasu robić? - spytał gorzko Russell.

- Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Chętnie bym pana podwiózł do miasteczka, ale nasze ubezpieczenie nie zezwala na wożenie pasażerów w firmowej ciężarówce. Natomiast pana wóz wstawię natychmiast do warsztatu i dam panu znać, co w nim zostało zniszczone.

Russell miał poważne obawy co do poziomu usług, jakie mogą być oferowane w takiej miejscowości jak Leatrice.

- Może lepiej odholować wóz gdzie indziej? - zasugerował. - Jak daleko jest do najbliższego miasta?

Leon przyjął to jako oczywistą obrazę.

- Dobrze, drogi panie. Oczywiście, można go zaholować do Amarillo. Ale tam - pogłaskał pieszczotliwie błotnik - nikt się nim tak nie zajmie.

- Leon naprawdę jest wspaniałym majstrem - wtrąciła się Tina. - Wielokrotnie korzystaliśmy z jego usług. Przykro mi, że się to stało, ale skoro już się stało, to lepszego miejsca niż warsztat Shawa pan nie znajdzie.

Russell najchętniej uderzyłby w coś z całej siły. Wszyscy wszystkiego żalowali, ale to nie posuwało jego spraw ani o krok. Wyjął chusteczkę i wytarł spocone czoło!

Ten gest ośmielił Tinę.

- Niedaleko stąd jest mój dom. Może by pan tam poczekał? Na pewno u mnie będzie chłodniej niż tutaj, a Leon skontaktuje się z panem telefonicznie. Odwiozłabym pana od razu do miasta, ale muszę najpierw sprawdzić, co słychać w domu. Potem Jake albo ja tam pana podrzucę.

Russell spojrzął na nią ze złością i dopiero po chwili uświadomił sobie, że ta kobieta w niczym nie przyczyniła się do tego, co się stało. Jest to po prostu z jej strony uprzejmość i należy spokojnie skorzystać z oferowanej mu pomocy. Po południowy skwar był nie do wytrzymania.

- Dobrze. Dziękuję, pani.

- Niech pan raczej zabierze swoje rzeczy z samochodu.

- Tak. Ma pani rację.

Opróżnił kufer i półkę pod deską rozdzielczą, oddał kluczyki Leonowi i wrzucił swoje rzeczy na skrzynię furgonetki. Następnie wsiadł razem z Tiną do szoferki.

Uśmiechnęła się do niego.

- No właśnie. Tak przy okazji. Nazywam się Tina Webster.

- A ja Russell Cade. Chciałbym móc powiedzieć: „Jakże

miło cię poznać, Tino". I w innych okolicznościach na pewno bym to zrobił.

- Wiem przecież. Co za wstyd! Ktoś naprawdę powinien trzymać Willarda z dala od szosy. - Przekreśliła kluczyk w stacyjce i wyjechała na drogę.

Okolica była tak płaska, na jaką wyglądała z daleka, zauważył bez specjalnego zainteresowania Russell. Gdy Tina skręciła z szosy i przejechała przez bramę, która obwieszczała, że tu zaczynają się tereny Webster Hereford Ranch, dostrzegł liczne arroyos - zwane tak z hiszpańska rowy melioracyjne. Wszystkie były suche, bez kropli wody na dnie. Droga, która wydała mu się z daleka gładka jak stół, w istocie przypominała raczej tarkę, co w niczym zdawało się nie przeszkadzać Tinie. Gnała furgonetką po wybojach jak szalona, wznosząc za sobą tuman wysuszonego piachu, wyglądający jak miniaturowe tornado.

Dom, do którego podjechali, był taki sam jak większość ranczerskich siedzib zbudowanych w latach dwudziestych i trzydziestych: piętrowy, z krytą, przylegającą do całej bocznej ściany werandą. Budynek, z wyjątkiem ceglanej podmurówki, był cały biały i stał w otoczeniu wspaniałych starych topoli. Na zapleczu widoczne były jakieś inne zabudowania oraz usytuowane między nimi wiatrak-przepompownia i zbiornik wodny. Garstka tych budowli wyrastała samotnie wśród morza traw, jak flotylla rybacka na oceanie. Tina zaparkowała furgonetka za dżipem i niebieską małą limuzyną, po czym oboje wysiedli z szoferki.

Weszli do domu przez tylne drzwi, które prowadziły do przestronnej, ładnej kuchni. Na jej środku stał okrągły, dębowy stół z ustawionymi wokół niego sześcioma krzesłami. To

pomieszczenie przypomniało Russellowi kuchnię w Kansas z okresu jego dzieciństwa. Do czasu zresztą, gdyż po chwili spostrzegł coś bardzo dziwnego. Wszystkie szuflady i drzwi szaf miały oznaczenia: „Kubki”, „Sztućce”, „Ściereczki” i tak dalej. Dostrzegł również, że na niektórych szafach wisiały kłódki. Może chodziło o jakieś dzieci?

Przy zlewie stała siwowłosa kobieta o wydatnym biuście. Na dźwięk otwieranych drzwi, odwróciła się.

- A więc już jesteś z powrotem - powitała Tinę, z nie ukrywaną ciekawością przyglądając się Russellowi.

- Ruby, przedstawiam ci Russella Cade'a - powiedziała Tina i zrelacj onowała pokrótce jego nieszczęśliwą przygodę.

- Bardzo źle się stało - skomentowała Ruby. - Trzeba coś zrobić z tym Willardem, zanim pozabija połowę mieszkańców naszego okręgu. Chcesz coś do picia, Russell?

- Dziękuję, Ruby.

- No i jak sprawy stoją? - zwróciła się do starszej kobiety Tina.

- Nie za dobrze. Nie mogę powiedzieć, że mieliśmy tu przyjemny ranek.

- Gdzie on teraz jest?

- W salonie. Bardzo nie w humorze. Bardzo. - Ruby podkreśliła wymowę swoich słów przesadnym wzruszeniem ramion.

- Przepraszam, że zostawiłam cię samą - rzekła Tina.

- Nie możesz tu siedzieć bez przerwy - odparła Ruby.

Russell stał na uboczu, zupełnie nie Rozumiejąc tej wymiany zdań. Nic jednak nie powiedział,

- Gdzie Jake? - pytała dalej Tina.

- Przed chwilą był za domem i grzebał coś przy ciągniku; Ledwie przebrzmiały te słowa, a tylne drzwi otworzyły się

i do kuchni wszedł Jake Yearwood. Był to żyłasty mężczyzna w wieku tuż przed sześćdziesiątką, szczupły i silny, o ciemnych, przetykanych siwymi pasmami włosach. Wokół oczu miał kurze łapki od ustawicznej pracy na słońcu i całą twarz poorly zmarszczkami.

- Miło mi poznać - pozdrowił Russella, wymieniwszy z nim uścisk dłoni. - Skąd przybywasz?

- Pracowałem ostatnio w Arkansas. Przez kupę lat.

Wysłuchawszy relacji Tyny o wypadku, Jake nachmurzył się.

- Dlaczego ci jego wnukowie nie schowają mu raz a dobrze tych cholernych kluczyków?

- Słyszałam, że tak właśnie robią, ale od czasu do czasu ktoś je zostawi na wierzchu i Willard je znajduje.

- Jak może je znaleźć, skoro nic nie widzi? Nic z tego nie rozumiem - zdziwił się Jake. Podeszedł do zlewu, napił się łyk wody, pieszczotliwym gestem poklepał Ruby po biodrze i ruszył z powrotem ku drzwiom. Zatrzymał się w pół drogi i spojrzał na Russella. - Robię objazd gospodarstwa. No i jak, młody człowieku, wybierzesz się ze mną, czy wolisz zostać tu i paplać z kobietami?

Russell rozważał propozycję. Telefon może być nie wcześniej niż za godzinę. Towarzystwo Jake'owi w objeździe gospodarstwa nie było specjalną atrakcją, ale równie nieciekawa wydawała się perspektywa siedzenia w kuchni i przysłuchiwania się rozmowie kobiet.

- Dobra. Chętnie przejadę się z tobą.

Gdy mężczyźni się oddalili, Tina udała się na poszukiwanie ojca. Znalazła go śpiącego w swoim fotelu w salonie. Tim sypiał dużo, być może zbyt dużo, ale gdy spał, to przynajmniej nie trzeba było go pilnować. Tina zdawała sobie sprawę

z tego, że jednym z powodów, dzięki którym mogła tak długo trzymać go w domu, było położenie ich rancza. Większość pacjentów z demencją miała skłonność do wędrowania przed siebie i Tim nie był pod tym względem wyjątkiem. Ale tu, gdy nawet gdzieś odszedł i zapomniał, gdzie jest - co często się zdarzało - to i tak nie mógł zginąć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby musiała się nim opiekować w mieście. Tam na pewno mógłby w czasie tych swoich wędrówek zrobić sobie jakąś krzywdę. Trzeba byłoby chyba go trzymać pod kluczem. Tu natomiast największy kłopot polegał na tym, by nie spuszczać go z oka i jednocześnie wymyślać dla niego jakieś zajęcia wymagające minimum koncentracji. Tina po cichu wróciła do kuchni.

Ruby siedziała przy stole i łuskała fasolę. Tina usiadła naprzeciw niej.

- Daj, pomogę ci. Opowiedz, co było z tatusiem.

- Tim najpierw dał nieźle w kość Jake'owi, kiedy ten pomagał mu się ubierać. Powiedział, że chce zostać w pidżamie. Przypomniałam sobie, że ty się na to nigdy nie zgadzałaś, wyjaśniłam więc Timowi, że musi wziąć przysznic, ogolić się i przebrać w przyzwoite ubranie. Boże! Jak on wtedy się wściekł! Nawymyślał mi od starych wieźm, krzyczał, że się panoszę i zapowiedział, że się będzie ubierał tak, jak mu się żywnie podoba. I tak dalej...

Tina westchnęła i smutno pokręciła głową.

- Nie powinnam wyjeżdżać z domu, zanim nie namówiłam go, by się ubrał. Ruby, naprawdę cię przepraszam, że musisz to wszystko znosić, ale jeśli zdarza się coś takiego, to pamiętaj, że... to nie tatuś mówi, tylko...

- Wiem o tym. Pewnie, że mi trudno przychodzi słuchać, jak Tim mówi coś takiego po tych wszystkich przepracowa-

nych tu latach, ale staram się zrozumieć, że to po prostu choroba.

- Czasem wydaje mi się, że to, co jest w tej chorobie najgorsze, to właśnie zmiana jego osobowości.

Ruby podniosła na nią wzrok.

- A mnie się wydaje, że najgorsze są zmiany w twojej osobowości. Kiedyś byłaś taka pogodna i wesoła.

- Daj spokój, Ruby! Przestałam być pogodna i wesoła od dnia, w którym znalazłam mojego drogiego męża targanego namiętnością do Mazie Stephens. Bądźmy uczciwe.

Obie kobiety pracowały przez chwilę w milczeniu. Coraz szybciej poruszały się tylko ich palce.

- Prawdziwy wstyd, że to tylko ty musisz się zajmować Timem - odezwała się wreszcie Ruby. - Twoja siostra mogłaby się też do tego przyłożyć.

- Zwykle tak to się kończy, że jedna osoba w rodzinie zostaje takim głównym opiekunem - powiedziała Tina. - Mówiono nam o tym na jednym ze spotkań grupy wsparcia. Mo i musimy pamiętać, że Becca ma swoją własną rodzinę.

- Ma również pieniądze. Może wynająć kogoś, kto przez kilka dni popilnowałby jej dzieci. Albo może je zostawić z matką. Nie rozumiem też, dlaczego Joan od czasu do czasu nie mogłaby ci w czymś pomóc. W końcu Tim przez piętnaście lat był jej mężem. I to całkiem przyzwoitym. Nie jego należy winić za to, że nienawidziła życia na wsi. Wiedziała chyba, za kogo wychodzi, prawda? - Ruby prychnęła, dając t wyraz swej niechęci. - Becca i Joan powinny ci pomóc, tylko

najwyraźniej nie stać ich na to.

Tina nic nie odpowiedziała. Nie miała ochoty wiecznie - bronić siostry i matki. Oczywiście, kochała je obie, ale prze-

cież nie była ślepa. Jedna i druga interesowały się wyłącznie sobą.

- Wiem swoje - uparcie drążyła Ruby. - Powinnaś powiedzieć siostrze, że ma przyjeżdżać na parę dni chociażby po to, żebyś ty mogła czasem się stąd wyrwać.

- Boję się, Ruby - odparła Tina z uśmiechem - że gdyby przypadkiem się zgodziła, to znalazłabyś się tutaj z dwiema niepełnosprawnymi osobami na głowie. - Zaczepnęła z worka jeszcze trochę fasoli. - Rozmawiałaś dziś z Connie? - spytała, mając na myśli córkę Ruby, która mieszkała w Clarendon.

- Uhm. Dzwoniła dziś rano.

- Co u niej słychać?

- Boryka się z kłopotami - rzekła Ruby.

- No, na pewno ma teraz masę kłopotów.

Connie wraz ze swym mężem Johnem, po piętnastu latach bezskutecznych starań o własne potomstwo, adoptowali trójkę sierot z Boliwii. Całą rodzinę: chłopczyka i dwie jego siostrzyczki. Tina była przekonana, że znaleźli się nagle w takiej sytuacji, jak ktoś, komu zamiast jednego dziecka urodziły się trojaczki. Oboje byli nauczycielami, ale teraz Connie musiała zrezygnować z pracy, by móc poświęcić swój czas dzieciom. Uczyła się nawet hiszpańskiego, chcąc lepiej się z nimi porozumiewać.

- Connie to wspaniała kobieta - powiedziała z podziwem Tina.

- Robi po prostu to, co wszystkie robimy, kiedy to na nas przyjdzie.

Znowu pracowały obie w milczeniu. Tina wiedziała, że zarówno Ruby, jak i Jake próbowali wyperswadować Connie tę adopcję, uważając, że trójka dzieci to o dwoje za dużo. Ale ich córka okazała się nieustępliwa, być może z obawy o to, że następna taka okazja może jej się już nie zdarzyć. Z różnych

pólsłówek wynikało jednak, że nie wszystko układało się tak gładko, jak z początku się wydawało.

- Ona musi czuć się strasznie uwiązana, po tych wszystkich latach, gdy nie mieli dzieci.

- Na pewno nie jest do tego stopnia uwiązana co ty, Tino - burknęła Ruby.

- Ale ja mam ciebie, a to ogromna różnica - odparła Tina i nagle spostrzegła, że Ruby dziwnie jakoś na nią popatrzyła.

- Precz stąd! - wrzasnął Jake. - Wynos się!

Russell siedział w dżipie jak sparaliżowany, śledząc to niewiarygodne przedstawienie. Przedmiotem złości Jake'a był czarno-biały, śliniący się z wściekłości byk, który jak nic musiał ważyć około tony.

Było późne popołudnie. Wracali właśnie do domu, gdy na jakimś położonym na jego zapleczu polu natknęli się na niewielką część stada. Jake, który potrafił używać dżipa z taką wprawą, z jaką kowboje używali koni, zaczął zaganiać bydło do środka, a gdy byk znarowił się i zastąpił im drogę, nacisnął na hamulec i zatrzymał nagle wóz. Po czym - ku zdumieniu Russella - zeskoczył na ziemię, wyciągnął z tylnego siedzenia jakąś witkę i ruszył w kierunku zwierzęcia.

- Słyszałeś, co mówiłem?! - wrzeszczał Jake. - Wynos się, ale to już! - Zamachnął się i mocno uderzył witką byka prosto w zad.

Olbrzymie zwierzę parsknęło gniewnie i uniosło łeb do góry. Russellowi serce podskoczyło do gardła. Był pewien, że za chwilę będzie świadkiem tragedii. Byk buntowniczo wyprężył ogon, prychnął ponownie i rozstawił szeroko nogi. Następnie pochylił łeb, jakby szykował się do szarży.

- Precz stąd! - wydarł się ponownie Jake i zdzielił byka przez grzbiet.

Tym razem uderzył go tak, że aż echo poszło. I nagle, na oczach zdumionego Russella, stary byk zawrócił i dołączył do stada.

Jake wsiadł do dżipa, wrzucił bieg i ruszył do przodu.

- Trzeba było im pokazać, kto tu jest szefem - stwierdził lakonicznie.

- Nie bałeś się tego byka?

- Nie. Taki tam uparciuch. Lubi mnie od czasu do czasu sprawdzić.

Russell pomyślał, że Jake jest facetem, któremu nie należy wchodzić w drogę.

A w ogóle było to interesujące popołudnie. Znacznie bardziej interesujące, niż to sobie wyobrażał. Prowadzenie takiego rancza okazało się bardziej skomplikowanym przedsięwzięciem, aniżeli przypuszczał. Jake właśnie opowiadał mu o tym, że gospodarstwo Websterów było kiedyś trzy razy większe i głównie nastawione na hodowlę cieląt, a teraz dopiero pszenica, bawełna i kukurydza stały się tak samo ważne jak bydło.

- Musimy wynajmować sprzęt do żniw. W takim wielkim gospodarstwie nie opłaca się zamrażać stu tysięcy dolarów w kombajnie - tłumaczył. - Tim'na pewno wściekał się, widząc, jak pierwszy raz wjeżdżają tu na żniwa. To ojciec Tiny. Wiesz, on był takim hodowcą bydła w starym stylu. Zawsze mawiał, że wolałby w biały dzień przejść z gołą dupą przez Leatrice, niż wpuścić pług na swoje pastwiska. Ale teraz z samych krów się nie wyżyje. Nie da rady.

- Rzeczywiście myślałem, że zobaczę tu więcej bydła - zauważył Russell.

- Bo jest go więcej, ale w stacjonarnych hodowlach, gdzie banda specjalistów od żywienia decyduje o tym, co powinno dostawać do żarcia. Im właśnie sprzedajemy nasze zboże. Nie jest to takie romantyczne, jak stada na otwartej przestrzeni, ale biznes podobno lepszy.

Dżip podskakiwał na wybojach.

- Jak długo tu jesteś, Jake?

- Ja? Od urodzenia. Pięćdziesiąt osiem lat.

- Założę się, że znasz tu wszystkich w okolicy.

- Około osiemdziesięciu siedmiu procent.

Russell zastanawiał się, w jaki sposób Jake doszedł do takich precyzyjnych ustaleń.

- Pochodzą stąd jacyś sławni ludzie?

- No pewnie. Jest jeden generał, pewien bankier w Dallas, nafiarcz z Midland i lewy skrzydłowy z drużyny „Texas U”.

Aha, i także facet, który grał na skrzypcach u Haggarda.

- To imponujące.

- No, mamy też oczywiście takich, co wylądowali w więzieniu. I takich, co tam jeszcze nie siedzą, chociaż powinni.

O kurna! Patrz!

- Co się dzieje?

Wzrok Russella podążył za wskazującym palcem Jake'a. Północne niebo było przeraźliwie czarne. Krajobraz nagle stał się jakiś niesamowity. Za nimi i wszędzie na południu niebo było błękitne. Płynęły po nim białe, kłębiaste obłoki. Podświetlało je chylące się ku zachodowi słońce, tworząc w ten sposób spektakularny widok. W kontraście z tym, czarny wał chmur wyglądał wyjątkowo złowrogo. Toczył się ku nim z niepokojącą prędkością.

- Z tego może nieźle dmuchnąć. I to szybko - oznajmił Jake.

Russell spojrział na niego nerwowo.

- Co to znaczy „nieźle dmuchnąć”?

- Nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza o tej porze roku.

Może się w tym maleństwie skrywać jedna albo i dwie trąby powietrzne.

Powiedział to jakby od niechcienia, ale Russell zauważył, że nacisnął jednocześnie trochę mocniej na gaz.

Leon Shaw zdążył zatelefonować, zanim wrócili do domu, tak że Russell mógł ód razu oddzwonić. Wieści nie były pomyślne. Thunderbird miał uszkodzenia ramy i niektóre części trzeba było zamówić w fabryce. Leon nie mógł ich dostać w Amarillo. Zanim zostaną przysłane, upłynie minimum osiem do dziesięciu dni roboczych. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, potrzebny będzie tydzień na reperację, piaskowanie i lakierowanie karoserii. Russell nie mógł sobie darować, że miał takie parszywe szczęście. Co on, do diabła, ze sobą pocznie w tym Leatrice przez przeszło dwa tygodnie?

Po odwieszeniu słuchawki spostrzegł, że Tina wygląda przez kuchenne okno z nachmurzoną miną.

- Russell! Zabierz lepiej swoje rzeczy z furgonetki. Zdaje się, że ta obiecana burza rzeczywiście nadchodzi.

- Słuchajcie, kochani! Nie mogę nadużywać waszej gościnności. Wygląda na to, że jestem tu uziemiony na dwa tygodnie albo i dłużej. Tak więc najlepiej będzie, jeśli wrócę do miasteczka i rozejrzę się za jakimś pokojem.

- Oczywiście. Będiesz mógł pojechać gdzie chcesz, ale po burzy - odparła Tina. - A poza tym Ruby przygotowała kolację również z myślą o tobie. Zabierz swoje rzeczy. A gdyby burza miała potrwać całą noc, to mamy dodatkowy pokój.

- To bardzo miło z twojej strony, ale...

Ruby uciszyła go, rzuciwszy gniewnie przez ramię:
- Zdaje się, że nie wiesz, jakie u nas panują zwyczaje.
My się troszczymy o innych. Szczególnie o nieznanym, którzy są w biedzie.

Russell uznał, że nie ma sensu dalej się opierać. Rzeczywiście był w kropce, a ci ludzie oferowali mu spokojną przystań na czas sztormu. Zabrał swoje rzeczy z furgonetki, złożył je w jadalnym i zasiadł w kuchni w towarzystwie Tyny, Ruby i Jake'a.

Burza rozszalała się, gdy na stole stała już kolacja, Najpierw przyszyły wściekłe podmuchy wiatru, a potem uderzenia piorunów tak głośne, jakby były tuż obok domu. Na dworze zrobiło się ciemno jak w nocy. Russell złapał się na tym, że zastanawia się, czy jest tu schron na wypadek tornada i jak szybko można się do niego ewakuować. Rozejrzał się niespokojnie wokół siebie, ale nikt z siedzących przy stole nie zdradzał jakiegoś specjalnego zainteresowania burzą, nie mówiąc już o strachu. Próbował - choć sprawiało mu to pewną trudność - skoncentrować się na jedzeniu, które rzeczywiście okazało się wyśmienite. Posiłając się, słuchał opowieści Jake'a o rozmaitych burzach, które Yearwoodowie przeżyli w przeszłości. Gdyby bez reszty mu wierzyć, to w okolicy aż roiło się od miasteczek, które tornado „prawie zdmuchnęło z powierzchni ziemi”.

Nagle Russell poczuł przyływ jakiegoś dziwnego, wewnętrzznego ciepła. Nie miał pojęcia, za jaką się to stało przyczyną: nie miał właściwie żadnych powodów, by czuć się szczęśliwy. Być jnoże chodziło o to, że udzielił mu się panujący przy stole rodzinny nastrój. Gdy grupka kierowców wielkich ciężarówek spotykała się na jakimś ulubionym przez wszystkich postoju - by zjeść coś razem, napić się kawy, pooppowiadać sobie różne przesadzone historyjki lub zupełne

bujdy - to spotkaniom takim towarzyszył nastrój koleżeńskiej wspólnoty. Ale nie dało się tego porównać z tym, co działo się tutaj. Na dworze rozszalało się piekło, a w kuchni było przytulnie, ciepło i zacisznie.

Po pewnym czasie przyłączył się do nich Tim Webster, ojciec Tiny. Jego wygląd całkowicie zaskoczył Russella. Spodziewał się bowiem spotkać ze współczesnym wcieleniem legendarnego teksańskiego hodowcy bydła - kimś silnym, szorstkim i energicznym. Tim natomiast był tak cichy, że niemal sprawiał wrażenie niemego. Miał w sobie także jakąś dziwną kruchość, jakby był chory. A poza tym wyglądał znacznie starzej, niż przystałoby ojcu Tiny.

Gdy przedstawiono mu Russella, spojrzął na niego z zaniepokojeniem i spytał:

- Jak tam rodzina? .

- Ee... dobrze. Świetnie, proszę pana. - Russell uznał, że Tim pomylił go widać z kimś, kogo znał,

Stary człowiek skinął głową, mruknął coś pod nosem, usiadł i czekał, aż go obsłużą. Od tej pory już się nie odzywał. Russell nagle uświadomił sobie, że Tina o coś go pyta.

- No i jak spędziłeś popołudnie?

- Interesująco. Jake jest kopalnią wiadomości.

Piorun trzasnął tak blisko, że cały dom zadrżał. Russell spojrzął przez znajdujące się nad zlewem okno i spostrzegł, że cały świat zasłoniła srebrzysta kurtyna ulewy.

Tina wydała z siebie pomruk zadowolenia.

- Posłuchajcie tylko, jak leje! Dla mnie to jest najwspanialsza muzyka. Rowy będą jutro pełne wody.

- Kto wie? - powiedział Jake. - Ziemia jest taka sucha, że wszystko może powsiąkać. Ale z drugiej strony, gdyby tak lało całą noc.

Ruby przesunęła wokół stołu wielką misę z fasolą przyprawioną masłem i szynką, tak by każdy mógł sobie dołożyć. Russell wiedział, że nie powinien więcej jeść, ale nie potrafił odmówić. Nałożył sobie porcję i podsunął miskę Tinie. Tina zwróciła się do ojca:

- Chce tatuś jeszcze fasoli?

Tim obrzucił ją takim samym zakłopotanym spojrzeniem, jak poprzednio Russella.

- W jaki sposób jesteś ze mną spokrewniona? - spytał.

Russell drgnął. Wszyscy jedli dalej, jakby nigdy nic.

- Jestem twoją córką.

- Moja córka nazywa się Becca.

- Masz dwie córki. Ja jestem Tina. Chce tatuś jeszcze fasoli?

Tim zaczął wpatrywać się w miskę.

- Nie chcę. Ma wstrętny smak.

- Zawsze lubiłeś maślaną fasolę przyrządzaną przez Ruby - powiedziała spokojnie Tina, odstawiając miskę na środek stołu.

- Od dziś fasolę dla mnie ma gotować Becca.

- Akurat. Becca nie potrafi ugotować nawet wody - odcięła się Tina.

Natychmiast tego pożałowała. Reguła numer jeden brzmiała: nie spierać się i nie próbować niczego tłumaczyć. Nic się nie zyskiwało. Wręcz przeciwnie, cierpiący na demencję często stawał się przez to jeszcze bardziej zagubiony.

- Mówiłaś że jak się nazywaś?

- Tina.

Minęło kilka sekund. Tim wstał od stołu i kopnął nogą krzesło.

- Uważam, że powinniśmy pójść wreszcie do domu. Nie

smakuje mi tu jedzenie. Jedno wielkie świństwo. W ogóle nie mi się tu nie podoba. I nie rozumiem... dlaczego wszyscy gdzieś odeszli? - Powiedziawszy to, wyszedł z kuchni.

- Lepiej zobacz, gdzie on poszedł - zwróciła się Ruby do Jake'a.

- Dobra - rzucił mąż, wstając od stołu.

Zapanowała niezręczna cisza. Tina miała nadzieję, że kolacja upłynie bez żadnych incydentów, po części dlatego, że znalazł się wśród nich ktoś obcy. Niektóre posiłki mijały spokojnie. Robiła wszystko, by nie czuć się zażenowana czymkolwiek, co robił jej ojciec: był po prostu chory i nie potrafił kontrolować swego zachowania w tym samym stopniu, w jakim ona nie była w stanie powstrzymać się od wdychania powietrza. Przekładała reszkę swego jedzenia z jednego końca talerza na drugi, aż wreszcie odłożyła sztućce.

- Co mu dolega? - spytał cicho Russell. Nie mógł już dłużej znieść tego pełnego napięcia milczenia.

- Choroba Alzheimera - odpowiedziała Tina.

- Oj! Co za parszywy, cholerny los!

Jego reakcja była spontaniczna i szczerą; Widać było, że naprawdę zrobiło mu się przykro. Tina uśmiechnęła się do niego trochę smutno, ale z wdzięcznością.

- No właśnie. Gdybyś wiedział, jaki on był pięć czy sześć lat temu, to tym bardziej byłbyś o tym przekonany.

- To z jego powodu są te kłódki i napisy na szufladach?

- Tak. Tyle że napisy przestały już chyba być pomocne. Kłódki oczywiście nadal muszą zostać. A naprawdę są one w tym domu w najdziwniejszych miejscach.

- Nałożyć ci jeszcze czegoś, Russell? - spytała Ruby.

- Nie, dziękuję. Nie wmuszę w siebie już ani kęsa. Wszystkiutko było wyśmienite.

Do kuchni wrócił Jake.

- Wszystko w porządku. Kiwa się znowu w tym swoim fotelu. Włączyłem mu telewizor.

Tina sądziła, że ojciec i tak nie jest w stanie śledzić rozwoju akcji - choćby dlatego, że wyjątkowo krótko potrafił skupić na czymkolwiek uwagę - ale odnosiła wrażenie, że poruszające się obrazy i hałas sprawiają mu przyjemność. Wstała teraz od stołu.

- Może też chcecie pooglądać telewizję? Ja pozmywam, Ruby. Ty przecież wszystko ugotowałaś.

Ruby nie sprzeciwiła się. Kiedy Tim zaczynał się awanturować, Tina lubiła znaleźć sobie coś, co wymagało uporządkowania czy wyczyszczenia. Fizyczna aktywność, która nie wymagała specjalnego myślenia, pomagała jej na chwilę zapomnieć o chorobie ojca.

- Muszę coś tam poreperować - odezwała się Ruby. - Usiądę koło Tima i trochę sobie poszyję.

- Nie wygląda na to, żeby ta burza miała się szybko skończyć - zwrócił się Jake do Russella. - Coś mi się zdaje, że będziesz musiał się u nas przespać, młody człowieku. Droga do szosy stanie się jedną wielką porcją owsianki.

- Bardzo byliście dla mnie mili. Naprawdę nie chcę już nadużywać waszej uprzejmości.

- A co to za nadużycie? - odezwała się Tina. - Przecież nie ma sposobu, żebyś się dostał tej nocy do miasta.

- Sprawdzę, jak wygląda pokój gościnny - powiedział Jake. - Dawno nikt w nim nie spał.

Tina krzątała się po kuchni. Sprzątała ze stołu i zanosila do zlewu naczynia. Russell przyglądał się jej w milczeniu. Nadzwyczaj zgrabny miała ten swój tyłeczek: jędrne, wysoko osadzone pośladki, bez reszty wypełniające dzins. Siedział i

z wielką przyjemnością gapił się na nią. Wreszcie, przypomniawszy sobie o zasadach dobrego wychowania, uniósł się, odsunął krzesło i wstał.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponował, zbierając ze stołu jakieś sztucce i talerze.

- Nie. Proszę, daj spokój.

- Kiedy jestem w tym dobry. Długi czas żyłem samotnie.

- Postawił naczynia na blacie blisko zlewozmywaka i wrócił po następne.

Tina spojrzała na niego przez ramię.

- Nigdy nie byłeś żonaty?

- Byłem. Raz.

- Rozwiodłeś się?

Russell ustawił na blacie następną porcję naczyń.

- Tak. Małżeństwa kierowców ciężarówek nie słyną ze swej trwałości.

- To dlaczego nie rzuciłeś tej roboty?

- Próbowałem. Ale jej się to również nie podobało. Brakowało jej wówczas pieniędzy. I tak było źle, i tak niedobrze. Próbowałem na różne sposoby, ale nic z tego nie wychodziło. W końcu doszedłem do wniosku, że tak naprawdę to ona mnie po prostu nie lubi.

Tina spojrzała na niego. Bardzo pociągający był ten jego półusmieszek. Fakt, że miał do siebie tyle dystansu, dodawał mu uroku.

- A dlaczego w ogóle wybrałeś ten zawód?

- Myślę, że nie mogłem usiedzieć na miejscu. Parę lat uczęszczałem do college'u, ale... szkoła i ja jakoś nie bardzo do siebie pasowaliśmy. Pomyślałem sobie, że prowadzenie ciężarówki to dobry sposób na poznanie kraju. I tak rzeczywiście było. Naprawdę przejechałem go wzdłuż i wszerz.

- Wyobrażam sobie, że trudno jest spotykać ludzi, gdy jest się ustawicznie w drodze.

- Nie. Ludzi spotyka się masę. Tyle że i tak nie sposób się niczego bliższego o nich dowiedzieć.

- I dlatego w końcu zrezygnowałeś?

- Być może. Mam trzydzieści siedem lat. Nie chcę być samotny, gdy będę miał pięćdziesiąt. Czas gdzieś już osiąść.

- A dlaczego zdecydowałeś się na Kalifornię?

Opowiedział jej o północnym wybrzeżu, o tym, jak wspinała się tam krajobrazy, jak za każdym zakrętem kryje się kolejna niespodzianka...

- Tutaj nie ma żadnych przepięknych krajobrazów - zauważyła Tina. - Nawet zakrętów nie ma tu za dużo.

Zdała sobie nagle sprawę z tego, że niesłuchanie dawno nie miała okazji rozmawiać z kimś, kto byłby mniej więcej w jej wieku. Miała oczywiście siostrę, ale ona i Becca bardzo się od siebie różniły. Ruby, Jake, jej matka - wszyscy byli od niej starsi.

Nawet osoby, które należały do grupy wsparcia,

- Napiłbyś się kawy? - spytała z nadzieją w głosie,

Bardzo nie chciała, by ta rozmowa nagle miała się skończyć,

- Chętnie.

Podczas tej miłej pogawędki stół został uprzątnięty, a naczynia spłukane i włożone do zmywarki. Tina szybko przyrządziła dwie filiżanki kawy.

- Rano zawsze parzymy duży dzbanek mielonej - powiedziała, gdy usiadli oboje przy stole. - Tatusz nie znosi kawy instant. Przynajmniej kiedyś nie znosił. Teraz jedzenie go już nie interesuje. Widziałeś, ile dziś zostawił na talerzu.

- Czy ta choroba również i tym się objawia?

- Tak. Codziennie toczyliśmy walkę o to, by zjadł cokolwiek.

- Od jak dawna choruje?
- Któż to wie? Zapewne dłużej, niż ktokolwiek z nas był tego świadomy.
- Słyszałem oczywiście o chorobie Alzheimera, ale właściwie to nic bliższego o niej nie wiem. A już na pewno nigdy nie znałem nikogo, kto żyłby na co dzień z takim chorym. Od czego to się zaczęło?

Tina spojrzała na niego i uśmiechnęła się niepewnie.

- Russell, to wszystko jest takie skomplikowane. Ciągle jeszcze... każdego dnia dowiaduję się czegoś nowego na ten temat. Gdy zacznę opowiadać o tym paskudztwie, to nie będę wiedziała, kiedy przestać.

- Chętnie bym posłuchał, jeśli zechciałabyś o tym opowiedzieć.

- Oczywiście... - Przełknęła łyk kawy, zamknęła oczy i powędrowała pamięcią wstecz, aż do czasu, gdy po raz pierwszy zorientowała się, że z jej ojcem dzieje się coś bardzo, bardzo złego...

- To taka podstępna choroba – zaczęła Tina. - Gdy patrzę wstecz, ciągle mi się zdaje, że zaczęła się od nagłego ataku, choć w rzeczywistości zakradała się chyłkiem, krok po kroku. Mniej więcej dwa lata temu wróciłam do domu. Przedtem mieszkałam przez kilka lat w Fort Worth. Byłam właśnie w trakcie załatwiania rozwodu, miałam więc własne problemy i nie wszystko do mnie docierało. Jedyne co natychmiast zauważyłam, było to, że tatuś schudł i stracił ten swój czerstwy wygląd. Ale ponieważ wszyscy mają ostatnio obsesję na punkcie nadwagi, pomyślałam sobie, że i on widać zaczął

liczyć kilogramy. Miałam zostać tu tylko miesiąc. I rzeczywiście, najpierw snułam się osowiała, zajmując się głównie lizaniem własnych ran, ale w końcu zaczęłam po trochu dostrzegać różne rzeczy.

Russell sączył swoją kawę i przyglądał się jej uważnie; Zaskoczyło go, że była niegdyś zamężna, gdyż przedstawiła mu się jako Tina Webster. Przyjął, że zrobiła tak, jak wiele, kobiet, które po gorzkich doświadczeniach z nieudanym małżeństwem wracały do swoich panińskich nazwisk. Szczególnie, gdy nie były w to zamieszane dzieci. A wydawało mu się że w tym wypadku nie były. Inaczej na pewno by się tu na nie natknął. Słuchał tego, co mówiła z zainteresowaniem, wpatrując się cały czas w jej smutne, zmęczone oczy.

- Pierwszy incydent, który dobrze zapamiętałam – mówiła dalej Tina - zdarzył się po południu, kiedy pojechałam z tatusiem do miasta, by zrobić jakieś zakupy. Wyszliśmy ze sklepu żelaznego i mieliśmy już wracać do domu. Tatus nagle się zatrzymał, rozejrzał się dookoła, tak jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest. W rękę trzymał kluczyki od samochodu. Spojrzał na nie, zmarszczył czoło, po czym mi je wręczył. Tak po prostu, bez jakiegokolwiek słowa wyjaśnienia. No więc prowadziłam wóz w drodze do domu. Oczywiście dla kogoś, kto nie znał ojca, nie byłoby w tym nic dziwnego. Ale jeśli się wiedziało, że on nigdy nie zgadzał się, by ktoś inny prowadził... a szczególnie kobieta... Od razu wydało mi się to podejrzane choć specjalnie już się nad tym później nie zastanawiałam. Teraz sądzę, że on wtedy prawdopodobnie zapomniał, który samochód jest nasz albo jak się jedzie do domu. Mógł nawet zapomnieć, do czego służą te kluczyki i jak się ich używa..

- To okropne - westchnął Russell.

- Niedługo po tamtym zdarzeniu zauważyłam, że potrafi

ciągle pytać o te same rzeczy: o godzinę, o to, jaki jest dzień tygodnia. Ale tłumaczyłam sobie, że jest zaabsorbowany czymś innym albo zrobił się roztargniony. Powtarzał mi również bez przerwy te same historie, ale ja pamiętałam, że dokładnie to samo robił mój dziadek, kiedy się zestarzał. Wiesz, tatuś ożenił się dość późno. Kiedy przyszedł na świat, miał już czterdzieści lat, a więc łatwo obliczyć, że dwa lata temu był już w zaawansowanym wieku. Uważałam, że nic naprawdę złego się z nim nie dzieje, ponieważ na ogół zachowywał się całkowicie normalnie. Właśnie o to człowiek ma do siebie żal, gdy wreszcie odkryje, że miał do czynienia z chorobą. Mam wyrzuty sumienia, ilekroć przypominę sobie, jak często mówiłam: „Tatusiu, na litość boską, czy nie możesz sam spojrzeć na zegar?”. Albo: „Dlaczego zadajesz mi pytania, skoro i tak nie słuchasz potem odpowiedzi?”

- Co sprawiło, że udałaś się z nim wreszcie do lekarza?

- Wiele rzeczy. Po pierwsze to, że stał się niezwykle kapryśny. Po drugie, jego zdolność skupienia na czymś uwagi ograniczyła się do trzydziestu sekund i najprostsze czynności stwały się dla niego niewykonalne. Schodził na przykład rano po schodach i koszulę miał zapiętą zupełnie krzywo albo \$opgółe nie zapiętą. Tak samo rozporek. A przecież zawsze był człowiekiem pedantycznie dbającym o wygląd zewnętrzny. Potem zaczęłam dostawać zaległe rachunki z drugostoru, ze sklepów spożywczych, od dentystry... z najróżniejszych miejsc. My, Websterowie, zawsze regulowaliśmy nasze zobowiązania w terminie, pozwoliłam więc sobie wetknąć nos w nie swoje sprawy i pogrzebać w papierach w biurze. I tam natrafiłam na kompletny chaos. Rachunki nie płacone miesiącami, korespondencja nie otwierana, książeczka czekowa nie bilansowana od niepamiętnych czasów. Strasznie się namęczyłam, żeby to wszystko jakoś doprowadzić do porządku.

Gdy próbowałam z nim o tym porozmawiać i spytałam, czemu u licha dopuścił do takiego bałaganu w papierach, rozszerzył się i burknął, że na nikim innym nie może już dłużej, polegać. Gdy chciałam się dowiedzieć, kogo ma na myśli odparł, że chodzi o osobę, która prowadzi księgi. No i wtedy byłam już pewna, że coś tu nie jest w porządku. Tatuś bowiem był jedyną osobą, która zajmowała się buchalterią gospodarstwa. Nigdy nie zatrudniał nawet księgowego przy sporządzaniu bilansów podatkowych, ponieważ nie chciał, by ktokolwiek poza nim wiedział, ile naprawdę wart jest jego majątek.

Zamilkła na chwilę. Westchnęła i przyglądała palcami włosy.

- A potem zaczęły się te jego wędrówki. Najpierw chodził niespokojnie z pokoju do pokoju, jakby czegoś szukając. Psycholog powiedziałby ci zapewne, że rzeczywiście czegoś, a raczej kogoś, szukał. Tylko że tym kimś był on sam. Widzisz, we wczesnych stadiach chory zdaje sobie sprawę z tego, że jest zagubiony, szuka więc, stara się uchwycić czegoś znajomego czegoś, co doda mu otuchy. Tatuś musiał wiedzieć, że coś złego się z nim dzieje znacznie wcześniej, niż dotarło to do mnie. Na płacz mi się zbiera, ilekroć to sobie uświadomię.

Russell skrzywił się boleśnie.

- I wtedy właśnie poszłaś do lekarza?

- A wyobraź sobie, że nie. Ciągle byłam święcie przekonana, że tatuś po prostu prezentuje klasyczne symptomy podeszłego wieku. Aż wreszcie, pewnego ranka... - Tina zamilkła na chwilę. Zadrżał jej leciutko podbródek. - Pewnego ranka przyszedł na śniadanie i gdy mnie zobaczył... zapytał, kim jestem i co robię w jego domu. Wtedy byłam już pewna, że stało się coś okropnie złego. Udało mi się skłonić go do

pójścia do lekarza pod pretekstem, że stale traci na wadze. Lekarz ogólny skierował nas do gerontologa, a ten postawił diagnozę: demencja starcza... czy raczej choroba Alzheimerera, jako że jest to jedna z wielu postaci demencji. Wiesz, niemal ucieszyłam się, gdy wreszcie ktoś przypisał temu jakąś nazwę. Bałam się, że i tatuś, i ja... że oboje tracimy zmysły,

- Nic na to nie można poradzić?

- Raczej nic. Prowadzone są badania... Może pewnego dnia... W każdym razie w obecnej chwili jest to jedyna znana mi choroba, w przypadku której próbuje się głównie pomagać nie tyle choremu, co osobie sprawującej nad nim opiekę. Naprawdę... ta choroba jest jak potwór, który nie zadowala się jedną ofiarą. Drugą jest zwykle ktoś z bliskich. No i co do jednej rzeczy nie ma wątpliwości: zmiany w mózgu, które w przypadku tatusia zdążyły się już pojawić, są nieodwracalne. Teraz chciałbym tylko, żeby to nie postępowało dalej, tak abym mogła nadal się nim opiekować. Na dłużej nie można go już samego zostawiać, trzeba mu pomagać się wykąpać i ubrać, co oczywiście zabiera mi mnóstwo czasu, ale przynajmniej na razie mogę sobie jeszcze z tym sama poradzić.

Russell zacisnął wargi. Zastanawiał się intensywnie nad tym wszystkim. Przyjechała tu w odwiedziny, na krótko, a teraz jest całkowicie uwiązana. Być może nigdy by tego tak głośno nie nazwała, ale nieraz musiała tak pomyśleć.

- Tino, ja ci pewnie zadaję za dużo pytań. Więc jeśli nie będziesz chciała odpowiedzieć, to daj mi znać.

- Nie mam nic przeciwko temu, aby o tym rozmawiać. Psycholog prowadzący grupę wsparcia mówił nam nawet, że wygadanie się jest doskonałą terapią,

- Powiedz więc, dlaczego ty jesteś jedyną osobą, która opiekuje się ojcem? Masz przecież siostrę.

- Tak, mam siostrę.
- A twój tatuś wyraźnie za nią przepada. Prawda?

Tina parsknęła śmiechem.

- Nasi starzy rozeszli się, kiedy byliśmy w liceum. Ja zostałam tutaj, a Becca wyprowadziła się z mamą do Amarillo. Od tamtej pory prawie tu nie zaglądała. Nienawidzi tego rancza.

- Ale pomóc ci chyba może.

- Gdybyś ją znał, to wiedziałbyś, co to by była za pomoc. Ale i tak jestem w szczęśliwszej sytuacji niż niektóre inne osoby opiekujące się takimi chorymi.

- Jak Boga kocham, nie rozumiem, skąd ci to przyszło do głowy.

- Jest ze mną Jake i Ruby, a największym plusem jest to, czego nie mam. A nie mam męża i dwójki dzieci, które miałyby do mnie żal o to, że tyle czasu poświęcam tatusiowi.

Chcesz jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. - Russell podziwiał tę jej zdolność pozytywnego myślenia. - A nie możesz wynająć kogoś do pomocy?

- A kto by chciał taki kawał dojeżdzać? Poza tym to jest droga impreza. A przyjdzie taki dzień, że będę się cieszyć z każdego zaoszczędzonego dolara.

Russell nie od razu chwycił sens tego, co chciała powiedzieć. Po chwili jednak zrozumiał.

- Będzie trzeba go oddać do zakładu?

Tina skinęła głową.

- Tak. Nie da się tego uniknąć.

Nic dziwnego, że ta kobieta jest tak strapiona, pomyślał.

To musi być cholerna rzecz, kiedy stale nad głową wisi świadomość, że pewnego dnia trzeba będzie oddać do domu opieki kogoś bliskiego.

- Słuchaj, a twój tatuś powiedział przy kolacji coś takiego... Coś o pójściu do domu... .

- Tak, ostatnio jest właśnie w takiej fazie choroby. Wydaje mu się, że mieszkamy gdzie indziej, że jesteśmy z wizytą w jakimś obcym miej scu.

- A dlaczego wtedy, gdy mnie przedstawiłaś, zapytał, jak się ma moja rodzina? Czy wziął mnie za kogoś, kogo znał poprzednio?

- Nie. - Tina pokręciła przecząco głową. - To jego rutynowy sposób witania się z każdym. I właśnie z tego wnoszę, że jakaś część jego mózgu pracuje zupełnie poprawnie. No bo zastanów się. Prawie każdy ma jakąś rodzinę: rodziców, rodzeństwo, ciotki, kuzynów czy kogoś innego. Tatuś nie pamięta, kto jest kto, czy kogoś zna, czy nie zna, i dlatego pyta każdego o rodzinę. Taka uniwersalna formułka. Mnie się to wydaje bardzo sprytnym sposobem wybrnięcia z sytuacji.

- Powiedz mi, Tino, czy ty masz jakichś bliskich przyjaciół? Spotykasz się czasem z ludźmi? W kinie, na wspólnej kolacji?

- Nie. Właściwie nie. Większość osób, z którymi przyjaźniłam się, gdy dorastałam, dawno już stąd wyjechała.

A, poza tym nie wypada mi zbyt często pozostawiać tatusia pod opieką Jake'a i Ruby. Wystarczy, że muszę od czasu do czasu pojechać do Amarillo.

- No to jak ty żyjesz?

- Większość czasu zajmuje mi opieka nad tatusiem. Kiedy on drzemie, to zabieram się do papierkowej roboty. Wbrew pozorom takie ranczo wymaga prowadzenia normalnego biura. Do moich obowiązków należy także pomaganie Jake'owi.

- Wiesz, takie „przynieś, podaj, pozamiataj”. - Uśmiechnęła się, trochę jakby zakłopotana.

Russell wypuścił powietrze przez przymknięte wargi, co zabrzmiało jak długie westchnienie. Co za cholerne życie dla takiej pięknej kobiety. A Tina naprawdę była piękna. Im dłużej jej się przyglądał, tym wydawała mu się piękniejsza. Był wręcz przekonany, że powinna żyć gdzie indziej, zajmować się zupełnie czym innym. Z całego serca życzył jej, by nie miała takich problemów. Sam nie wiedział, dlaczego tak się tym przejął. Ale przejął się rzeczywiście.

- Russell? - Tina wsparła podbródek na dłoniach. Oczywiście miała zamknięte. - Wiesz co? Skoro i tak jesteś tu uziemiony, to może byś u nas pomieszkał do czasu, aż naprawią ci samochód? Czuj się w każdym razie zaproszony.

- Ależ, Tino, przecież ja...

- Będę z tobą szczerza. Byłoby mi ogromnie miło mieć kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Chwilami wydaje mi się, że mój mózg ulega atrofii. Nie przychodzi tu zbyt wielu przyjaciół rodziny, żeby sobie pogadać. - Zamilkła na chwilę. - Tak naprawdę, to nikt tu nie przychodzi - sprostowała.

Jej szczerść była rozbrajająca. Zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Sytuacja - gdyby się tak bliżej zastanowić - była właściwie dziwaczna: zamieszkać pod jednym dachem z obcymi osobami, i to na okres dwóch tygodni. Albo może i dłużej ... Dziwne, że się w ogóle nad tym zastanawia.

Ale z drugiej strony, polubił tych ludzi od pierwszego wejrzenia. Przypominali mu mieszkańców Kansas, wśród których dorastał. Tamci też byli uczciwi, zapracowani, bezpretensjonalni i przyjaźni dla obcych. Choćby ten Jaker W czasie popołudniowej przejażdżki natychmiast udało mu się nawiązać z nim kontakt, bardzo przypominający układy[^] jakie miał z Juniorem. No i Tina... Wyjątkowo mu się podo-

bała. Miała na głowie kłopot, którego nie życzyłby nikomu, ale jeśli nawet uważała się nad sobą, to idealnie potrafiła to ukryć.

Tina źle zinterpretowała jego wahanie.

- Przepraszam! Zdaje się, że trochę przesadziłam. Skoro starzy przyjaciele nie chcą nas odwiedzać, dlatego że stan, w jakim znajduje się tatuś, działa na nich deprymująco, to dlaczego ktoś nieznajomy miałby wyrazić ochotę na to, by całymi dniami przebywać w pobliżu niego.

- Nie, nie. To nie o to chodzi - przerwał jej szybko Russell. - Zastanawiam się po prostu, czy nie będę tu zawadzał.

- A niby dlaczego? Po prostu będziemy sobie rozmawiać. Opowiesz mi o tym pięknym, wielkim świecie, który gdzieś tam jest.

- Bez przesady. Nie cały znowu jest taki piękny.

- No to przynajmniej opowiesz mi jeszcze więcej o północnej Kalifornii. Z tego, co mówiłeś, wywnioskowałam, że jest cudowna.

Russell jeszcze przez chwilę się wahał, ale w końcu się zdecydował. Czyż ten dom nie jest stokroć lepszy od pokoju w motelu?

- Zgoda, Tino. Tak to jakoś miło przedstawiłaś, że nie mogę odmówić. Chciałem ci zadać jeszcze tylko jedno pytanie, choć właściwie to nie mój interes.

- Słucham?

- Jak to się stało, że wróciłaś po rozwodzie do swego panińskiego nazwiska?

- Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Z nazwiskiem włącznie.

- Nie mieliście dzieci?

- Nie. Bogu dzięki nie mieliśmy.
- Z twojego tonu wnoszę, że nie rozstaliście się w przyjaźni.

Tina uświadomiła sobie, że nigdy nie rozmawiała tak swobodnie z kimś nieznanym, a już tym bardziej o swoim rozwodzie. Mimo upływu ponad dwóch lat, poczucie żalu i krzywdy ciągle jeszcze w niej nie wygasło. Tak bardzo była spragniona rozmowy z kimś, kto by ją zrozumiał, a Russell zdawał się wręcz prowokować ją do zwierzeń.

- W przyjaźni? Raczej nie. Widzisz, mój mąż nie potrafił trzymać się z dala od innych kobiet.

Russell przyjął to wyjaśnienie bez komentarza. Odsunął krzesło, wstał i zaniósł swoją filiżankę do zlewozmywaka.

- Gościnnie pokój jest pierwszy po prawej na piętrze - powiedziała Tina.

- Dziękuję. Zabiorę tam swoje rzeczy, żebyście nie musieli się o nie potykać.

- A ta propozycja pracy nadal jest aktualna. Oczywiście, gdybyś chciał. Przede wszystkim zależy mi, żebyś został, bez względu na to, czy będziesz pracował, czy nie.

- Może rzeczywiście skorzystam z twojej oferty. Nie mogę sobie wyobrazić, żebym przez dwa tygodnie, albo i dłużej, miał nic nie robić. - Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się jeszcze w progu. - A wiesz, co jeszcze myślę?

Potrząsnęła głową i spojrzała na niego pytająco.

- Myślę sobie, że z tego twojego męża to był kawał idioty - rzucił, wychodząc z kuchni.

Odprowadziła go wzrokiem. Zapiekły ją policzki, a w okolicach karku poczuła lekkie mrowienie. Było to doznanie, którego zawsze doświadczała wtedy, gdy bardzo ją coś ucieszyło. Jeśli się nie myliła, to przed chwilą usłyszała komplement.

Tak dawno jej się nic podobnego nie zdarzyło, że był to dla niej niemal szok.

Tej samej nocy w zaciszu swojego pokoju Ruby poinformowała męża, że Tina pytała ją o Connie.

- No i co jej powiedziałaś? - spytał Jake.

- To, co zwykle: że daję sobie radę. Nie znoszę okłamywać Tyny.

- Przecież jej nie okłamujesz. Tyle że nie mówisz jej o każdym głupstwie.

- Nie śmiałabym tego robić. Gdyby zaczęła podejrzewać, że Connie mnie potrzebuje, to należałoby, żebym odeszła.

A ja myślę, że ona sobie nie da rady z Timem bez mojej pomocy. - Ruby westchnęła. - Connie powiedziała mi, że Alejandro ma w strasznym stanie zęby i dentysta będzie kosztował dwa tysiące dolarów. Marii potrzebne są okulary, a biedna Connie jest kompletnie wykończona.

- Mówiłem, że co za dużo, to niezdrowo. Musieli się zgadzać na te trzy dzieciaki?

- Ja też podobnie myślałam. Ale gdyby Connie i John nie zgodzili się na tę trójkę, to agencja od adopcji absolutnie by ich skreśliła. No pewnie, że Connie byłoby trudno, ze względu choćby na wiek, przystosować się nawet do jednego malucha, a co dopiero do trzech. A jak ta agencja się wtrąca do różnych drobiazgów! Wszystko musi być na ostatni guzik. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Przecież te dzieciaki pochodzą z wioski, w której nie było nawet bieżącej wody. - Ruby jeszcze raz westchnęła. - Szkoda, że nie mogę bardziej pomagać Connie.

- Mieszkając tu z Tiną, możemy pomagać jej w ten sposób, na jakim najbardziej jej zależy: dając jej pieniądze - po-

wiedział stanowczym tonem Jake. - No pewnie, że jest zmęczona. Jak się jest matką, to się jest zmęczoną. Taki to już jest los. Ale da sobie radę. - Widząc malującą się na twarzy żony troskę, pogłaskał jej rękę, starając się ją uspokoić. - Nie możemy odejść, kochanie. Connie jest silna. Ma męża. Gdybyśmy odeszli, Tina zostałaby sama jak palec.

- Wiem - odparła Ruby. - Ale nie możesz mieć do mnie pretensji o to, że się martwię o swoje dziecko.

- Tak. Taki też jest los, jak się jest matką.

RS

4

Nazajutrz po śniadaniu każdy udał się do swoich zajęć. Tina, jak to zwykle bywało, przez cały ranek zajmowała się ojcem, podczas gdy Ruby wykonywała prace domowe. Jake natomiast był po prostu zachwycony tym, że będzie miał pomoc i towarzystwo.

- Słuchaj! Potrzebny ci jest wielki kapelusz. Te małe baseballowe czapeczki są guzik warte - powiedział Russellowi i wyciągnął dla niego z szafy słomianego stetsona.

Obaj mężczyźni wyszli z domu przez tylną werandę. Nocna burza sprawiła, że powietrze było świeże i czyste.

- Myślę, że dziś nie będzie już takiego upału - zauważył Jake.

Ale i tak było aż nadto gorąco. Russell wczoraj jeszcze uważał, że rozładowanie piętnastu ton ładunku jest naprawdę ciężką robotą, ale w porównaniu z pracą, jaką wykonywał Jake, tamto wydawało się po prostu dziecinną zabawą. Najpierw trzeba było odchwaścić i opryskać kukurydzę, co zajęło im prawie całe przedpołudnie. O dwunastej Tina przywiozła im lunch - cztery najgrubsze sandwicze, jakie w życiu widział i kilka litrów osłodzonej obficie herbaty z lodem. Jedli, korzystając z jedyne go cienia, jaki udało im się znaleźć - pod blaszanym daszkiem szopy.

- Ja tam myślę, że tę kukurydzę to trzeba na przyszłość olać - zauważył Jake.

- Masz w tej sprawie moje całkowite poparcie - odparł Russel.

- Powinno się tu dać bawełnę, no, może trochę pszenicy. Ale lepiej bawełnę. Deczko więcej do niej potrzeba oprzyrządowania, ale nie tyle nawozów i nie tyle wody. A woda to jest właśnie coś, czego mamy za mało.

Russella niewiele to wszystko obchodziło. We wczesnych godzinach popołudniowych jedno już wiedział na pewno: praca na ranchu jest absolutnie nie dla niego. Nigdy w życiu nie był jeszcze tak bliski fizycznego wyczerpania. Bolały go ramiona, a w krzyżu rwało tak, że był pewien, iż kręgosłup rozszczepli mu się na pół, gdy tylko się wyprostuje. Kapelusz niewiele pomógł. Palące promienie słońca poparzyły mu skórę. Siedział na szczycie wiatraka, oliwił to cholerne urządzenie, doświadczając przy okazji pierwszego w życiu ataku lęku wysokości, i wtedy nagle przyszło mu do głowy, że musi być chyba kompletnym kretyńcem, by dać się wrobić w coś takiego

Przecież mógł w tym czasie siedzieć w domu albo w jakimś klimatyzowanym motelu w Leatrice, popijać sobie chłodne piwo i oglądać telewizję. Wieczorem, przy kolacji powie Tinie, że w pełni docenia jej gościnność, ale, niestety, doszedł do wniosku, iż praca na ranchu nie jest jego wymarzone zajęciem. Trochę głupio będzie się przyznać do tego, że pięćdziesięcioośmioletni mężczyzna potrafi zrobić trzy razy więcej niż on... Ale w końcu, do diabła, czym tu się przejmować? Przecież nigdy więcej nie będzie już tych ludzi oglądał.

Jakoś udało mu się doczekać do końca dnia, ale naprawdę był już ledwie żywy. Nie poczuł się lepiej nawet po gorącym prysznicu i kolejnym, przygotowanym przez Ruby, wspaniałym posiłku - tym razem była to pieczeń wołowa z trzema rodzajami jarzyn, domowego wypieku biskwity i ciasto z wiśniami. Trudno mu było uwierzyć w dwie rzeczy naraz: w to, że jedzenie może tak wspaniale smakować i że ciało potrafi tak okropnie boleć. Marzył wyłącznie o pójściu do łóżka.

Po skończonym posiłku Jake wymknął się gdzieś tylnymi drzwiami, Ruby poszła usadowić Tima przed telewizorem, a Tina zaczęła sprzątać ze stołu.

- Zmęczyłeś się? - spytała z troską w głosie, zabierając stojący przed nim talerz.

- Tak to należałoby nazwać. - Russell zrobił głęboki wdech. Nawet to bolało. - Tino?

- Słucham?

Nadszedł stosowny czas, by powiedzieć jej, że rezygnuje. Jeśli uda mu się podjechać czymś rano do Leatrice, to będą mieli go wreszcie z głowy. Zniknie z ich życia tak nagle, jak uprzednio w nie wtargnął, a wszystko to razem stanie się taką sobie zabawną historią, jedną z tych, które faceci opowiadają sobie po pracy przy piwie. „Mówiłem ci już o tym, jak prze-

pracowałem kiedyś cały dzień na ranchu w zachodnim Teksasie?"

Tylko komu on to, do cholery, opowie? Odchodząc z Red Star, zostawił za sobą wszystkich, których można było z biedą uznać za przyjaciół. Musiałby wrócić do Georgii albo na Florydę, aby znaleźć kogoś, kogo choć odrobinę obchodzą jego sprawy, a ci ludzie tutaj przyjęli go pod swój dach, zaprosili do stołu i potraktowali jak członka rodziny. Przecież, na litość boską, to tylko dwa wyjęte z reszty życia tygodnie! Przez ten czas Kalifornia mu przecież nie ucieknie.

- Russell, zdaje się, że chciałeś coś powiedzieć...

- Ja? Wiesz, chyba walnę się wcześniej spać. Dobra?

- Oczywiście. Rozumiem. - Uśmiechnęła się do niego.

Otworzyła szufladę i wyjęła z niej jakiś słoiczek. - Posmaruj sobie tym szyję i twarz, zanim pójdziesz do łóżka. Trochę cię zanadto dziś przypiekło.

Tępo skinął głową. Wstał i odepchnął się od stołu, zastanawiając się, czy nogi nie odmówią mu posłuszeństwa. Jakimś cudem tego nie zrobiły. Zmusił się, by w miarę możliwości opuścić kuchnię z godnością. Wszedł na schody. Pokonanie jednego piętra wymagało nadludzkiego wysiłku. Dotarł wreszcie do pokoju, rozpiął pasek, zrzucił buty i w ubraniu runął na łóżko. W ciągu kilku sekund spał jak zabity.

Po kilku dniach wszystko zaczęło się lepiej układać. Nie od razu, ale gdzieś na czwarty dzień potrafił już wstać z łóżka, nie stękając z bólu. No i do wpół do ósmej wieczorem był na nogach. W miarę upływu dni jego skóra ściemniała od słońca, choć uważał i starał się smarować kremem ochronnym przed każdym wyjściem na dwór. Nadal nie życzyłby takiego życia najgorszemu wrogowi, choć miało ono i swoje dobre strony.

Czuł, że staje się coraz silniejszy, a jednocześnie - mimo wspaniałego jedzenia przyrządzanego przez Ruby - zrzucił kilka kilogramów. Ciągłe również - choć, prawdę powiedziawszy, nie widział w tym specjalnego sensu - dowiadywał się czegoś nowego. I to o najrozmaitszych rzeczach: o systemach melioracyjnych, ujęciach wodnych, wyłącznikach przeciążeniowych, zbiornikach asenizacyjnych. Słowem, była to wiedza, która -jak święcie wierzył - w przyszłości miała mu się absolutnie do niczego nie przydać. Zupełnie nie potrafił zrozumieć, dlaczego niewezwanie elektryka czy hydraulika, gdy coś się zepsuje, stanowi dla wiejskich ludzi taki powód do dumy.

Właściwie gdyby ktoś go spytał, to nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tu został. Z pewnością nie zakochał się nagle w tego rodzaju pracy. Nadal nie znosił, by ciało pokrywała mu mieszanina pyłu i potu. I nie znosił odcisków na dłoniach. Ale wieczorami, gdy miał już za sobą całodzienną pracę i wziął prysznic, nieodmiennie wydawało mu się, że nie ma nic wspanialszego pod słońcem, niż zasiąść do tej sutej biesiady w zacisznej kuchni, słuchać, jak Jake snuje swoje naciągane opowieści i jak przekomarzają się we dwoje z Ruby. Polubił tych Yearwoodów - naprawdę nadzwyczaj ich polubił. Uważał, że to właśnie o takich ludziach mawia się, że są „solą tej ziemi”.

No i była jeszcze Tina. Lubił jej się przyglądać. Być może aż nadto w tym gustował. Bardzo mu się podobała. Uwielbiał przesiadywać z nią przy kuchennym stole po kolacji. Wypytywała go o masę rzeczy - tak, jakby chciała dowiedzieć się wszystkiego o życiu, jakie pędził, będąc kierowcą. Opowiadał jej o rozmaitych ludziach, których spotykał, o tym, jak piękna potrafi być wiosną Virginia, a New Hampshire -jesienią. Mo-

że świat w jego opowieściach jawił się trochę bardziej romantyczny, niż był w istocie, ale dzięki tym wieczornym sesjom przy stole Tina jakby odżywała. Nie śmiała się wiele, ani nawet zbyt często się nie uśmiechała, ale gdy mówił do niej, jej twarz stawała się bardziej ożywiona. Czasem Wyglądała tak, jakby była niemal szczęśliwa.

I ona również -zupełnie bezwiednie - opowiedziała mu o sobie znacznie więcej, niż zapewne zamierzała. Ten rozwód omal jej nie wykończył. Gdyby choroba ojca nie zmusiła jej do odsunięcia na bok własnych problemów, to kto wie, ile potrzebowałaby czasu, aby przyjść po tym wszystkim do siebie.

Russell nie był w stanie wyobrazić sobie, co za typ mógł okłamywać taką kobietę jak Tina. Jego własne małżeństwo też w końcu nie było idyllą, ale on sam - tak długo, jak długo był nim związany - potrafił dochowywać wierności jak przysłowiowy pies.

Uważał, że Tina na pewno była wspaniałą żoną. Niezależnie od jej atrakcyjnej powierzchowności, potrafił dostrzec i inne jej zalety - inteligencję, zaradność, ujmujący sposób bycia. Tamten człowiek musiał być chyba szaleńcem, skoro, pozwalał sobie na ryzyko, że ją utraci.

Tak więc Russell nie zmartwił się specjalnie, gdy Leon Shaw zdał mu sprawę z postępów w naprawie samochodu i poinformował, że trzeba dodatkowo jeszcze zamówić w fabryce pewną ważną część. No to co? Wóz nie będzie gotowy przed upływem trzech czy czterech tygodni. Ale w końcu zostanie naprawiony, a Russell wiedział już, że gdy przyjdzie, ten dzień, będzie mu bardzo trudno pożegnać się z tymi ludźmi.

W ostatnią środę miesiąca Tina wyjechała z rancza o dziewiątej trzydzieści i miała wrócić dopiero po południu. Był taki czas, gdy udawało jej się cztery do pięciu razy w miesiącu odwiedzać Amarillo, ale w miarę postępów choroby ojca ograniczyła te wyjazdy do trzech. Raz w miesiącu jeździła z Timem do lekarza, następnie wyjeżdżała po zakupy, których nie można było zrobić w Leatrice, a potem jeszcze raz, by wziąć udział w spotkaniu grupy wsparcia. Wtedy właśnie wyruszała na tyle wcześnie, by zdążyć odwiedzić swą matkę i siostrę. Te wizyty były jej najcięższym obowiązkiem: po każdym z takich spotkań nieodmiennie odnosiła wrażenie, że rozczarowuje i nie spełnia oczekiwań obu kobiet.

Jej pierwszym przystankiem był murowany, piętrowy dom Becci, ze swym pedantycznie wymuskany trawnikiem i imponującym podjazdem. Rebecca Webster Jennings wyszła za mąż za potomka jednego z najbogatszych ludzi w Amarillo. Trzeciego czy czwartego z kolei - Tina nie była w stanie zapamiętać, które dokładnie miejsce na liście miejscowych bogaczy człowiek ów zajmował. Klan rodzinny działał na wielu poletkach, między innymi zajmował się budownictwem. Jej siostra lubiła przechwalać się tym, że Jenningsowie zbudowali jedną trzecią Amarillo. Becca spotkała Dereca Jenningsa na weselu przyjaciółki. Po trzech miesiącach odbyło się ich własne wesele, po którym wybrali się w podróż poślubną do Hiszpanii. Ich dzieci spędzały wakacje na ekskluzywnych obozach letnich, a oni sami co roku wyjeżdżali na Bahama. Becca - o czym Joan Webster każdorazowo przypominała swej młodszej córce - powodziło się bardzo dobrze, - Tiiiina! - zapiszczała radośnie Becca, zdając się płynąć po powierzchni perskiego dywanu. - Cudownie dziś wyglądasz! - Chwyciła siostrę i wyściskała ją zapamiętale.

- Dziękuję! Ty dopiero wyglądasz ekstra.

Tina miała na sobie praktyczną, nie gniotącą się sukienkę koloru różowego, Becca natomiast odziana była w szkarłatną podomkę. Z uszu zwisały jej się długie, lśniące kolczyki.

- Chcesz kawy, herbaty czy może coś innego? - spytała Becca.

- Nie, dziękuję. Naprawdę nie mam zbyt wiele czasu. Umówiłam się z mamą na lunch, a potem mam spotkanie grupy wsparcia.

- Och! Zawsze wpadasz jak po ogień. Żałuję, że nie mogę pójść z wami na lunch, ale mam akurat jakiś uroczysty obiad promujący fundację na rzecz budowy muzeum. Proszę cię, wejdź i usiądź.

Gdy były młodymi dziewczynami, słyszały częstokroć, że są do siebie podobne i w tamtych czasach Tina rzeczywiście dostrzegała między sobą a siostrą jakieś podobieństwo. Teraz wydawało jej się, że zniknęło ono całkowicie. Jej własny wygląd - na tyle, na ile potrafiła go ocenić - uderzał raczej swą prostotą i bezpretensjonalnością. U Becci natomiast wszystko - od wymuskaney fryzury do wypielęgowanych paznokci - było wyrafinowane i wytworne. Tina nie spotkała nigdy osoby, której nie podobałaby się jej siostra. Wszyscy uważali, że jest otwarta, serdeczna, energiczna i nadzwyczaj seksowna. Pozbawiona jakichkolwiek zahamowań, potrafiła angażować się bez reszty we wszystko, co robiła.

Nachyliła się teraz do przodu i dotknęła ramienia Tiny. Jej oczy lśniły radośnie.

- Umieram z niecierpliwości, żeby ci wreszcie coś powiedzieć. Zgadnij, kto się przedwczoraj u nas zatrzymał, będąc tutaj przejazdem?

- Nie mam pojęcia.

- Paul!

Tina poczuła bolesny skurcz serca. Zaciśnęła wargi.

- Czy masz na myśli doktora Michaela, mojego byłego męża?

- Przecież wiesz, że tak. Wygląda wspaniale, świetnie mu się powodzi. Pytał o ciebie.

- To doskonale. Słuchaj, Becca, jeśli jest ktokolwiek na świecie, o kim naprawdę nie mam ochoty rozmawiać, to właśnie Paul.

Tina poznała Paula w college'u, gdzie studiowała rolnictwo. Bardzo szybko się zaprzyjaźnili, ale musiały minąć miesiące, zanim ich związek przerodził się w romans. Zakochała się w nim tak, jak potrafią to robić młode, dojrzewające kobiety, wkładając w to całą swą namiętność i pasję. Nie byli z tego samego roku - Paul zaczął studiować dwa lata wcześniej - i gdy zrobił dyplom i znalazł pracę w innym mieście, ona nie namyślając się wiele przerwała swoje studia. Zdążyła się już zorientować, że na uczelni nie sposób nauczyć się nawet połowy tego, czego uczy każdy dzień spędzony na ranczu, zaś cyptom studiów rolniczych nie wydawał się specjalnie późny w życiu żony wielkomięjskiego dentysty, specjalizującego się w ortodoncji.

Wyjechała więc z nim radośnie do Dallas i podjęła pracę w klinice weterynaryjnej, podczas gdy on kończył specjalizację na uczelni medycznej. Następnie przeprowadzili się do Fort Worth, gdzie Paulowi zaproponowano praktykę w posiadającej już dobrą klientelę przychodni. Uważała, że są szczęśliwym małżeństwem. Potrafili cieszyć się sobą nawzajem, a seksualnie też byli raczej dobrze dobrani. Oboje chcieli mieć dwójkę dzieci, ale jeszcze nie teraz. Paul dał Tinie całkowicie wolną rękę, jeśli chodzi o karierę zawodową:

mogła pracować lub nie - wedle własnego uznania. I była rzeczywiście nadzwyczaj szczęśliwa... aż do dnia, w którym wróciła wcześniej z odwiedzin u ojca i zastała w domu Paula z Mazie. Od tamtej pory, ilekroć pozwoliła sobie o tym pomyśleć, zastanawiała się, czy Mazie rzeczywiście była jedyną kobietą, z którą Paul ją zdradzał. Raczej w to wątpiła. To zdarzenie stało się dla niej prawdziwą katastrofą, która pozostawiła po sobie coś więcej niż tylko ból, złość i poczucie odrzucenia. Kazało jej także zwątpić w trafność własnej intuicji i własnych osądów.

- Słowo honoru, że ja cię zupełnie nie rozumiem. Naprawdę - zwróciła się do niej Becca. - Jak ty możesz tak sobie po prostu zrezygnować z takiego mężczyzny?

- Zupełnie jakbym słyszała naszą mamę - zauważyła z uśmiechem Tina. - Rozumiem, że pytasz, jak mogę zrezygnować z dobrze prosperującego dentysty?

- Daj spokój, Tino! - Becca oglądała z uwagą któryś ze swych paznokci. - Przecież nie ma powodu, aby ze wszystkiego zrezygnować. - Szerokim gestem ręki wskazała na pokój i to, co się w nim znajdowało. Zdawała się pieścić wzrokiem posiadane przez siebie przedmioty. - Troszkę sobie poszalał i tyle. Przecież mogłabyś mu dać jeszcze szansę.

- Mam nadzieję, że nie dyskutowaliście na temat powodów naszego rozvodu?

- Właściwie nie. Wspomniał tylko, że zrobił głupstwo! a ty nie pozwoliłaś mu się wytłumaczyć i okazać skruchy. A co do powodów.... Nic mi nie powiedział, ale rozumiem, że chodziło o coś poważniejszego niż zdefraudowanie na wyścigach pieniędzy, jakie dałaś mu na kupienie sałaty.

- Masz rację. Konie to akurat nie było to, za czym Paul

najbardziej przepadał. Tylko ja już absolutnie nie mam ochoty o nim mówić. Rozumiesz, Beeco? Ostatnio mam tyle na głowie, że nawet myśleć mi się o nim nie chce. - To akurat było kłamstwem - myślała o nim, gdy doskwierała jej samotność.

- Wiem - powiedziała Becca wzdychając. - Jak się czuje tatuś?

- W niektóre dni lepiej, w niektóre gorzej.

- Ale tak... ogólnie, lepiej z nim nie jest?

Tina poczuła przyływ złości. Czasami miała wrażenie, że do jej siostry nie dociera to, co się do niej mówi.

- Nie, Becco. Ile razy mam ci powtarzać, że lepiej z nim już nie będzie. Tylko gorzej.

- Naprawdę, Tino, przykro mi o tym mówić, ale czy nie powinno się go umieścić tam, gdzie jest personel przyuczony do opieki nad takimi przypadkami i...

- Nie, jeszcze nie - przerwała jej Tina, energicznie kręcąc głową. - Nie wcześniej, niż będzie to absolutnie konieczne. Ale cieszę się, że w ogóle o nim wspomniałaś. Tatuś często ostatnio o tobie mówi. Naprawdę uważam, że powinnaś go odwiedzić. Nawet jeśli poprawi mu to nastrój chociaż na godzinę... Tyle tylko można teraz dla niego zrobić.

- Och, Tino! - Becca uciekła wzrokiem gdzieś w bok.

- To działa na mnie tak przygnębiająco!

- Rozumiem cię świetnie. Na mnie również. Trudno przecieżyć, na litość boską, żeby coś takiego jak demencja wprawiała nas w świetny humor.

- Ale słuchaj... Gdy byłam u was ostatnio, to on zachowywał się tak, jakby w ogóle nie wiedział, kim jestem.

- Mnie również stale pyta, w jaki sposób jestem z nim spokrewniona. Nie powinnyśmy się czymś takim przejmować.

- Zawsze lepiej niż ja radziłaś sobie z przeciwnościami

losu. - Becca wpatrywała się w swoje splecione jak do modlitwy dłonie. - Ja się do tego nie nadaję. Wystarczy, że się koło niego znajdę i od razu nie wiem, co mam robić i mówić.

- To naprawdę nie jest takie trudne - odparła Tina. - Należy z nim rozmawiać o prostych sprawach. Na przykład o dzieciach. I nie dziwić się, gdy zada ci jakieś śmieszne pytanie. Jeśli cię zapyta, kim, jesteś, to powiesz po prostu, że nazywałeś się Becca. Najchętniej wspomina przeszłość. Tę bardzo odległą. Pytaj go więc o wojnę. Druga wojna światowa to było największe wydarzenie w jego życiu i uwielbia o niej mówić. Osobliwością choroby Alzheimera jest to, że nie uszkadza ona najstarszych pokładów pamięci.

- Dlaczego coś tak okropnego musiało się przytrafić tatusiowi?! W dodatku rujnuje to również i twoje życie.

- Nie. Nic podobnego.

- Nie możesz stamtąd nigdzie się ruszyć, nic ze sobą zrobić. Nie kupujesz pięknych strojów, nie robisz sobie żadnych przyjemności. W ogóle nie rozumiem, jak ty to wszystko wytrzymujesz?

Jeśli sobie z tego zdajesz sprawę, to może byś mi trochę pomogła, miała Tina na końcu języka. Zamiast tego powie, działa jednak:

- Przyjdzie taki dzień, Becco, gdy będę mogła robić, co tylko zapragnę. Poza tym, że będę musiała odwiedzać tatusia w zakładzie. I to będzie mój jedyny, przeklęty obowiązek. Póki co więc nie zaniecham starań, aby żyło mu się jak najwygodniej i jak najlepiej. To wszystko, co na razie mogę zrobić.

Po upływie pół godziny, wymusiwszy na siostrze obietnicę, że wkrótce odwiedzi ojca, Tina opuściła jej mieszkanie i udała się na osiedle, gdzie mieszkała ich matka. Składało się

ono z czterech trzypiętrowych budynków usytuowanych wokół krajobrazowego ogrodu. Obiekt ten - stanowiący przedmiot dumy mieszkańców - doglądany był nadzwyczaj pieczołowicie: prawie nigdy nie zdarzało się, by Tina odwiedzając matkę nie zastała tam nowego, aktualnie działającego systemu zraszania. Wszystkie mieszkania miały balkony, a z większości z nich zwieszały się girlandy kwiatów. Słowem, trudno było wyobrazić sobie miejsce, które bardziej różniłoby się wyglądem od tego, jak wyglądał o tej porze roku zachodni Teksas.

Joan Webster czekała na nią. Tina spostrzegła, że stół na balkonie jest nakryty do lunchu.

- Myślałam, że cię gdzieś zaproszę - rzekła do matki.

- Tutejsza kuchnia jest wprost znakomita. Chciałabym, abyś spróbowała jej specjałów. Byłaś u Becci?

- Tak. Właśnie od niej wyszłam.

Joan obrzuciła swą młodszą córkę taksującym spojrzeniem.

- Wyglądasz dziś słodko, kochanie.

Nieodmiennie mówiła jej, że wygląda „słodko”, podczas gdy w stosunku do Becci używała zawsze sformułowania: „wyglądasz elegancko”. Tina nie była pewna, ale wydawało jej się, że to drugie określenie jest w ustach matki znacznie większym komplementem.

W wystroju mieszkania dominował kolor niebieski, szary, różowy i fioletowy, a wszystko było w nim bardzo eleganckie i kobiece - w stylu, w jakim nosiła się jego właścicielka. Tina nigdy nie była w stanie zrozumieć, jakim cudem Tim w ogóle zainteresował się jej matką. Był znacznie od niej starszy - giogło to wiele tłumaczyć - ale zważywszy, że należał do szóstego pokolenia teksaskich ranczerów, z całą ich tradycją

macho i męskiej dominacji... A przecież Joan uwielbiała wszystko organizować, kontrolować. Tina nie miała wątpliwości, że jej matka mogłaby zostać gubernatorem Teksasu, gdyby tylko coś podobnego przyszło jej do głowy. Współżycie z mężem, który okazał się tak sztywny i niepodatny na zmiany jak manekin, musiało być dla niej wyjątkowo frustrujące.

Oczywiście mogła jeszcze ingerować w życie swych córek, ale Tina, która zawsze przypominała kota chodzącego własnymi ścieżkami, nie dopuszczała do tego. W związku z tym Joan skoncentrowała swą niespożytą energię na Becce, która przyswoiła sobie te same co matka wartości i wyrosła na „prawdziwą damę”.

Tina nie bardzo się orientowała, dlaczego matce aż tak dobrze się powodzi. Nie był to w końcu jej interes. Wiedziała, że Tim przystał na jakieśkwoty alimentacyjne, które udało się jej korzystnie zainwestować. Skłonna była jednak przypuszczać, że Becca i jej mąż musieli pomagać matce finansowo. Derek - w trosce o swój image - nie mógł pozwolić na to, by jego teściowa żyła w zbyt skromnych warunkach. Co również oczywiście było jedną z tych rzeczy, do których nie powinna wtykać swego nosa...

- Siądź tutaj, kochanie - zwróciła się do niej matka. - Nie tam, tylko tu. No i opowiadaj, co u ciebie nowego.

Tina zajęła wskazane przez matkę miejsce na sofie.

- Niestety, jak zwykle niewiele wesołego mam do opowiedzenia.

- No właśnie. Ten twój biedny ojciec! Jakie to okropne! Jak on się czuje?

- Źle. I nigdy już się dobrze czuć nie będzie.

- Tak mi przykro! A szczególnie się martwię, że tobie jest

z tym tak ciężko. Czy nie można ci w czymś pomóc? Jeśli chodzi o pieniądze, to...

- Nie, nie. Dajemy sobie na razie radę. - Jak dotąd, było to prawdą. Finansowo powodziło im się nieźle, ale gdyby ojciec miał spędzić dziesięć czy dwanaście lat w zakładzie, to sytuacja uległaby drastycznej zmianie. Postanowiła jednak nie martwić się na wyrost. - Ale mam do ciebie, mamo, inną prośbę. Namów Beccę, żeby odwiedziła tatusia. Dużo o niej ostatnio mówił i mogłoby mu to sprawić ogromną przyjemność.

- Wiesz, Tino - matka sprawiała wrażenie niezadowolonej - przykro mi to powiedzieć, ale Becca nie najlepiej daje sobie radę z różnymi przeciwnościami żywymi.

- Głównie dlatego, że nie jest do tego zmuszona. A poza tym to nie są żadne przeciwności, tylko wielkie nieszczęście. On jest również jej ojcem. Chciałabym, aby pokazała mu się od czasu do czasu, dopóki jest jeszcze chwilami przytomny.

Joan wykręcała na wszystkie strony pierścionek na palcu prawej dłoni.

- Oczywiście. Zrobię, co będę mogła.

- Dziękuję. Bardzo mi na tym zależy. - Tina nie chciała bardziej nalegać. Widać było, że matka za wszelką cenę usiłuje zmienić temat. - A co u ciebie słychać?

- Czy Becca mówiła ci, że odwiedził ich Paul?

- Tak.

- Zadzwoił do mnie od nich. Uważam, że to było bardzo miłe z jego strony.

- Czarujące! Zachował się jak prawdziwy książę!

Joan z dezaprobatą syknęła.

- Daj spokój, Tino. Becca doszła do wniosku, że Paul z radością przywitałby jakąś formę dialogu między wami.

- Och, mammo! Przecież to już ponad dwa lata. Nie mam najmniejszej ochoty na jakąkolwiek rozmowę z nim.

Czy rzeczywiście tak było? Tego Tina tak naprawdę nie była pewna.

- Nie rozumiem cię, Tino. Przyjrzyj się, zobacz, jak twoja siostra potrafiła się w życiu urządzić. I wtedy może...

- Wyszła za mąż za bogatego faceta.

- A ty spokojnie pozwalasz sobie na to, żeby odrzucić bardzo dobrego męża...

- Nie był dobrym mężem.

- Odrzucić jak zużytą koszulę. Mężczyznę, przed którym stoi wspaniała kariera i który jest ci w stanie dać to wszystko, co Becca...

Szczęśliwym zrządzeniem losu w tym momencie odezwał się dzwonek. Joan poderwała się z miejsca i wpuściła kelnera, który przyniósł lunch. Reszta wizyty upłynęła na rozmowach o jedzeniu, które okazało się lekkostrawne i wykwintne, pogodzie, która jak na czerwiec była zbyt upalna i wreszcie o znajomych Joan. Gdy Tina zaczęła się żegnać, Joan wręczyła córce ostatni numer „Vogue”.

- Przeczytałam go już. Może zechcesz go sobie przejrzeć.

- Dziękuję, mammo.

Mogła to być subtelna sugestia, że matka nadal uważa, iż Tina powinna coś zrobić ze swoim życiem.

Tina cieszyła się z tych comiesięcznych spotkań. Dawały jej okazję, by porozmawiać z osobami, które los podobnie doświadczył. A ponieważ przychodziła na nie zawsze po wizytach u siostry i matki, ich dodatkową zaletą było to, że łagodziły urazy, jakie wywoływał w niej fakt, że dwie bliskie osoby stale i obsesyjnie powracały do sprawy jej rozvodu.

Spotkania odbywały się w sali konferencyjnej pewnej biblioteki. Na środku pokoju ustawiony był krąg wygodnych foteli. Pod ścianą stał automat z napojami chłodzącymi, a na składanym stoliczku - ekspres do kawy. Gdy Tina dotarła na miejsce, Hollis Red, którego żona chorowała na Alzheimera, odmierzał właśnie porcje kawy do kubeczków. Gdy otworzyła drzwi, odwrócił się i pozdrowił ją.

- Jak się masz, Hollis - odpowiedziała. - To świetnie, że udało ci się wyjść.

- Przyjechała do nas na tydzień siostra Mildred.
- Wspaniale ci się udało.
- Zawsze to jakaś pomoc.

Powoli pokój zaczął się wypełniać. Grupa składała się z piętnastu osób. Pochodziły one z najróżniejszych środowisk, ale wszystkim przytrafiło się to samo: u jakiejś kochanej przez nich osoby rozpoznano tę nieuleczalną chorobę. I wszyscy byli głównymi opiekunami. Te spotkania dawały im wiele albo zgoła nic - różnie można na to spojrzeć. Z pewnością nie byli w stanie dzięki nim uleczyć swych bliskich, ale mogli pomóc sobie nawzajem, dzieląc się doświadczeniami, wymieniając rady i sugestie.

Na razie stali rozproszeni w małych grupkach i rozmawiali o wszystkim innym, tylko nie o tym, co stanowiło ich główny problem. Na to miał przyjść czas później, gdy zjawiała się ich doradczyni, Kathryn Parker. Kiedy weszła, rozmowy ucichły i wszyscy zajęli swoje miejsca.

Kathryn była postawną, przystojną kobietą dobrze po czterdziestce. Zdawała się autentycznie przejmować losem każdego z członków grupy.

- Możemy już zacząć? Cieszę się, że prawie wszystkim udało się tym razem przybyć. Kto chce mówić pierwszy?

Pierwszy zgłosił się Hollis.

- Jestem bliski tego, by oddać Mildred do zakładu opiekuńczego. Mam już swoje lata i najzwyczajniej w świecie czuję się już fizycznie za słaby, by móc się nią nadal opiekować. Ale... tak naprawdę to zupełnie nie wiem, jak sobie z tym poradzę...

Dalej już wszystko potoczyło się jak zazwyczaj i przez czterdzieści pięć minut każdy coś mówił. Jedni długo, inni zaledwie kilka słów. Gdyby ktoś poprosił Tinę, aby jednym słowem oddała to, co było dominującym odczuciem w tej grupie, znalazłaby tylko jedno określenie - poczucie winy. Wynikające zresztą z przeróżnych powodów: że wcześniej nie zaobserwowali u swych bliskich symptomów, że czasem żywią do nich głęboką niechęć, że nie są w stanie zrobić dla nich wszystkiego co należy. Ale najgorsza była świadomość, że przyjdzie taki dzień, w którym będą zmuszeni oddać swego małżonka czy rodzica pod opiekę jakichś innych, zupełnie obcych ludzi. Poczucie winy nieodłącznie towarzyszyło ich życiu i te spotkania były jedyną okazją, aby jakoś to odreagować. Widać było wyraźnie, jak czyjaś twarz staje się mniej napięta, gdy komuś udało się wyzalić w gronie sympatyzujących z nim słuchaczy.

Gdy nadszedł czas, by zakończyć spotkanie, Kathryn otworzyła swój notatnik i powiodła oczami po zebranych.

- Chciałabym, abyście zechcieli przed naszym następnym spotkaniem coś dla mnie zrobić. Czy mogę was o to poprosić?

Odpowiedzią były potakujące skinienia głów i pomruk aprobaty.

- Obiecacie mi, proszę, że gdy bardzo wam już będzie trudno, to usiądziecie na chwilę i powiecie do siebie: „Jestem

wspaniałą osobą. Robię, co tylko mogę, i to w strasznych warunkach. Ale jestem tylko człowiekiem. Bóg nie wyposażył mnie w zdolność czynienia tego, co niemożliwe". Powtórzcie to tyle razy, ile zajdzie potrzeba. Proszę was o to. Dla waszego własnego dobra.

Gdy Tina weszła do domu przez tylne drzwi, była już prawie czwarta, Bardzo nie lubiła wracać tak późno. Kuchnia zastygła w stanie chwilowego spokoju i schludności. Ruby była nieobecna. Zniknął także samochód Yearwoodów, niebieska limuzyna zaparkowana zwykle obok domu, co oznaczało, że starsza pani zapewne wybrała się do miasta. Tina usłyszała jednak z głębi domu jakieś głosy i pospieszyła tam, skąd dochodziły.

Na środku salonu stał stolik do kart. Siedzieli przy nim Tim i Russell. Grali w jakąś grę. Tina kupowała dziesiątki gier specjalnie wymyślanych dla osób z zanikami pamięci. Czasami interesowały Tima, czasami zupełnie je ignorował. Teraz wydawało się jej, że świetnie się bawi. Nie zauważyli jej przybycia, stała więc jeszcze przez chwilę w przedpokoju, przyglądając się im i słuchając, o czym mówią.

Tim wpatrywał się w stolik. Nigdy nie było wiadomo, czy koncentruje się na grze, czy po prostu tylko patrzy nieruchomym wzrokiem.

Uniósł nagle głowę i spojrzał na Russella.

- Mówiłeś, że jak się nazywasz?
- Russell.
- Byłeś ze mną w czasie wojny na Salomonach?
- Nie. To było trochę wcześniej, niż się urodziłem.

Tima ta odpowiedź zdawała się satysfakcjonować. Spojrzał ponownie na rozłożone na stoliku karty, ale nie wykonał

żadnego ruchu mającego kontynuować grę. Po upływie kilku sekund jeszcze raz uniósł głowę.

- Skąd się tu wzięły te wszystkie moje rzeczy?

- O jakich rzeczach mówisz, Tim? - spytał łagodnie Russell.

- No... o wszystkim tu. - Ojciec szerokim gestem obu rąk zdawał się wskazywać na całe umeblowanie pokoju.

Russell zacisnął na moment wargi.

- Wiesz... właściwie to nie wiem. Ale to chyba dobrze, że tutaj są. Możemy się wszyscy z nich teraz cieszyć.

Tim zmarszczył brwi, ale po chwili skinął głową.

- Masz rację - orzekł.

Tinie serce podskoczyło do gardła. Russell wymyślił absolutnie genialną odpowiedź. Jej potrzebne były całe miesiące prób i błędów, studiowanie literatury i rozmowy z Kathryn, zanim nauczyła się radzić sobie z pozbawionymi częstokroć sensu pytaniami ojca. A on sam potrafił na to wpaść. Przeszła przez korytarzyk i wkroczyła do pokoju.

Russell, spostrzegłszy ją, poderwał się z miejsca i uśmiechnął radośnie.

- Cześć! - powiedziała go Tina, podeszła do ojca i położyła mu rękę na ramieniu. - Jak się masz, tatusiu! Zdaje się, że świetnie się bawieś, prawda? Widziałam się dziś rano z Beccą.

- Z kim?

- Z Beccą.

- Aha.

Tina spostrzegła, że jej obecność na tyle rozproszyła Tim, iż stracił zainteresowanie grą. Siłą nawyku zaczęła robić sobie wymówki. „Przecież wiesz, jak łatwo jest zakłócić jego zdolność koncentracji. Dlaczego nie poczekałaś?” Po chwili

dopiero przypomniała sobie to wszystko, o czym mówiono na spotkaniu, szczególnie zaś ostrzeżenia Kathryn, by nie mieć do siebie pretensji o każde głupstwo. „Przecież on i tak nigdy nie kończy żadnej gry. Obojętnie, czy mu ją ktoś przerwie, czy nie. Nie przejmuj się byle czym.”

- Zmęczyłem się tymi kartami - odezwał się Tim. - Chcę się zdrzemnąć.

- Oczywiście, tatusiu.

Russell okrążył stół i pewną ręką podtrzymał Tima za łokieć w chwili, gdy starszy pan wstawał od stolika.

- Fotel czy łóżko? - spytał.

Tim wskazał na swój wysłużony, wygodny fotel. Rozciągnął się na nim i po niespełna minucie już spał. Tina i Russell cichutko wyszli z pokoju.

- Na pewien czas można go tu spokojnie zostawić - wyjaśniła Tina. - Gdy się obudzi, pójdę z nim na spacer przed kolacją.

- Mam nadzieję, Tino, iż nie podejrzewasz mnie, że się migam od roboty. Po prostu Jake prosił, żebym go trochę pozabawiał w tym czasie, kiedy Ruby pojedzie do dentysty.

- Rób wszystko, o co cię tylko Jake poprosi, a będę szczęśliwa.

Russell poszedł za nią do kuchni. Wyjęła z lodówki dzbanek z herbatą i zaproponowała mu szklaneczkę, ale odmówił. Miał wrażenie, że przez ten krótki czas spędzony na ranczu wypił więcej mrożonej herbaty niż przez całe dotychczasowe życie. Ci ludzie tutaj głównie tym żyli. Ale musiał przyznać, że gdy temperatura na dworze była zaledwie o pięć stopni niższa niż w piekle, miało to jakiś sens.

- Wiesz, Tino, twój ojciec opowiedział mi dziś niesamowitą historię.

- Tak?

- Tak. Coś o instalowaniu zamrażarek na jakiejś wyspie na południowym Pacyfiku w czasie drugiej wojny światowej.

Tina uniosła oczy ku niebu.

- Wiem, wiem. Po to, żeby piechota morska mogła wylądować i założyć bazę. Jego oddział dostał za to jakieś tam odznaczenie. Tatuś służył w batalionie saperów.

- Rzeczywiście miało to miejsce?

- Sądzę, że tak. Od urodzenia wysłuchiwałam tej historii.

W sumie przynajmniej z pięćset razy.

- Ale szczegóły w jego opowieści są nadzwyczaj żywe.

- Och, tatuś dawne zdarzenia pamięta świetnie. Tyle że raz na dwa razy nie pamięta, że jestem jego córką.

- To jest jakieś... niesamowite i smutne - rzekł Russell.

- Słuchaj, gdy zabierałem tę grę z gabinetu, zauważyłem tam jakieś książki o chorobie Alzheimera. Mam ochotę je przeczytać. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dobrze, ale... po co masz je czytać?

- Pomyślałem sobie, że gdybym więcej na ten temat wiedział, to mógłbym być bardziej pomocny Timowi.

Tina postawiła szklankę na blacie kuchennym, skrzyżowała ręce i badawczo przyjrzała się Russellowi. Tak szybko przyzwyczała się do jego obecności tutaj. Jake go również polubił, a to akurat mówiło wiele o charakterze Russella. Jake mógł uchodzić za podstarzałego chłopka roztropka, ale dla Tiny był on najlepszym znawcą natury ludzkiej, jakiego kiedykolwiek spotkała. Osoba, która zasługiwała na jego sympatię, musiała być po prostu absolutnie w porządku.

- Chciałam ci coś wyznać - zaczęła, a gdy skinął przyzwalająco głową, ciągnęła dalej: - Po pierwszym dniu byłam niemal pewna, że dasz sobie spokój z tą pracą.

- Ja też - przyznał, błysnąwszy zębami w uśmiechu.

- Miałem zamiar pojechać do miasta, i zaszyć się w jakimś motelu do czasu, aż mój samochód zostanie naprawiony.

- To dlaczego tego nie zrobiłeś?

Russell całą siłą woli powstrzymał się od tego, by nie wyciągnąć ręki i nie powieść palcem po obrysie jej ust. Tina tego popołudnia wyglądała tak, że szczególnie trudno było mu zachować się wobec niej obojętnie. Po raz pierwszy widział ją w sukience, a wyglądała w niej prześlicznie, nadzwyczaj kobieco. W dodatku miała wyjątkowo zgrabne nogi.

- Sam nie wiem - odrzekł. - Może dlatego, że nigdy jeszcze nie pracowałem u kogoś, kto byłby tak ładny.

Tina nie była przekonana, czy Russell rzeczywiście uważa ją za ładną, czy po prostu pozwala sobie na męskie zalecanki. Ale w tym momencie było jej wszystko jedno. Jeśli nawet za tymi słowami nic się nie kryło, to i tak miło było je usłyszeć.

- Mam nadzieję, że nie miałeś na myśli Jake'a.

- Przecież wiesz, że nie.

Nastąpiła chwila tętniącej w uszach ciszy. Pierwszy doszedł do siebie Russell.

- Pójdę zobaczyć, co Jake będzie miał dla mnie jeszcze do roboty.

Chciał jak najszybciej wynieść się stąd, zanim do reszty zrobi z siebie durnia. Był już w drzwiach, gdy zatrzymał go głos Tiny.

- Russell? i

- Słucham, - Odwrócił się.

- Są jakieś nowe wieści o twoim samochodzie?

- Uhm. Okazało się, że potrzebny jest jakiś specjalny lakiernik. Leon dostanie go nie wcześniej niż za tydzień.

- Rozumiem, że cię to bardzo zmartwiło.

- Nie tak bardzo. Sprawdziłem: Kalifornia jest nadal tam, gdzie była. - Błysnął zębami w uśmiechu i wyszedł.

Tina zmarszczyła brwi. A więc wóz nie będzie gotowy przed upływem następnych dwóch tygodni. Nie bardzo wiedziała, jaki ma właściwie do tego stosunek. Wspaniale było mieć go tutaj, a dla Jake'a Russell okazał się wielką wyręką. Wiedziała jednak, że każdy następny dzień jego pobytu uczyni pożegnanie trudniejszym. W warsztacie Shawa mogą robić swoją robotę w żółwym tempie, ale w końcu przecież ją skończą. I wtedy Russell odjedzie. Po to, by osiąść wkrótce w tym swoim wyśnionym raj. Z początku będzie sobie pewnie od czasu do czasu ich przypominał, a potem zapomni. Nie podobą jej się taka perspektywa. Wiedziała, że będzie za nim tęsknić.

Westchnęła z niechęcią i z całej siły odepchnęła się rękami od kuchennego blatu. Musi sprawdzić, co się dzieje z Timem. Dostyc ma prawdziwych kłopotów i nie powinna sobie stwarzać następnych. Dopóki Russell zostanie z nimi, powinna się cieszyć, że ma jakieś urozmaicenie. A tego ostatnio bardzo w jej życiu brakowało.



Russell rzeczywiście stanowił dla niej niezwykle urozma-
icenie. Był samotnym i do tego atrakcyjnym mężczyzną. Jego
obecność sprawiała często, że przychodziły jej
do głowy myśli, na które nie pozwalała sobie od czasu rozwo-
du. Ale był jeszcze inny, bardziej subtelny powód, dla którego
czasem trudno było jej przebywać w pobliżu niego. Russell
przyniósł ze sobą wizję świata wykraczającego poza ograni-
czony światek Tiny. Zaczęła tęsknić za utraconą wolnością, a
na to absolutnie nie powinna sobie pozwolić. Jediną miarą i
kontrolerem jej dni był Tim - i tak miało być jeszcze przez ileś
tam lat.

Ale mimo wszystko chętnie słuchała opowieści Russella ze szlaków wielkich ciężarówek i oddawała się marzeniom. To wszystko razem było śmiechu warte. Wiedziała przecież, że nie ma on nic wspólnego z tym ranczem, choćby z uwagi na jego dotychczasowe zajęcia. Ona zresztą też nie identyfikowała się ze swoją obecną pracą. Różnica między nimi była jednak taka, że Russell mógł stąd odjechać w każdej chwili, a ona nie.

Podziwiała go za decyzję pozostania na ranczu. Nie bardzo wiedziała, dlaczego tak postąpił, ale była bardzo zadowolona. Tak wspaniale jej się z nim rozmawiało. Miał w sobie coś, co sprawiało, że stawała się przy nim gadułą: potrafił ją sprowokować do tego, by mówiła o sobie. Opowiadała mu o swojej rodzinie, o dzieciństwie spędzonym na ranczu, nawet trochę o swoim małżeństwie. Wkrótce odniosła wrażenie, że Russell zdołał się o niej dowiedzieć więcej niż ktokolwiek inny, włączając w to Ruby.

Kiedy natomiast opowiadał o sobie - a czynił to tylko wtedy, gdy Tina natarczywie go wypytywała - sypał jak z rękawa tysiącami anegdotek nzbieranych w ciągu lat spędzonych za kierownicą. Podczas tych rozmów nieodmiennie powracał temat północnego wybrzeża Kalifornii. Już samo to nadzwyczaj ją intrygowało. Nigdy nie zabiegała, by spełniło się jakieś jej marzenie, nie było jej więc łatwo zrozumieć mężczyznę, który odkładał pieniądze i nie przestawał myśleć o jakimś miejscu przez dziesięć długich lat, po czym rzeczywiście wyruszył, by się w nim znaleźć. Mogła tylko mieć nadzieję, że się nie rozczaruje, gdy wreszcie tam dotrze.

- Dobrze, tatusiu - powiedziała Tina. - Teraz będziemy się ubierać. - Wskazała poszczególne części garderoby, rozło-

żone na łóżku w tej kolejności, w jakiej Tim miał je na sobie włożyć. - Najpierw koszula.

Tak właśnie zaczynał się każdy dzień. Dla kogoś, kto nie wiedział nic o chorobie ojca, jego ubranie mogłoby wydać się dziwne. Każda rzecz - od koszuli po buty - pomyślana była tak, aby można ją było po prostu szybko wciągnąć. Jego garderoba nie miała żadnych dziurek od guzików czy sznurówadeł, a Ruby zamieniła nawet suwaki w spodniach na rzepy. Cały proces przygotowywania Tima do nadchodzącego dnia zabierał zwykle około dwudziestu minut i do każdego kolejnego kroku trzeba go było usilnie namawiać. Gdy przestawała mówić, on przestawał się ubierać. Tina wiedziała, że mogłaby ten czas skrócić o połowę, gdyby sama go ubrała, ale nie pozwalała sobie na to. Uważała, że należy pomóc mu zachować każdą formę godności.

Wreszcie był gotów. Poglaskała gors jego koszuli i obwieściła radośnie:

- No nareszcie! Prezentujesz się bardzo przystojnie.
- Jestem głodny - oświadczył Tim.
- Naprawdę? To wspaniale. Założę się, że Ruby zdążyła nam już przygotować śniadanie.

Usłyszała wołanie Ruby. Wyszła do holu i dopiero wtedy zrozumiała, że dzwoni Becca. Krzyknęła, że odbierze telefon w swoim pokoju. Wróciła do sypialni, posadziła Tima na krańcu łóżka i poprosiła, aby chwilę na nią zaczekał. Skinął głową i usiadł posłusznie jak dziecko, z rękami splecionymi na kolanach. Pośpieszyła do swego pokoju po drugiej stronie holu i podniosła słuchawkę.

- Jak się masz, Tino. Słuchaj, mam wolne popołudnie i może... To znaczy chciałam przyjechać i zobaczyć się z ojcem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Joan zdążyła ją zapewne urobić. Tina w duchu podziękowała matce.

- Ja miałabym mieć coś przeciwko temu? Coś ty! To wspaniale. Strasznie się cieszę.

- Trochę się obawiam tego spotkania. Chciałabym dostać od ciebie jakieś wskazówki. O czym na przykład mam z nim mówić?

Tina próbowała sobie przypomnieć, ile czasu minęło od momentu, gdy Becca ostatni raz widziała Tima. Musiały chyba upłynąć całe miesiące, a on zmieniał się przecież bez przerwy, z dnia na dzień. Obawiała się, że dla siostry może to być bardzo smutna niespodzianka.

- Becca, musisz się postarać, żeby wszystko było jak najprostsze. Nie próbuj mu czegokolwiek tłumaczyć i nie poprawiaj go, jeśli będzie mówił coś kompletnie od rzeczy. Przede wszystkim zaś pozwól, żeby raczej on mówił, tak długo, jak długo ma na to ochotę. I uzbrój się w cierpliwość, bo być może będziesz musiała wysłuchiwać czegoś, co słyszałaś już sto razy. A jeśli przypadkiem nie zechciałby sam mówić, to opowiedz mu najprościej, jak potrafisz, co robiłaś w zeszłym tygodniu. Może na to zareaguje, ale może równie dobrze nie zareagować. Nie przejmuj się niczym, opowiadaj cały czas swoje i nie obraż się przypadkiem, jeśli nagle usnie, nie wysłuchawszy do końca jakiegoś zdania. Tatuś nie zawsze reaguje poprawnie na to, co inni mówią albo robią.

- Ty chyba starasz się mnie nastraszyć - odezwała się po dłuższej pauzie Becca. - Przesadzasz trochę, prawda?

- Chciałabym, żeby tak było. I nie próbowałam cię straszyc. Próbowałam cię przygotować na to, co tu zastaniesz.

- Może dziś nie jest stosowny dzień. Wolalabym przyjechać kiedy indziej.

- Nigdy nie będzie już stosownego dnia. Proszę cię, przyjeźdź. Obejrzenie nowej twarzy może być dla niego czymś cudownym. Przecież nie musisz siedzieć długo. Wystarczy godzina lub dwie.

- No... to dobrze. Ale długo naprawdę nie będę.

Wydawało mi się, że miałaś wolne popołudnie, pomyślała ze smutkiem Tina.

- Oczywiście, rozumiem cię - westchnęła zrezygnowana.

- No to do zobaczenia około drugiej.

- Będę na ciebie czekać.

Boże drogi, tak pragnęła, żeby ta wizyta się udała. Ze względu na Tima i na nią samą. A także ze względu na Beccę.

Tina odłożyła słuchawkę i poszła zabrać Tima z jego pokoju. Gdy tylko tam weszła, zatrzymała się jak wryta. Ojciec stał na środku sypialni, goły jak święty turecki, w samych skarpetkach. Jego ubranie leżało zrzucone na kupę na podłodze. Tina przyłożyła dłoń do czoła i patrzyła na niego, nie wierząc własnym oczom.

- Tatusiu! Czemu się, do licha, rozebrałeś?

- Bo wybieram się właśnie do łazienki.

Tina wolno oparła się o framugę drzwi, czując, jak w jej gardle gotuje się śmiech. Był, co prawda, trochę histeryczny, ale pozwolił jej powstrzymać się od płaczu. Zmusiła się, by pozbierać jego ubranie i ułożyć je w tym samym pedantycznym porządku. Następnie zrobiła głęboki wdech.

- No dobrze, tatusiu. Teraz będziemy się ubierać. Ale tym razem zaczniemy od kałesonów.

Ta popołudniowa wizyta nie należała do kategorii zdarzeń, które pamięta się latami. Tina przypomniała sobie poniewczasie, że jej ojciec zwykł ucinać sobie około drugiej drzem-

kę. Po lunchu starała się więc za wszelką cenę zająć go czymś - i to zdaje się nie był najlepszy pomysł.

Becca była punktualna, zjawiała się dokładnie o drugiej. Przywitawszy się z Tiną w drzwiach, pożeglowała prosto do salonu, gdzie Tim siedział w swoim fotelu.

- Tatusiu! Jak się cieszę, że cię widzę! - Nachyliła się nad fotelem i pocałowała ojca w policzek.

Przyglądał się jej przez sekundę lub dwie, po czym zapytał:

- Jak się ma twoja rodzina?

Becca wyprostowała się, spojrzała skonsternowana na Tinę, zmarszczyła brwi i zapytała ojca:

- Masz na myśli Dereka i dzieci? Wszyscy czują się świetnie.

Tina postąpiła krok naprzód.

- To Becca, tatusiu. Przyszła nas odwiedzić.

- Znowu się spóźniłaś - warknął Tim, zwracając się do nowoprzybyłej.

- Nie. Nic podobnego. - Policzki Becci zrobiły się czerwone. - Mówiłam, że będę o drugiej i jestem o drugiej.

- A ja ci mówiłem, że masz wrócić do domu o jedenastej.

Przyzwoite dziewczyny nie szwendają się poza domem do drugiej w nocy. Nie rozumiem, dlaczego twoja matka tak cię rozpuściła.

Becca była do tego stopnia oszołomiona, że aż zaniemówiła.

Tina ujęła ją za ramię i wskazała miejsce na sofie.

- Siadaj. Zrobię dla nas herbatę.

Becca spojrzała na nią błagalnie, ale siostra powiedziała tylko:

- Becca i Derek wybierają się wkrótce na Wyspy Bahama. Czy chcesz tatusiu usłyszeć o ich planach wakacyjnych?

- Czy opowiadałem wam już kiedyś o tym, jak byłem

w czasie wojny na Wyspach Salomona? - spytał Tim, nie adresując zresztą tego pytania konkretnie do którejś z nich. Becca wzniosła oczy ku niebu.

- Nie. Nie przypominam sobie, żebyś coś takiego opowiadał - odparła Tina, zmuszając się do uśmiechu. - Jestem pewna, że Becca z radością tego posłucha. A ja zaraz wrócę.

Wymknęła się z pokoju dokładnie wtedy, gdy Tim rozpoczął swą opowieść:

- Shorty Gordon i ja zaciągnęliśmy się do wojska zaraz po Pearl Harbor. Zaokrętowano mnie razem z nim. To było w San Francisco, siedemnastego maja czterdziestego drugiego roku...

Będąc już w kuchni, Tina nie śpieszyła się. Przygotowała dwie szklanki herbaty dla siebie i siostry oraz szklaneczkę wody dla ojca, choć i tak była pewna, że jej nie tknie. Nie miała wątpliwości co do tego, że Becca musi się czuć nie najlepiej - i może zastosowała w tym momencie chwyt poniżej pasa - ale uważała, że jej siostra powinna spędzić pewien czas sama z ojcem. Powinna zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo zaawansowana jest jego choroba. Może wtedy będzie potrafiła zrozumieć, jak bardzo musi to być dla niej, która jest z nim na co dzień, frustrujące.

Postawiła szklanki na małej tacce i opuściła kuchnię, ale zanim weszła do pokoju, zatrzymała się na chwilę, aby posłuchać, co się tam dzieje. Tim nadal mówił - co było pocieszające - ale po chwili zorientowała się, że nie opowiada już o wojnie. Jego głos zdradzał skrajne pobudzenie.

- Czy przyszedł tu po to, żeby zabrać mnie z tego miejsca? - pytał właśnie Beccę.

- Nie... Dlaczego miałabym... - Becca rozpaczliwie szukała słów.

- Nienawidzę tu być, Nie dają mi tu w ogóle jeść. Nikt tu na mnie nie zwraca uwagi. I nie znam tu nikogo. Ja chcę do domu.

- Ale przecież jesteś w domu. Mieszkałeś tu już, zanim ja się urodziłam.

- Ja chcę wrócić do domu na Sutter Street.

- Przecież wyprowadziłeś się stamtąd, gdy byłeś jeszcze chłopcem. - Becca robiła wrażenie, że za chwilę się rozplącze. - Razem z babką i z dziadkiem. Miałeś wtedy chyba... dziesięć lat... czy coś takiego.

O Boże - pomyślała Tina - przecież mówiłam jej aż do znudzenia, aby nie próbowała mu niczego tłumaczyć. Pośpiesznie weszła do pokoju. Gdy stawiała na stole tacę, trzęsły jej się ręce.

- No, proszę! Komu chce się pić?

- Mnie się chce jeść! - powiedział ze złością Tim i odchylił się do tyłu w swym fotelu. - Nie jadłem śniadania i nikt nie podał mi lunchu.

Tina nie próbowała się z nim spierać. Zawsze jadł tak bez apetytu i wybrzydzał, że mogło mu się zdawać, iż nie dostaje nic do jedzenia.

- Prawie nic nie zjadłeś z tej sałatki z tuńczyka w południe. Zrobię ci sandwicza. Co ty na to?

- Naprawdę chętnie coś bym zjadł - udobruchał się Tim.

Tina zaprosiła gestem ręki Beccę, by wyszła z nią, co sprawiło tej ostatniej wyraźną ulgę. W kuchni obie przez chwilę w milczeniu patrzyły sobie w oczy.

- Co on ode mnie chciał? - spytała drżącym głosem Becca.

- Pewnie trudno ci będzie w to uwierzyć, ale ta jego kłótność nie wynika z żadnej premedytacji. On jest po prostu całkowicie zagubiony i nic na to nie można poradzić.

- Ale dlaczego tak się do mnie przyczepił? Przecież to jest nie do zniesienia.

- Chciałam, abyś na własne oczy to zobaczyła. Inaczej nie miałabyś pojęcia, jak to naprawdę wygląda.

- Czy on zawsze jest taki?

- Każdy dzień jest inny. Nie mogę planować niczego na jutro, bo nie mam pojęcia, jakie się ono okaże. A poza tym martwienie się o następny dzień zabiera mi energię, która jest mi potrzebna na dzień bieżący. - Tina podeszła do lodówki.

- Przygotuję mu tę kanapkę. Zawsze się cieszę, gdy tatuś zdradza najmniejsze zainteresowanie jedzeniem. A skoro już przy tym jesteśmy, to on naprawdę dostaje zawsze na czas. Tylko co z tego, kiedy je bardzo mało.

- Przecież ani przez sekundę nie pomyślałam, że załujesz staremu, choremu człowiekowi jedzenia. Ale chudy to on jest rzeczywiście. - Becca usiadła przy stole kuchennym. - Nie rozumiem, jak ty to wytrzymujesz. Ja bym tego nie zniosła. Podejrzewam, że żyjąc tutaj stałabym się tak samo niepoczytalna jak ojciec. Tino, dlaczego nie umieścisz go w jakimś zakładzie, w którym zająłby się nim wykwalifikowany personel?

- Jeszcze nie pora na to. - Tina wyjęła sałatkę z tuńczyka z lodówki i zaczęła przyrządzać kanapkę. - Nie jest z nim jeszcze tak źle.

- Nie jest tak źle?! - krzyknęła Becca. - A czy może być w ogóle jeszcze gorzej?

- Tatuś nadal kwalifikuje się do opieki ambulatoryjnej. Gdy go się dogląda, to jeszcze potrafi samodzielnie wykonywać pewne czynności. Jest mi go strasznie żal. Przecież każdemu z nas zdarza się na chwilę utracić orientację. Dla mnie jest to okropne doznanie. I dlatego wyobrażam sobie, jak mu-

si się czuć ktoś, kto każdego dnia, z minuty na minutę jest coraz bardziej dezorientowany co do miejsca i czasu. Nie! Zostanie tutaj tak długo, jak tylko to będzie możliwe.

Becca z niedowierzaniem pokręciła głową, po czym zaczęła się nad czymś zastanawiać.

- Czy sądzisz, że choroba Alzheimera jest dziedziczna?
Tina spojrzała przez ramię na siostrę.

- To jest akurat ostatnia rzecz, którą się przejmuję. Za stare już jesteśmy, aby wybrać sobie innych rodziców.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do domu wszedł Russell. Na widok obu kobiet zatrzymał się w progu.

- Przepraszam. Czy przeszkodziłem w czymś?

- Nie, nie - odparła szybko Tina. - Wejdz, proszę. Russell, chciałabym, abyś poznał moją siostrę.

Nastąpiła formalna prezentacja i wymiana formułek grzecznościowych.

- Jake wysłał mnie dzisiaj na objazd całego okręgu. Miałem kupić masę rozmaitych rzeczy - wyjaśnił Russell. - A teraz wpadłem na chwilę, aby zajrzeć do Tima, zanim pojedę z powrotem do tej kopalni soli.

- Świetnie. - Tina wręczyła mu talerzyk z przygotowanym sandwiczem. - Tim jest w salonie. Jak chcesz, to mu to zanieś.

- Chętnie. Zaraz do was wrócę, drogie panie.

Becca przyglądała mu się z zainteresowaniem, a gdy tylko oddalił się na tyle, aby nie móc ich słyszeć, zwróciła się do siostry.

- Kto to taki?

- Russell? Wiesz... to... długa historia. Miał pewne kłopoty, ugrzązł tu na pewien czas i chwilowo pomaga Jake'owi.

- Chcesz powiedzieć, że ten człowiek pracuje tu jako sezonowy robotnik rolny?

- No, niezupełnie. Płacimy mu, ale nie jest on takim zwykłym robotnikiem...

- Właśnie widzę. Skąd on przybył?

- Z Arkansas.

Tina nie miała ochoty rozmawiać o Russellu z Beccą, wiedząc o tym, że ta powtórzy wszystko matce i w czasie jej następnej wizyty temat ten będzie wałkowany w nieskończoność. Konwersację przerwał im Russell, wróciwszy do kuchni z talerzem, na którym leżał ten sam sandwicz.

- Nie było chętnych. Usnął.

- Tak to właśnie jest z tym karmieniem go - westchnęła Tina.

Russell postawił talerz na blacie kuchennym i spojrzał na Tinę z prawdziwą troską w oczach, po czym zrobił coś nieoczekiwanego - wyciągnął rękę i dotknął delikatnie jej policzka.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Bo rzeczywiście jestem zmęczona. Taki na mnie przyszedł dzień.

- Nie możesz trochę odpocząć, dopóki tatuś śpi? Jeśli nie będę natychmiast potrzebny Jake'owi, to posiedzę z Timem, a ty odsapnij.

Tinę ujęła jego troskliwość. Jedną z urokliwych cech osobowości Russella była umiejętność dostrzegania niemal wszystkiego. Przez dłuższą chwilę cała jej uwaga skupiła się na nim. Niemal zapomniała o Becce. Po chwili jednak przypomniała sobie o obecności siostry. Otrząsnęła się z zadumy.

- Dziękuję, ale czuję się dobrze. Naprawdę.

Becca nagle podniosła się z miejsca.

- Tino, ponieważ ojciec usnął, to ja już chyba sobie pójdę. Nic tutaj po mnie. On nie wie w ogóle, kim ja jestem i zapewne nie będzie nawet pamiętał, że tu w ogóle byłam.

- Zapewne nie będzie - przyznała szczerze Tina. - Rzadko kiedy pamięta o czymkolwiek, co zdarzyło się przed dziesięcioma minutami. A jednocześnie świetnie pamięta dokładną datę zaokrętowania w San Francisco w czterdziestym drugim roku. Przykro mi, że się to jakoś lepiej nie ułożyło, ale... i tak dziękuję ci, że przyjechałaś.

- To wszystko razem jest bez sensu. Nadal uważam, że ojciec wymaga profesjonalnej opieki. - Ramiona Becci uniosły się w górę i opadły. Był to gest pełnej bezradności. - Zostawiłam torebkę w salonie. Nie zwracaj sobie głowy odprowadzaniem mnie.

- Nie, nie. Pójdę z tobą do samochodu. - Tina ruszając za siostrą, rzuciła Russellowi przez ramię: - Zrób sobie coś do picia. Zaraz wracam. - Chciała go w ten sposób poprosić, by jeszcze nie odchodził.

- Dobrze. Miło było mi cię poznać, Becco.

Siostra Tiny, wyraźnie już nieobecna myślami, skinęła głową i pożegnała go taką samą grzecznościową formułką.

Obie kobiety opuściły kuchnię. Russell podszedł do lodówki, aby wyjąć wiecznie w niej obecny dzbanek z mrożoną herbatą. A więc to była ta Becca. Tina mówiła mu, że jej siostra jest piękna i chyba miała rację. Ale było to takie piękno na pokaz. Tina podobała mu się znacznie bardziej.

Najwyraźniej ta wizyta nie należała do udanych. Szkoda. Tinie przydałby się ktps z rodziny, na kim mogłaby się oprzeć. Ale nic z tego, co na temat siostry Tina zdążyła mu opowiedzieć, nie wskazywało, by była to właśnie Becca.

Zaniósł swoją szklankę na stół, usiadł i zamyślił się. Przestudiował już książki Tiny na temat choroby Alzheimera i uważał, że mogłby stać się dla niej prawdziwie pomocny. Nic, co było tam napisane, specjalnie go nie przeraziło. Polubił Timę i były

takie chwile, gdy potrafił dostrzec w nim ślady po tym twar-
dym, starym dziwaku, jakim musiał być kiedyś.

A Tinie naprawdę chciał jakoś pomóc. Podziwiał ją za to,
że w sposób tak sensowny i rzeczowy stawia czoło temu, co
bezsprzecznie jest prawdziwą tragedią. Pracuje bezustannie
od świtu do nocy, a prawie wszystko, co robi, ukierunkowane
jest na to, by zapewnić Timowi bezpieczeństwo, wygodę i za-
chować resztki jego zdrowia. Russell złapał się na tym, że
zaczął żałować, iż nie było mu dane poznać ich obojga, zanim
jeszcze zaczęła się ta historia z postępującą demencją. Wyob-
rażał sobie, że musieli się świetnie ze sobą dogadywać. Dla-
czego takie paskudne choróbsko musiało przyplątać się akurat
do takich miłych ludzi?

No, ale stało się. I naprawdę warto im pomóc. Oczywiście
nie może się w to zbyt głęboko angażować. Będzie mógł
poświęcić trochę uwagi Timowi przez, pewien czas. W pi-
śmiennictwie podkreślano wielokrotnie, że każda forma wy-
ręki - nawet bardzo skromna czasowo - może mieć dla głów-
nego opiekuna chorego ogromne znaczenie.

Tina wróciła do kuchni z wyrazem znużenia i rezygnacji
natwarży.

- No i tyle z tego wyszło - rzekła ze smutnym uśmie-
chem. - Sądzę, że nieprędko się tu znowu pokaże. Kolejny
mój wspaniały pomysł zdał się psu na budę.

- Nie udało się, prawda?

Przeszła przez kuchnię i usiadła przy stole naprzeciw niega

- A tam! Wiesz, Becca...to po prostu Becca. Może nawet
miała dobre chęci. Podejrzewam, że gdyby sytuacja się od-
wróciła, gdybym'to ja nie widziała tatusia przez kilka miesię-
cy i nagle tutaj do niego dziś przyszła, to też byłabym trochę,
wstrząśnięta. Cały ten mój pomysł był bez sensu. Myślałam,

że ojca ucieszy widok jakiejś nowej twarzy, ale teraz zdaję sobie sprawę, że on wcale nie potrzebuje żadnych nowych wrażeń ani sytuacji. Bardziej mu odpowiada rutyna.

- Ale to w końcu zrozumiałe, prawda?

- Kilka dni temu, kiedy przyprowadziłam tatusia ze spaceru, to nawymyślał mi za to, że czasem prowadzę go przez frontowe, a czasem przez tylne drzwi. Powiedział, że mu się przez to wszystko myli i potem nie potrafi zapamiętać, gdzie się nagle znalazł. Samo to, jak zaczął się ten dzień, powinno być dla mnie wskazówką, że nie jest to dobry moment na odwiedzinę Becci.

- A jak się zaczął?

- Przy śniadaniu nie mogłam wam o tym powiedzieć, bo nie chciałam mówić przy nim, ale... - Zrekapitułowała poranny epizod z ubieraniem, rozbieraniem i ubieraniem.

Oboje zachichotali, ale był to raczej smutny śmiech.

- Tino - odezwał się po chwili Russell. - A może ja bym rano pomagał mu się ubierać. No wiesz... do czasu, kiedy tu będę.

- Dlaczego ty masz to robić? - Tina wyglądała na całkowicie zaskoczona.

Russell wzruszył ramionami.

- No wiesz... Jestem mężczyzną...

Zdażyłam to zauważyć, pomyślała.

- I jako mężczyzna... myślę sobie, że byłoby to dla mnie skrajnie upokarzające, gdyby miała mi pomagać w ubieraniu się moja dorosła córka.

- Przecież i tak będę musiała to robić, gdy wyjedziesz.

- Czemu? Może Jake powinien to robić? Ale proszę cię, pozwól mi spróbować, póki tu jestem. Przeczytałam te twoje książki i wygląda na to, że naprawdę w wielu rzeczach mógłbym cię wyręczyć.

Tina zastanawiała się, czy skorzystanie z jego propozycji nie byłoby błędem. Russell długo już tu nie zabawi, a wiedziała, jak łatwo przyzwyczać się do tego, że można się kimś wyreńczyć. Oczywiście stale korzystała z pomocy Jake'a i Ruby. Gdyby nie oni, to Tim musiałby się już znaleźć w zakładzie.

- Nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę z tego, na czym naprawdę polega ten poranny rytuał - powiedziała. - Tatuś miewa napady osłego uporu i to wszystko potrafi się przeciągać w nieskończoność. Czasami wścieka się, że to nie jest jego ubranie i chce się dowiedzieć, do kogo ono należy. Nie wyobrażasz sobie nawet, co mu potrafi przyjść do głowy.

- Pozwól mi spróbować. Z początku możesz mnie trochę poinstruować, a jeśli się okaże, że nie daję sobie rady, to trudno.

Właściwie bardzo by to było dobrze, pomyślała. Ubieranie ojca stanowiło dla niej jedną z najbardziej zniechęcających czynności - i to nie z powodu trudności z tym związanych, lecz z przyczyny, o której wspomniał Russell: rzeczywiście mogło to być dla Tima upokarzające.

- Dobrze - zgodziła się. - Bardzo ci dziękuję.

Russell błysnął zębami. Znowu ten sam rozbrajający uśmiech, pomyślała. Wysączył szklankę do dna i wstał.

- Lepiej wezmę się do jakiejś roboty. No to na razie. Do kolacji.

- Na razie. Do zobaczenia.

Tina nie ruszyła się od stołu jeszcze przez kilkanaście minut po jego wyjściu. Tim nadal spał. Z uwagą wsłuchiwała się w każdy odgłos dochodzący z salonu. Miała już zakodowane wzory dźwięków, jakie wydawał ojciec - podobnie jak matka, która zna dźwięki wydawane przez dziecko - i ze stałą

czujnością reagowała na wszelkie zmieniające się ich odcienie. Ponieważ Ruby robiła dzisiaj cotygodniowe zakupy w mieście, w domu było nadzwyczaj cicho. Korzystając z tego, Tina próbowała przemyśleć sobie pewne sprawy.

To popołudnie należało potraktować jako jeszcze jedno doświadczenie. Wyciągnąć z niego należyte wnioski. Oczywiście jest, że nie może liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony Becci. Nie ma mowy o tym, by mogła gdzieś wyjechać na dzień czy dwa i pozostawić w domu siostrę. Bardzo miło ze strony Russella, że zaproponował jej pomoc, ale to jest przecież tylko chwilowe. Nie ma się co oszukiwać: może liczyć tylko na Jake'a, Ruby i siebie samą. I to się nie zmienia. Nie będzie więcej prosiła Becci o to, by odwiedziła ojca. Jeśli jej siostra zjawi się tu z własnej inicjatywy - to świetnie. Tina wątpiła jednak, by miało się to zdarzyć.

A jeśli chodzi o Russella, to przyjmie wszelką oferowaną przez niego pomoc, ale o nic sama nie będzie go prosić. Szczerze wątpiła, czy zdaje on sobie sprawę z tego, jak niewdzięcznym zajęciem jest opiekowanie się Timem i jak łatwo przy tym doznać rozmaitych emocjonalnych urazów. Zdarzały się dni, kiedy naprawdę trudno go było lubić. Udawało jej się zachować właściwy stosunek do niego tylko dlatego, że przed jego chorobą ich wzajemne relacje oparte były na bliskości i miłości. Ktoś obcy bardzo szybko może rzucić ręką na ring. Russell nie ma pojęcia, w co się pakuje. Była raczej pewna, że za dzień lub dwa wycofa swoją ofertę.

Okazało się jednak, że Russell cudownie daje sobie radę z Timem. Nikt nie był tym bardziej zdumiony niż on sam. Pędząc samotne życie przez kilka ładnych lat, nie mając nikogo - prócz własnej skromnej osoby - kim musiałby się opie-

kować, nie przypuszczał, że będzie w tym tak dobry. Pierwszego ranka, gdy miał pomagać Timowi ubierać się, opadły go wątpliwości, czy sobie poradzi, ale wszystko poszło nadspodziewanie łatwo. Tim był zadowolony, że mówi do niego mężczyzna i niezwykle dobrze reagował na wszystko, co Russell robił albo prosił, by zrobił on sam.

Russell odkrył, że ma dla tego człowieka jakieś niewyczerpane pokłady cierpliwości. Nic nie było dla niego trudne. Nie denerwowało go, gdy Tim pytał po raz piętnasty czy dwudziesty, jaki jest dzień tygodnia. Myślał wtedy wyłącznie o tym, jaki niepokój musi wywoływać taki brak rozeznania w czasie. Nie pozwalał sobie na reagowanie rozdrażnieniem wtedy, gdy Tim stawał się zupełnie nieznośny. Słowem, odkrył - co nie przestawało go zdumiewać - że posiada instynkt urodzonego opiekuna.

Przyglądając się temu z boku, Tina doświadczała bardzo niejednoznacznych uczuć: była zdumiona, zachwycona... a także zazdrosna. Były to dla niej tak nowe doznania, że zupełnie nie wiedziała, jak sobie z nimi radzić. Bo o cóż w końcu jej chodziło? O to, że Tim tak świetnie dogadywał się z Russellem, czy też o to, że temu ostatniemu zabiegi opiekuńcze zdawały się przychodzić bez żadnego wysiłku? Ona sama tak długo i mozolnie nad tym pracowała, zmuszona była zwracać się po rady do wszelkich możliwych autorytetów, uczęszczać na spotkania grupy wsparcia, a i tak robiła masę błędów. Russellowi natomiast udało się nawiązać doskonały kontakt z Timem dosłownie z chwilą, gdy przestąpił próg jego pokoju.

Jemu łatwiej być miłym, cierpliwym i ugrzecznionym - powtarzała sobie rozgoryczona. On nie musi oplakiwać tego, że coś w relacjach z tym człowiekiem zostało mu zabrane

i nigdy już nie będzie takie same. A poza tym ma świadomość, że nie będzie musiał się nim zajmować przez następne dziesięć czy piętnaście lat.

Od żalu, że w jakimś sensie została usunięta w cień, Tina bardzo szybko przeszła do marzeń, by Russell nigdy stąd nie wyjechał. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie poprosić go o to, żeby został trochę dłużej. Przypomniała sobie jednak, z jakim entuzjazmem opowiadał o tym swoim zielonym raj na zachodnim wybrzeżu. Jej problem nie był w końcu jego problemem, a i tak zrobił już dla niej więcej, niż miała prawo oczekiwać od kogoś obcego. Chętnie skorzysta z jego pomocy, dopóki będzie mógł ją oferować, a potem jakoś poradzi sobie sama, jak dawniej.

Dręczyła ją jednak jeszcze jedna sprawa. Jak zareaguje Tim na wyjazd Russella? Ten przystojny kierowca ze swym ujmującym uśmiechem stał się główną atrakcją dla jej ojca. Tim raz na dwa razy nie pamiętał jego imienia - podobnie jak imienia swej córki - ale zawsze rozpoznawał głos Russella i słysząc go, natychmiast się ożywiał.

Po raz pierwszy zadowolona była z tego, iż potencjał pamięciowy Tima jest tak bardzo ograniczony. Mogła przynajmniej liczyć na to, że gdy Russell wyjedzie, ojciec prędko o nim zapomni.

Miała nadzieję, że i ona również.

Russell wymyślił coś, na co Tina nigdy by nie wpadła - zabierał jej ojca na długie wyprawy samochodem. Pomysł okazał się wspaniały: Tim był tym zachwycony. Wystarczyło, by Russell powiedział: „Hej, kolego! Jadę do miasta. Zabierzesz się ze mną?” - a zrywał się na równe nogi i wprost palił się do tego, by z nim wyruszyć.

Tego akurat ranka Russell miał do załatwienia kilka zleconych mu przez Jake'a spraw i, jak zwykle, zabrał ze sobą Tima. Już ponad tydzień okolicę nawiedzały popołudniowe burze i mieli okazję cieszyć się z nieoczekiwanej chłodnej

- jak na tę porę roku - pogody. Poranek był ciepły i słoneczny, powietrze świeże, a Tim miał doskonały humor. Ponieważ jazda furgonetką działała na starszego pana jak środki uspokajające, Russell - po to, by zafundować mu dłuższą przejażdżkę - wybrał okreśną drogę przez Leatrice. W rezultacie zamiast wjechać do miasta od północy, co zwykle czynili, wjechali do niego od zachodu.

Minęli właśnie trzy przecznice od wjazdu w granice miasta, gdy Tim wyprostował się na siedzeniu i rozejrzał wokoło.

- Czy widzisz ten warzywny sklep? - spytał podekscytowanym tonem.

Russell spostrzegł budynek, w którym kiedyś był jakiś narożny zieleniak. Świadczył o tym wyblakły szyld nad drzwiami, które zabite były teraz deskami.

- Tak, widzę - odrzekł.

- Skręć w tę ulicę. Chcę ci pokazać dom, w którym się wychowałem. To jest Sutter Street.

Russell zwolnił przed skrzyżowaniem, po czym odczytał na tabliczce informacyjnej nazwę ulicy: Raleigh Street.

- To nie jest ta ulica, Tim. Może któraś z następnych?

- Nie, do diabła! To jest na pewno Sutter Street. Kto może wiedzieć lepiej niż ja? Przecież skręcałem w nią przy tym narożnym sklepie każdego popołudnia, wracając ze szkoły. Jedź na lewo.

Russell wzruszył ramionami i spełnił jego życzenie. W końcu, co to za różnica, pomyślał.

Kiedyś była tu zapewne dość wytworna dzielnica, ale przyszyły widać na nią ciężkie czasy i zdążyła już bardzo podupaść. Russell jechał powoli i sprawdzał tabliczki na każdym kolejnym skrzyżowaniu. Wynikało z nich, że ciągle znajdują się na Raleigh Street, nie zamierzał jednak z tego powodu

spierać się z Timem. Był przekonany, że starszy pan lada chwila zapomni o wszystkim i przestanie się interesować domem ze swego dzieciństwa.

- To będzie właśnie tu. W połowie drogi przed następnym skrzyżowaniem - stwierdził nagle Tim. - Na podwórku od ulicy powinna stać wielka wiśnia. Shorty Gordon i ja mieszkaliśmy prawie na tym drzewie. Kiedy miałem dziesięć lat, spadłem z niego i zламаłem sobie nogę. To tu! - podekscytowany wskazał ręką i... zaniemówił na chwilę. - Gdzie jest drzewo?

- Pewien jesteś, że to ten dom? - spytał Russell, zatrzymując furgonetkę.

- Oczywiście. Tylko... Co się, do cholery, stało z tym drzewem? Gdzie ono się podziało?

O rany - pomyślał Russell. To był chyba błąd. Wszystko razem przestało przypominać wycieczkę do krainy dzieciństwa; Tim zaczynał się tym wyraźnie denerwować.

Russell rozejrzał się dookoła i spostrzegł na ganku sąsiedniego domu starszego mężczyznę, siedzącego w fotelu na biegunach. Pod wpływem nagłego impulsu zgasił silnik i otworzył drzwi furgonetki.

- Poczekaj, Tim. Zaraz się wszystkiego dowiemy. Wysiadł z szoferki i ruszył szybko chodnikiem w kierunku tamtego człowieka.

- Przepraszam pana, ale jest tu ze mną pewien mój znajomy, który szuka Sutter Street. Nie wie pan przypadkiem, gdzie to jest?

Stary mężczyzna nie podniósł się z fotela. Bujał się nadal i pykał sobie fajeczkę.

- Znalazłeś ją pan. Przynajmniej kiedyś tak się nazywała. A potem, kiedy ten stary Raleigh ufundował nam nową bibliotekę, to ojcowie miasta zdecydowali, że powinno się zrobić

mu jakąś przyjemność. Na przykład nazwać coś jego imieniem. No i przemianowali tę właśnie ulicę.

A więc Tim miał rację! Russell sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo go to ucieszyło.

- To... bardzo panu dziękuję. Tylko jeszcze... niech mi pan powie, czy na tym podwórku była kiedyś jakaś wiśnia?

- Tak. Ale jak Websterowie się stąd wyprowadzili, to nikt już o nią nie dbał i dobrało się do niej jakieś robactwo. A potem trzeba ją było ściąć.

- Rozumiem. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

- Nie ma za co. Pana znajomy ma świetną pamięć. Sutter Street... Będzie już chyba ze trzydzieści lat, jak jej tu nie ma.

Russell pośpieszył do furgonetki, wsiadł do szoferki i zatrzasnął drzwi.

- Miałeś rację, Tim.

- No pewnie, że miałem.

- Drzewo zeżarły jakieś robaki. Musieli je ściąć.

- A to cholerne szkodniki!

Zapadło ciężkie milczenie. Russell obawiał się, że Tim się rozplacze.

- Na całym bożym świecie nie było takich słodkich wiśni

- odezwał się wreszcie.

Russell nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł opowiedzieć o tym Tinie.

- No dobra, kolego. Jedziemy teraz do warsztatu Shawa. Muszę tam odwiedzić starego znajomego.

Tim po drodze był wyjątkowo rozmowny. Russell miał okazję dużo się dowiedzieć o jego dzieciństwie. Pamiętał najdziwniejsze rzeczy: kto mieszkał w jakimś domu i co stało na jakimś rogu. Tyle że od czasu do czasu przerywał w pół zdania, by spytać:

- A czy ty mi już kiedyś mówiłeś, jak masz na imię? Wjechali wreszcie na podwórko warsztatu Shawa. Leon wygramolił się spod jakiegoś zdezelowanego grata. Wstał, wytarł ręce o szmatę i uśmiechając się, zawołał:

- Uszanowanie, panie Cade! Cieszę się, że pana widzę. - W tym momencie zauważył, że Russell ma pasażera. - Dzień dobry, panie Webster. Witam pana.

- Dzień dobry! - odparł Tim. - Jak się ma pańska rodzina?

- Świetnie, proszę pana. Ucieszą się, że pan o nich pamiętał. - Leon spojrzął na Russella. - Chce pan pewnie obejrzeć swojego thunderbirda, prawda? Proszę, oto on.

Thunderbird stał osobno, zaparkowany pod płotem. Russell skrzywił się na widok gołego, nie polakierowanego jeszcze przodu, ale nawet z tej odległości potrafił ocenić, że blacharka została zrobiona znakomicie.

- Dostaliśmy wreszcie ten lakier - poinformował go Leon. - Po południu będziemy już mogli zacząć. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to za tydzień o tej samej porze będzie pan już w drodze do Kalifornii. Mam nadzieję, że ucieszyła pana ta wiadomość.

- Tak, oczywiście. Bardzo dziękuję. Będę z panem w kontakcie.

W powrotnej drodze Tim - jak na kogoś, komu przed chwilą jeszcze nie zamykały się ani na moment usta - stał się zaskakująco milczący. Russell nie przywiązywał do tego wagi. Wiedział, że nastroje starszego pana zmieniają się tak szybko, jak marcowa pogoda, i nauczył się dostosowywać do tych zmian.

W szoferce furgonetki panowało głucho milczenie. Nagle, gdy do zjazdu z szosy pozostało im tylko kilka kilometrów, Tim zupełnie nieoczekiwanie odezwał się:

- A więc i ty też ode mnie odjedziesz.

Zabrzmiało to jak skarga.

Nic bardziej nie mogło skonsternować i... przerazić Russella. Dlaczego tak się stało? Tyle rzeczy przepływało przez umysł Tima jak woda.... Czemu więc z potoku słów wyłowił tę akurat uwagę Leona?

- Tim, ja nie odjeżdżam od ciebie - powiedział z naciśkiem na ostatnie dwa słowa.

- Przecież jedziesz do Kalifornii. Słyszałem, jak ten facet to powiedział.

- No tak... ale... ja już od dawna miałem tam jechać. Myślałem, że o tym wiesz.

- Zabierzesz mnie ze sobą?

- Nie mogę cię zabrać - tłumaczył łagodnie Russell. - Nie mogę zabrać cię od Tiny.

- Ja już nie widuję Tiny. Ona ma męża. Myślę, że teraz tylko on jest dla niej ważny.

Russell rozpaczliwie starał się znaleźć jakąś stosowną odpowiedź. Pamiętał regułę: „Nie spieraj się, nie poprawiaj, nie tłumacz”. Co ja, do diabła, narobiłem! - pomyślał.

- Dla Tiny ty jesteś najważniejszy - powiedział wreszcie bez sensu. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. O takich rzeczach nigdy nie wiemy, prawda?

Tim nie miał już jednak ochoty na dalszą rozmowę. Zaczął się po swojemu dąsać, a gdy weszli do domu przez kuchenne drzwi, przeszedł obok Tiny i Ruby, nie odezwawszy się do nich ani słowem. Tina oczywiście podążyła za nim, podczas gdy Russell usiadł ciężko na jednym z kuchennych krzeseł i podparł rękami głowę.

- Coś złego się stało? - spytała Ruby z troską w głosie.

- Strzeliłem dziś okropne głupstwo.

- Nie oskarżaj siebie. Każdemu się to zdarza.

Tina wróciła ze zmarszczonym ze zmartwienia czołem.

- Dąsa się jak mały chłopczyk. Co się stało?

Russell, na tyle zwięźle, na ile było to możliwe, opowiedział po kolei, co się zdarzyło w czasie ich wycieczki do miasta. Gdy skończył, Tina westchnęła.

- Właśnie czegoś takiego się obawiałam - wyznała. -
Ogromnie się do ciebie przywiązał.

- O Boże! Okropnie mi jest nieprzyjemnie.

Tina spostrzegła, że rzeczywiście był przygnębiony. Sama też się zmartwiła, tylko tym razem nie miało to nic wspólnego z jej ojcem. Wiadomość, że Russell wyjeżdża za tydzień okazała się dla niej pewnego rodzaju wstrząsem. Wiedziała co prawda, że wkrótce ma to nastąpić, lecz czas przeleciał tak szybko... Wydawało jej się, że była na to przygotowana, ale teraz zrozumiała, że tak nie jest.

- No cóż - powiedziała. - Bądźmy dobrej myśli. Istnieje szansa, że tatuś za godzinę o wszystkim zapomni. Posiedzę z nim i spróbuję go jakoś zagadać.

Oby tylko zapomniał - modlił się w duchu Russell. Codziennie powtarzał sobie, że nie powinien się tak mocno przywiązywać do tych ludzi. Przez cały czas wiedział przecież, że musi odjechać. Ta zachodnia enklawa Teksasu nie była północnym wybrzeżem - nawet się do niego nie umywała - a do pracy, którą tu wykonywał, nie podchodził bardziej entuzjastycznie niż owego pierwszego dnia. Nigdy, ani przez sekundę nie pomyślał, aby zostać tu dłużej, niż okaże się to konieczne.

Tyle tylko, że w ogóle nie wziął pod uwagę takiej ewentualności, iż Tim zbyt mocno się do niego przywiąże. Starał się przecież zaoferować tylko odrobinę pomocy. Teraz dostrzegł, jaką to było głupotą z jego strony. Powinien trzymać się na

uboczu, absolutnie nie wchodzić w ich życie. Stało się jednak inaczej i teraz bardzo trudno mu będzie tak po prostu powiedzieć „do widzenia” tym znacym ludziom, którzy przyjęli go pod swój dach i traktowali jak członka rodziny. Jak będzie mógł odejść od tego - przypominającego dziecko - starego człowieka?

- Och, Tino! Musisz przyjechać! - Głos Becci w słuchawce telefonu brzmiał niemal płacziwie. - Nie przyjmuję do wiadomości żadnych wymówek.

- Słuchaj, tatuś zajmuje mi teraz tyle czasu, że pod koniec dnia jestem zbyt skonana, aby myśleć o jakichś przyjęciach.

Becca organizowała u siebie imprezę z okazji urodzin matki, choć prawdziwym tego powodem było - wedle jej słów - to, że „od tak dawna nie wydawaliśmy żadnego party”. Tina mimo woli uśmiechnęła się; w ustach Becci „od tak dawna” znaczyło zapewne od kilku tygodni. W dodatku siostra nazwała to „imprezą” - a nie „przyjaciem” - co miało oznaczać, że chodziło o dość huczne przyjęcie, na które zaproszenia otrzymała zapewne ogromna liczba jej „najdroższych przyjaciół”. Tina rozpaczliwie myślała, jak się z tego wykręcić. Większości ludzi, z którymi Becca utrzymywała stosunki towarzyskie, po prostu nie znała, a z tymi, których znała, także niewiele miała wspólnego.

- Jeśli nie przyjedziesz, mama będzie zdruzgotana - nalegała Becca.

- Słuchaj... zorientuję się... Może coś mi się uda zorganizować. Dam ci jakoś znać.

- Obiecuj, że coś zorganizujesz! Absolutnie nalegam, żebyś tu z nami była.

- To nie takie proste. Ruby chce odwiedzić swoją córkę, a... Zobaczę jeszcze. Odezwę się do ciebie.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Russella, który siedział przy stole w kuchni. Było już po kolacji. Podczas posiłku Tim dzięki Bogu zapomniał o całej tej sprawie z Kalifornią. Teraz siedział w salonie, razem z Jakiem i Ruby, a Tina i Russell pili swoją wieczorną kawę.

- To była oczywiście twoja siostra - skomentował jej rozmowę Russell.

- Tak. - Tina powróciła do stołu. - Wydaje przyjęcie z okazji urodzin mamy i upiera się, żebym przyszła.

- Ja też myślę, że powinnaś tam pójść.

Naprawdę tak uważał. Nie mógł sobie wyobrazić, jak taka piękna kobieta może prowadzić tego rodzaju życie. Dawała sobie z tym dzielnie radę, ale była to dziwaczna egzystencja.

- Nie wiem, Russell. Po pierwsze czuję się bardzo obco wśród znajomych Becci, a ponieważ Ruby chce wyjechać na kilka dni...

- Ej! Jake i ja nie jesteśmy niedorajdami. Powinnaś skorzystać z tego, że tu jeszcze jestem. Raz przynajmniej możesz się gdzieś wybrać i nie martwić się, co będzie z ojcem. Przecież potrafisz się nim zająć.

Wiedziała, że to prawda. Lepiej sobie z tym dawał radę niż ona.

- No... Może... skoro chodzi o urodziny mamy...

- Pojedź i baw się dobrze. Przecież będę się nim opiekował jak własnym ojcem.

Och, Russell, pomyślała Tina. Jak bardzo mi będzie smutno bez ciebie!

Becca wydawała przyjęcia z rozmachem, jaki towarzyszył wszystkim jej poczynaniom. Dom przyozdobiono ponad tuzinem kwiatowych kompozycji. Stół bufetowy uginał się od wymyślnych przysmaków. Odnosiło się wrażenie, jakby-pośród innych pyszności - znalazła się na nim jedna czwarta złowionych tego dnia w Zatoce Meksykańskiej krewetek. Zaproszone damy miały na sobie taką ilość brylantów, pereł i szafirów, że można by zapłacić nimi wystawę jubilerskiego sklepu. Wszystko to razem wydało się Tinie czymś dziwnym. Urodziny matki obchodziły zwykle w ten sposób, że przesyłały jej kwiaty, po czym zapraszały ją na lunch. Skąd więc w tym roku cały ten jubel? I dlaczego siostra i matka nagle zaczęły się prześcigać w prawieniu jej przesadnych komplementów? Wszystko to nie pasowało do nich.

Wiedziała, że prezentuje się zupełnie dobrze. Długo zastanawiała się, w czym wystąpić przed tym nadzianym towarzystwem. W końcu zdecydowała się włożyć suknię, która była pozostałością z czasów, gdy sama prowadziła życie towarzyskie w Fort Worth. Była to oszałamiająca kreacja w kolorze połyskującego szafiru. Russellowi omal oczy nie wyszły z orbit, gdy ujrzał ją w tym stroju i to bardziej ją uradowało niż zachwyty Becci i matki. Tym bardziej, że ich komplementy wzbudzały w niej najgorsze podejrzenia.

- Naprawdę, Tino - zwróciła się do niej Becca - ty masz wprost doskonałą figurę. Powinnaś częściej się tak ubierać.
- A niby gdzie miałabym się pokazywać? - spytała rzeczowo Tina. - Taki strój zatrzymałby ruch uliczny w Leatrice.
- Rzeczywiście. Jak najszybciej powinnaś się wynieść z tej przygnębiającej małej wioski. Marnujesz się tam.

Tina nie miała ochoty na kontynuowanie tego tematu. Ani Becca, ani matka nie miały najmniejszego pojęcia, jak

naprawdę wygląda jej życie. Uśmiechnęła się cierpko i odetchnęła z ulgą, gdy obie poszły witać innych gości.

W minutę później wszystko się wyjaśniło. Wkładała właśnie do ust krawatkę, gdy usłyszała za sobą głęboki, męski głos.

- Zawsze ogromnie mi się podobałaś w tej sukience.

Odwróciła się zaskoczona i ujrzała tuż przed sobą przystojną twarz swego byłego męża. Pokój zawirował jej przed oczami, a serce przyspieszyło rytm. Przelknęła z trudem ślinę i wybąkała:

- Paul? Co ty tu robisz?

- Zostałem zaproszony.

O Boże! Przez te dwa lata jeszcze bardziej wyprzystojniał. Jasnowłosey, opalony i w świetnej kondycji fizycznej. No i ten uśmiech! Zabójczy - to chyba było najwłaściwsze określenie. Kiedyś potrafił sprawić, że wszystko w niej topniało. Niestety, również teraz zdołał wywołać u niej dreszcz.

- Przyjechałeś wozem z samego Fort Worth?

- A cóż to znaczy sześć godzin mojego życia? Becca zapewniła mnie, że mi się to opłaci. Teraz rozumiem, co miała na myśli. Jak ci się żyje, Tino?

- A jak mi się ma żyć?

Paul przybrał na chwilę poważny wyraz twarzy.

- Skandaliczna sprawa z tym Timem.

- Grypa to też skandaliczna sprawa, Paul?

Znowu uśmiechnął się w ten swój charakterystyczny sposób. Tina pomyślała; że powinien się trzymać z dala od pogrzebów, ponieważ nie potrafił sprawiać wrażenia smutnego dłużej niż kilka minut. To spotkanie - pierwsze od czasu rozwodu - było dla niej prawdziwym wstrząsem. Choć targaly nią sprzeczne emocje, najsilniejszą z nich była przemożna

chęć, by natychmiast dopaść gdzieś Beccę i ją udusić. Jak ona mogła jej nie uprzedzić, że będzie tu Paul?

Wreszcie zmusiła się, by przede wszystkim pamiętać o tym, z jakiego to powodu nie są już małżeństwem. Bardzo jej to pomogło.

- Nie zamierzasz spytać, jak mi się powodzi? - prowokował ją Paul.

- Przecież gołym okiem widać, że świetnie. Założę się, że choćby na ten garnitur wydałeś więcej niż na całą garderobę w ciągu pierwszych trzech lat naszego małżeństwa.

- Tym razem nie pomyliłaś się.

Chciał wziąć ją za ramię, lecz Tina zrećnie cofnęła się tak, by nie zdołał jej dotknąć.

- Becca mówiła mi, że zamierzasz tu zostać na noc. Czy to prawda? - spytał.

- Nie wiem, skąd wpadła na ten pomysł. Przecież muszę wracać do ojca. - Tina zmarszczyła brwi. Wreszcie dotarło do niej, o co tu chodzi. - A ty zamierzasz tu zanoćować?

- Tak. Wszyscy doszliśmy do wniosku, że będziemy mieli w ten sposób stosowną okazję do porozmawiania;

Oczywiste było, kim są ci „wszyscy”. Tina nie mogła wprost uwierzyć, że siostra i matka uknuły tę całą intrygę, aranżując intymną sytuację, w której miało nastąpić ich pojednanie.

- Słuchaj, Paul - zaczęła. Mówiła znużonym głosem i, podobnie jak ostatnio w jej relacjach z ojcem, miała poczucie, jakby waliła głową w mur. - Naprawdę nie mamy już o czym mówić. Wszystko zostało powiedziane dawno temu.

- A czy powiedziałem ci już kiedyś, że jest mi przykro?

- Wiele razy. Tylko zawsze odnosiłam wrażenie, że to „przykro” dotyczy wyłącznie tego, że dałeś się złapać.

- To był ogromny błąd z mojej strony.
- Ale cóż! Mężczyznom się takie rzeczy zdarzały, zdarzają i będą zdarzać. To mi właśnie chciałeś powiedzieć?
- Nie. - Paul wyraźnie tracił cierpliwość. Zniżył głos i przestał się uśmiechać. - Cholera! Zdaje się, że nadal to, co mi najlepiej wychodzi, to wyprowadzanie cię z równowagi.
- Czyżby? - Tina również zniżyła głos, choć dokoła panował taki zgiełk, że i tak nikt ich nie mógł słyszeć. - Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić kobiety, która wróciłaby do domu, zastałaby tam to, co ja swego czasu zastałam i nie czułaby się choć trochę wyprowadzona z równowagi. A teraz - zrobiła głęboki wdech - pozwól, że się oddalę. Muszę, powiedzmy... upudrować sobie nos.

Rzeczywiście się oddaliła, lecz po to tylko, by natychmiast odnaleźć Beccę. Znalazłszy swą siostrę, chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

- Chcę z tobą porozmawiać. Teraz, w tej chwili.

Becca wyszła za nią z pokoju i pozwoliła zaprowadzić się do pierwszej z brzegu sypialni. Tina zatrzasnęła za nimi drzwi.

- Tino! Co to wszystko, do licha...
- Przestań! Wiesz dobrze, o co mi chodzi! Jak śmiałaś mnie zaprosić, skoro wiedziałaś, że przyjeżdża tu Paul? Co chciałaś w ten sposób uzyskać? Na co liczyłaś?

Becca zrobiła taką minę, jakby chciała wszystkiemu zaprzeczyć, po czym najwyraźniej się rozmyśliła.

- Dobrze. A więc powiem ci, na co liczyłam. Na to mianowicie, że gdy zobaczysz ponownie Paula, to być może przestaniesz się wreszcie wygłupiać i pójdziesz po rozum do głowy,
- Po rozum do głowy poszłam wtedy, gdy sobie uświado-

miłam, że nigdy nie będę jego jedyną kobietą. Być może istnieją żony, które potrafią żyć z tą świadomością. Ja nie potrafię.

- Jestem twoją siostrą i martwię się o ciebie. - Becca całkowicie zignorowała to, co przed chwilą usłyszała. - Nie masz normalnego życia. Siedzisz na odludziu, na jakimś okropnym ranczu i cały swój czas poświęcasz opiece nad starym, chorym człowiekiem.

- Ten stary, chory człowiek jest naszym ojcem. A na tym „okropnym ranczu” się wychowałam. Jest ono dla mnie domem.

- Daj spokój, Tino! Nie usiłuj we mnie wmówić, że jesteś zadowolona ze swej egzystencji - oświadczyła drwiąco Becca. - Wiem, że Paul pragnąłby się z tobą pojednać. Powiedział mi to. Czy wiesz, czym stałoby się twoje życie, gdyby...

- Owszem! Połowę tego życia straciłabym na bezsensownym zastanawianiu się, z czyjego łóżka właśnie wyszedł. Daj sobie z tym spokój, Becco. Raz na zawsze.

Siostra nie miała jednak najmniejszego zamiaru dać za wygraną.

- Pozwól, że poruszę jeszcze następną sprawę, która mnie bardzo niepokoi. Owego dnia, gdy byłam na ranczu, zauważyłam, w jaki sposób tamten człowiek... ten jakiś tam... Russell na ciebie patrzył. I w jaki sposób ty patrzyłaś na niego. Przebywasz cały czas wśród starych ludzi. Nic więc dziwnego, że pierwszy lepszy przybysz ze świata ci się spodobał. Ciekawe tylko, kim on jest, skąd przybył, czym się zajmuje i co reprezentują sobą jego rodzice?

- To nie do wiary! Jest z acnym człowiekiem, który ogromnie nam pomógł, gdy bardzo potrzebowaliśmy pomocy. - Tina przerwała na moment i głęboko nabrała powietrza.

- Wybacz, Becco. Wiem, że życzysz mi jak najlepiej, ale pozwól mi żyć po swojemu. I nigdy więcej nie zapraszaj mnie na jakiegokolwiek przyjęcie, na które przybędzie również Paul.

- Ruszyła w kierunku drzwi. - A teraz poszukam mamy i ją pożegnam.

- Chyba nie wychodzisz?

- Przyjęcie jest wspaniałe, ale akurat rozboleła mnie głowa. Porozmawiamy innym razem.

Tina odnalazła Joan i przeprosiła ją, że wychodzi.

- Och, Tino! Tak wcześnie? Myślałyśmy z Beccą, że...

- Wiem, mamo, o czym myślałyście, ale naprawdę muszę już wracać do domu. Życzę ci udanych urodzin.

Wyszła najszybciej, jak mogła. Na szczęście udało się jej uniknąć powtórnego spotkania z Paulem. Była cała rozdygotana. Nie wiedziała nawet, na ile jest to spowodowane faktem, że rozgniewała ją Becca, a na ile szokiem wywołanym przez nagłe spotkanie ze swym byłym mężem.

Prowadząc wóz w drodze powrotnej do domu czuła się bardzo samotna. Przed jej oczami pojawiały się i znikwały obrazy z przeszłości. Pierwszym z nich - szczególnie nienawistnym - były twarze Paula i Mazie i miny, jakie zrobili wtedy, gdy nieoczekiwanie weszła do tamtej sypialni. Drugim było jakieś przyjęcie. Zapomniała już, z jakiej okazji wydane, ale doskonale pamiętała, że Paul przeszedł wówczas samego siebie: wypił zbyt wiele i bezwstydnie flirtował z połową obecnyck tam kobiet, szczególnie zaś z pewną wystrzałową blondynką. Przypomniała sobie, jak bardzo była tego wieczoru na niego wściekła i jak upokarzające dla niej było jego zachowanie. Wtedy chyba, właśnie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Paulowi daleko do tego, by być ideałem mężczyzny.

Przestań wreszcie o tym myśleć! To jest zamknięta sprawa - nakazała sobie w duchu. Zabębniła palcami po kierownicy i wbiła wzrok w ciemność. I wtedy - zupełnie nieoczekiwanie - dotarło do niej to, co powiedziała jej tego wieczoru Becca. Jak też ten Russell na mnie patrzył? - zaczęła się zastanawiać.

Tina otworzyła kuchenne drzwi i przeszła przez ciemną izbę. Z głębi domu nie dochodził żaden dźwięk, ale w salonie paliło się światło. Russell siedział na sofie i czytał jakieś czasopismo. Ujrzawszy ją, zrobił zdumioną minę i spojrzał na zegarek.

- Strasznie wczesnie wróciłaś.
- Nie było za wesoło. Czy Ruby wyjechała?

Russell skinął głową.

- Tak. Zaraz po tobie. Jakiś pojechał do miasta.
- Czy tatuś zjadł dużo na kolację?
- Tyle co zwykle. - Zawiesił na chwilę głos, po czym dodał: - Słuchaj, Tino, wydarzyło się dziś wieczorem coś, o czym powinnaś wiedzieć.

Zrzuciła pantofelki, usiadła na sofie, podwinęła nogę i spojrzała na niego pytająco.

- Położyłem Tima do łóżka o zwykłej porze, dałem mu lekarstwa i zszedłem na dół. Minęło około dwudziestu minut, gdy nagle usłyszałem na górze jakiś hałas. Pobiegnę tam i okazało się, że Tim wstał z łóżka, wyszedł na korytarz i potknął się o stojącą lampę. Nie, nic mu się nie stało - uspokoił ją, widząc jej przerażoną minę - tyle że okropnie się przestraszył i przez następny kwadrans był całkowicie zdezorientowany. Ale teraz już czuje się dobrze. Sprawdzalem przed chwilą. Śpi sobie smacznie.

Tina gwałtownie opadła na oparcie sofy.

- Codziennie zdarza się coś nowego. Co będzie, jeśli to się powtórzy?

- Właśnie się nad tym zastanawiałem. Może zewnętrzny zamek byłby jakimś wyjściem. Jak myślisz?

- Nie wiem, Russell - odparła po chwili zastanowienia.

- Boję się, że gdyby zechciał kiedyś wyjść i nie mógł wyostać się z pokoju, to wpadłby w panikę. Każda, nawet najmniejsza zmiana w jego otoczeniu tak bardzo go denerwuje.

- No tak. Należy więc usunąć wszelkie przeszkody na górnym korytarzu i zdecydowanie zalecałbym odgrodzić schody taką bramką jak dla małych dzieci. Właściwie cały dom powinien być wyposażony w zabezpieczenia chroniące go przed wypadkiem.

- Masz rację. Sama powinnam była o tym pomyśleć.

- Tino - zaczął łagodnie Russell - przecież nie możesz myśleć o wszystkim naraz. Nikt tego nie potrafi.

Nerwowo przygryzała górną wargę. Była przybita i śmiertelnie przerażona. Choroba postępowała w galopującym tempie, znacznie szybciej, niż się spodziewała. Nigdy przedtem nie wstawał w nocy z łóżka. Miały temu zapobiegać środki uspokajające. Zastanawiała się, czy będzie od tej pory w stanie spokojnie przespać noc, wiedząc, że ojciec może wstać z łóżka, a ona go nie usłyszy.

A więc co teraz powinna zrobić? Zwiększyć dawki leków? Z tym musi być ostrożna, gdyż słyszała, że zbyt duże dawki mogą wywołać u chorego depresję. A skoro już mowa o depresji, zastanawiała się, czyjej samej ona nie grozi.

Russell przyglądał się jej uważnie. Dostrzegł narastający w niej niepokój i zrobiło mu się żal, że nie będzie mógł być jej bardziej pomocny. Już wkrótce Tim zostanie całkowicie zdany na jej opiekę.

- Ślicznie wyglądasz, Tino - odezwał się. - Chciałem ci o tym powiedzieć, zanim wyszłaś z domu, ale... ale na twój widok jakby mnie zamurowało.

Wyraz jej oczu przestał być tak chmurny, a w kącikach warg pojawił się uśmiech.

- Ojej! Dziękuję ci, Russell. Strasznie miło mi to słyszeć.

- Jadłaś coś na tym przyjęciu?

- Zaraz... Trzy krewetki i parę kęsków sera.

- O rany! Na pewno jesteś strasznie głodna.

- Chyba rzeczywiście coś bym zjadła.

- No to chodź! - Podniósł się z miejsca. - Ruby zostawiła wypełnioną po brzegi lodówkę. Czy ona naprawdę myśli, że pod jej nieobecność nikt z has niczego nie ugotuje?

W kuchni stawał przed nią jedno danie za drugim. Tina wybrała sobie to, na co miała ochotę, nałożyła na talerz i wstawiła go do kuchenki mikrofalowej. Russell zrobił sobie kawę, usiadł za stołem i przyglądał się, jak w zastraszającym tempie wszystko znika z talerza.

Tina podniosła wzrok i widząc jego uśmiech, też uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Nie miałam pojęcia, że jestem taka głodna.

- Opowiedz mi o tym przyjęciu.

- Przyjęcie jak przyjęcie. Jak się było na jednym, to tak jakby się znało je wszystkie. Dziesiątki ludzi, każdy wystrojony jak stróż w Boże Ciało... Piją, jedzą, plotkują...

- Przecież mogłaś zostać dłużej.

- Ale nie zostałam. Becca wpadła na wspaniały pomysł, aby zaprosić mojego byłego męża. A mnie się to nie spodobało, więc wyszłam wcześniej.

- Widziałaś swojego byłego męża?

Russell dałby wszystko, aby móc zobaczyć mężczyznę,

który był mężem Tyny. Zadziwiało go, coż to musiał być za kawał idioty, by zniszczyć małżeństwo z taką kobietą jak ona. Tina skinęła głową.

- Moja siostra i matka uważają, że powinniśmy się pojednać.

- A ty co o tym sądzisz? - spytał ściszym głosem Russell.

- Sądzę... sądzę, że mama i Becca nie powinny się wtrącać w moje sprawy osobiste. Nawet gdyby mi zależało na ponownym związaniu się z Paulem, to i tak nie mogłabym sobie na to obecnie pozwolić z uwagi na tatusia. Nasłuchałam się zbyt wielu przerażających historii na zebraniach naszej grupy wsparcia. Pochodziły one od kobiet miotających się między chorym rodzicem, kilkorgiem rozbieganych dzieci i mężem, który coraz bardziej traci cierpliwość. Dlaczego moja rodzina nie jest w stanie tego zrozumieć? Szczególnie mama, która zachowuje się tak, jakby tatuś miał pewne problemy zdrowotne, które jednak szybko miną i wszystko będzie znowu cacy-cacy. - Westchnęła i skrzywiła się. - Przepraszam. Zdaje się, że zaczęłam się użalać nad sobą.

Przed kim się będziesz użalała, kiedy wyjadę? - pomyślał Russell. Coraz bardziej czuł się jak szczur, który ucieka z tonącego okrętu.

Niestety i Tinę nawiedziły podobne myśli. To, że mogła spędzić ten wieczór z Russellem, stanowiło dla niej ogromną ulgę. Co by się działo, gdybym była tu sama z tatusiem?

- zastanawiała się. Musiała przyznać, że Russell daje sobie z nim radę lepiej niż ona. Najwyraźniej też - mimo najlepszych chęci - doszło do tego, czego tak bardzo starała się uniknąć: zaczęła polegać na Russellu. Zbyt często ostatnio zastanawiała się, co pocnie, gdy on odjedzie. Tyle że ilekroć

w jej umyśle rodziło się to pytanie, zawsze potrafiła jakoś zepchnąć je na bok A przecież wymagało jasnej odpowiedzi. Oczywiście - będzie robiła dokładnie to samo co przedtem, zanim pierwszy raz ujrzała go na oczy. Jakoś to przecież będzie.

Odsunęła talerz i zerknęła na siedzącego po przeciwnej stronie stołu mężczyznę. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Nagle dostrzegła z bliska, jak bardzo błyszczące i ciepłe są jego przysłonięte gęstymi rzęsami oczy. Wyraz jego twarzy... to był właśnie ten wyraz. Nie potrafiła w tym momencie go określić. Ale była w nim sympatia, zrozumienie i... tak, również uczucie.

To o to chodziło Becce? - pomyślała. Czy to ten właśnie wyraz jego twarzy zaalarmował ją na tyle, że uznała za konieczne ściągnąć tu Paula?

Obojętność Tyny rozczarowała nieco Paula Michaela, ale bynajmniej go nie onieśmieliła. Nigdy nie brakowało mu pewności siebie, był więc przekonany, że skoro zdecydował się teraz przełamać jej opory, to na pewno uda mu się tego dokonać.

Potrzeba mu było dwóch lat na podjęcie tej decyzji. Przez pierwsze sześć miesięcy od chwili, gdy Tina tak gwałtownie zniknęła z jego życia, powtarzał sobie, że jej reakcja na to, co nazywał „nierozważnym wyskokiem” była całkowicie przesadzona. Mazie nic dla niego nie znaczyła. Nie stanowiła

zagrożenia ani nie umniejszała uczuć, jakie żywił do swej żony. Dlatego też bezkompromisowe stanowisko Tyny całkowicie wytraciło go z równowagi. Wydawało mu się, że z reguły kobiety w takiej sytuacji płaczą, złością się, grożą, trzymają mężów na dystans i na dziesiątki sposobów domagają się od nich zadośćuczynienia, ale nie odchodzą od nich definitywnie, rezygnując z prób uratowania małżeństwa. Posługując się pewnego rodzaju pokrętną męską logiką, bez trudu zrzucił część odpowiedzialności za rozwód na Tinę.

Przeszedłszy przez to stadium, Paul zdecydował, że odzyskany „stan kawalerski” będzie również miał dla niego swe uroki. Przygoda z Mazie nie była jego pierwszym pozamałżeńskim wyskokiem. Najpierw była Karen - studentka z jego roku. Tina wyjechała wówczas z wizytą do ojca, a oni poszli do kawiarni czegoś się napić. Potem wylądowali w jej mieszkaniu z rezultatem, który nietrudno było przewidzieć. Już nigdy więcej nie poszedł z Karen do łóżka, ale cały ten epizod jakoś dziwnie nie wywołał w nim żadnych wyrzutów sumienia.

Potem były inne kobiety. Niektórych z nich prawie nie pamiętał, a żadnej Tina nie znała nawet z widzenia. I dopiero w przypadku Mazie popełnił poważny błąd. Do takiego przynajmniej doszedł wniosku. Mazie była sąsiadką i w jakimś sensie znajomą Tyny. Gdyby było mu dane jeszcze raz to przeżyć, to nigdy nie wciągałby do łóżka żadnej sąsiadki.

Nie zauważył nawet, kiedy ekscytacją odzyskanym „stanem kawalerskim” zaczęła w nim przygasać. Tak się jednak stało i w efekcie przestało to być dla niego zabawne. Wszyscy jego koledzy byli żonaci i ani odrobinę nie zazdrościli mu statusu „wolnego rozwodnika”. Wyczuł, że w jego otoczeniu właśnie bycie żonatym było dobrze widziane. I gdy zaczął się zastanawiać nad ponownym małżeństwem, w jego myślach

pojawiła się Tina. Brakowało mu jej. Przypominał sobie powody, dla których się z nią ożenił. Była ładna, inteligentna, sympatyczna, ale największe wrażenie zrobiły na nim nie tyle jej zalety, co brak pewnych przywar. Stroniła od nadmiernego gadulstwa i plotek, nie lubiła wszelkich ekstrawagancji i obce jej były wygórowane aspiracje społeczne. W niczym nie przypominała uczonej mężczyzny „kobiety winorośli”, a jednocześnie nie była obsesyjnie nastawiona na karierę zawodową. Słowem, stanowiła niemal ideał żony, on zaś uważał się obecnie za głupca, który ryzykował jej utratę, sypiając z innymi kobietami.

Myśli tego rodzaju nawiedzały go już od miesiący, aż wreszcie pewnego popołudnia, przejeżdżając samochodem przez Amarillo, pod wpływem nagłego impulsu zadzwonił do Becci. Nie dlatego, że zapragnął nagle odwiedzić Jenningsów, lecz w nadziei, iż dowie się w ten sposób czegoś na temat Tyny. Informacje, jakie uzyskał, dodały mu otuchy. Tina najwyraźniej znajdowała się w dołku. Uwiązana na ranchu, skazana na opiekę nad starym, chorym człowiekiem musiała czuć się fatalnie. Jeśli kiedykolwiek miałyby stać się podatna na sugestię, by zacząć z nim żyć jeszcze raz - rozumował dalej - to właśnie teraz. Mógł jej obecnie zaoferować wszystko. Stać go było na wiele. Przede wszystkim na to, by wyzwoić ją z roli całodobowej pielęgniarzki czy posługaczki.

Zaproszenie na to przyjęcie wyszło od Becci, co zresztą okazało się zupełnie fatalnym pomysłem. Ale Paul nie poddał się tak łatwo. Od tego momentu postanowił już samodzielnie realizować swój plan. Pewien był, że potrafi być równie uparty jak Tina.

Nazajutrz późnym popołudniem Russell, wychodząc ze stodoły, zobaczył zbliżające się do domu lśniące BMW. Zacie-

kawiony -jako że nigdy nie mieli gościa - zwolnił kroku i doszedł do tylnej werandy właśnie wtedy, gdy wóz się zatrzymał. Wsiadł z niego wysoki, postawny blondyn. Gość miał na sobie bardzo drogi sportowy strój. Przypominał w nim Ralphi Lauren z reklamy tego rodzaju odzieży.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał Russell.

Mężczyzna spojrział na niego z nie ukrywaniem zainteresowaniem.

- Owszem. Chciałbym się widzieć z Tiną.

- Jest w domu. Proszę, niech pan wejdzie. - Russell otworzył drzwi kuchenne i przepuścił przed sobą gościa. - Jest na pewno ze swoim ojcem w salonie. Proszę, tędy.

- Znam drogę-odparł przyjezdny.

Russell uprzejmie skinął głową, lecz nie rezygnując z roli przewodnika, poprowadził nieznanego przez kuchnię do salonu. Tim odpoczywał w swym fotelu, zdając się patrzeć nieruchomo w przestrzeń. Tina siedziała z podkurczonymi nogami na sofie i czytała książkę. Słyszając odgłos kroków Russella w przedpokoju, uniosła głowę i uśmiechnęła się. Zraz jednak uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy spostrzegła stojącego za nim mężczyznę.

- Masz gościa - odezwał się Russell.

Wstała natychmiast: Zrobiła dziwną minę: mogła ona wyrażać wszystko, ale nie radość z powitania.

- Jak się masz, Paul - powiedziała chłodno. - Co cię sprowadza z tak daleka?

A więc to jest Paul, jej były mąż - pomyślał Russell i zaczął mu się przyglądać z jeszcze większym zainteresowaniem. Przystojny, można by rzec aż za przystojny - skonkludował - i tak zadufany w sobie, że czuje się to na kilometr. Przeniósł wzrok na Tinę. Uniosła do góry brodę, tak jakby

zbierała siły, by zmierzyć się z czymś, co miało nastąpić. Ale jej stosunek do Paula bynajmniej nie był obojętny. Przeciwnie, wydawała się mocno wzburzona.

- Jestem właśnie w drodze powrotnej do Fort Worth - wyjaśnił Paul. - I pomyślałem sobie, że na chwilę wpadnę.

- To zdecydowanie nie po drodze, prawda? - zauważyła Tina, zastanawiając się, w jakiej mierze ta niespodziewana wizyta jest pomysłem Becci.

- A co to za problem? - odrzekł Paul i zwrócił się do jej ojca. - Halo, Tim! Kopę lat.

Wyraz twarzy starca ani odrobinę nie wskazywał na to, by go z kimś kojarzył.

- Jak się masz. Jak tam twoja rodzina? - odparł po swojemu.

- Tato i mama? Świetnie się czują. Powtórzę im, że się o nich pytałeś.

- Czy masz jakiś konkretny interes, Paul? - spytała ostro Tina.

- Owszem. Chciałem z tobą porozmawiać. Ale w cztery oczy. - Spojrzał wymownie na Russella.

Przez chwilę w pokoju zapanowało niezręczne milczenie. Przerwała je w końcu Tina, postępując krok do przodu i zwracając się do Russella.

- Czy mógłbyś zostać na kilka minut z tatusiem? To długo nie potrwa.

- Oczywiście. Bardzo chętnie.

- Tędy, Paul.

Szybkim krokiem wyszła z pokoju i udała się korytarzem do biura. Paul podążył za nią. Gdy znalazła się w środku, zamknęła drzwi, skrzyżowała ręce na piersiach i spytała:

- A więc o czym chcesz porozmawiać?

- Pozwolisz, że usiądę?

- Och... oczywiście. Siadaj, proszę. - Sama usiadła za potężnym biurkiem, zachowując w ten sposób dystans i odgradzając się od Paula.

Zajął miejsce naprzeciwko i zaczął się rozglądać, udając, że przede wszystkim interesuje go gabinet.

- Sporo czasu minęło, gdy byłem tu po raz ostatni.

- Owszem, sporo.

- Wiele się tu nie zmieniło.

Tina westchnęła, dając wyraz swemu zniecierpliwieniu.

- Tino, co to jest za człowiek? - Paul gwałtownym ruchem wskazał w głąb domu. - Odkąd to sezonowi robotnicy mają wstęp na pokoje?

- Russell nie jest sezonowym robotnikiem, lecz przyjacielem. Czy możemy wreszcie przejść do rzeczy?

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jest tak zdenerwowana i dlaczego tak bardzo jej zależy, by Paul jak najprędzej opuścił dom. Czyż obawia się, że znajdzie on ponownie drogę do jej serca? Za pierwszym razem przyszło mu to tak łatwo... lecz od tamtej pory wiele wody upłynęło w rzekach.

- Becca opowiadała mi, że przyszedł na ciebie ciężki czas - odezwał się Paul.

- Zauważyła to? Zdziwiająca! A więc to są najświeższe wiadomości.

- Wiesz... Mógłbym uczynić twoje życie znacznie łatwiejszym, gdybyś się tylko na to zgodziła.

- Jak? - Tina zmarszczyła czoło.

- Na wiele sposobów. Poczynając od pieniędzy.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Ale będziesz ich potrzebowała, gdy Tim pójdzie do domu opieki. A to, zdaniem Becci, powinno nastąpić wkrótce.

- Becca akurat najmniej wie, co jest tatusiowi potrzebne

- zachnęła się Tina. - Nie pójdzie on do żadnego zakładu, zanim ja sama o tym nie zdecyduję.

- A wtedy co będzie?

- Nie wiem - odparła, wzruszając ramionami. - Wtedy będę się nad tym zastanawiać. Na razie nie myślę o tym, cały bowiem czas poświęcam ojcu.

Paul zastanawiał się, na ile powinien się upokorzyć, by osiągnąć cokolwiek. Nie miał na to, co prawda, specjalnej ochoty. Co innego przeprosiny. Oczywiście jest mu przykro, że sfuszerował ich małżeństwo. Uderzanie w skrucę nie leżało w jego naturze, ale już było dla niego jasne, że odrobina skruchy jest niezbędną, jeśli chce przełamać pierwszą linię obrony Tyny.

- Słuchaj, naprawdę wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Gdybyś była w Fort Worth, miałabyś zapewnioną całodobową pomoc.

- A dlaczego miałabym być w Fort Worth?

- Moglibyśmy być znowu razem. - Pochylił się do przodu i mówił dalej z przejęciem: - Tino, żałuję wszystkiego, co się stało, i chcę, abyś dała mi jeszcze jedną szansę. No właśnie. Tak jak powiedziałem. Proszę, daj mi szansę. Chcę, byśmy znowu byli rodziną, tym razem już tak... na serio. Z dziećmi i ze wszystkim, co potrzeba. Naprawdę będę przykładnym mężem. - Jego głos drżał.

Tina była wstrząśnięta. Początkowo myślała, że Paul gra, ale gdy przyjrzała mu się uważnie, uwierzyła, że mówi najzupełniej serio. Nie miała pojęcia, co go do tego mogło skłonić. Ilekroć myślała o nim w ciągu tych ostatnich dwóch lat, to nieodmiennie wyobrażała sobie, że na pewno cieszy się z odzyskanej swobody.

- Paul, nic z tego nie wyjdzie. Chcę być wobec ciebie

szczerą. Myślę, że ta historia z Mazie nie była twoją jedyną zdradą. I również nie byłaby ostatnią, gdybym cię wówczas nie złapała na gorącym uczynku.

- Tino, proszę cię...

- Ja cię już naprawdę nie oceniam. Co było, to było. Ale chcę ci powiedzieć tylko jedno, Paul. Może ci się to przyda, jeśli miałbyś się powtórnie ożenić. - Starła się maksymalnie kontrolować głos. - Gdy kobieta odkrywa niewierność męża, nie tylko czuje się zdradzona. Czuje się odrażona. I tego bardzo długo się nie wybacza. Jeśli się w ogóle wybacza.

- Nigdy nie miałem najmniejszego zamiaru cię odtrącić!
- wykrzyknął Paul. - Mazie nic dla mnie nie znaczyła.

- Wiem o tym. Wątpię, by którakolwiek z nich coś dla ciebie znaczyła.

- No to dlaczego...

- Bo to właśnie jest takie smutne. Nie rozumiesz? Wykorzystywałeś je po prostu. - Tina podniosła się z miejsca. - Naprawdę muszę już wracać do ojca. Russell ma różne rzeczy do zrobienia, a ojca nie można na dłużej zostawiać bez opieki.

Paul pierwszy raz w życiu poczuł się zapędzony w kozi róg. Wstał również.

- Mógłbym sprawić, by twoje życie stało się znacznie łatwiejsze. A co więcej, wiem, że potrafiłbym ci udowodnić, iż zasługuję na zaufanie.

- Paul... Nie.

Wiedział, że przekonywanie jej jest bezcelowe. Tego nauczył się już dawno. Należało dać jej czas na przemyślenie i dopiero później do tego powrócić.

- Pozwolisz, że będziemy w kontakcie?

- Uważam to za zbędne.

- Jesteś pewna?

-Tak.

- A więc dobrze. Gdybyś zmieniła zdanie, twoja siostra wie, jak mnie znaleźć. Nie fatyguj się, aby mnie odprowadzić. Do widzenia!

- Dowidzenia, Paul!

Tina odczekała w biurze do momentu, kiedy nabrała pewności, że Paul opuścił ranczo. Ta wizyta ogromnie ją rozstroiła. Nie bardzo wiedziała dlaczego. Postąpiła przecież słusznie, decydując, by ich drogi się rozeszły. Ani razu tego nie żałowała i nie miała zamiaru sklejać tego małżeństwa. Co więc jest powodem, że czuje się tak dziwnie? Czy przypadkiem nie to, iż powiedział: „Mógłbym uczynić twe życie znacznie łatwiejszym”? Zapewne mógłby to zrobić.

- Tino! Co ci jest? - Z zadumy wyrwał ją głos Russella. Nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się w salonie.

- Nie... nie. Nic mi nie jest. - Spojrzała na Tima. - Zasnął? - spytała.

- Tak.

- Dziękuję, że zechciałeś z nim posiedzieć. Póki śpi, zobaczę, co można zrobić na kolację. Na pewno potrafisz teraz docenić Ruby po tych kilku dniach mojego gotowania.

Russell poszedł za nią do kuchni.

- To był twój były mąż, prawda?

- Tak. Ojej! Nawet was sobie nie przedstawiłam. Zapominam ostatnio o dobrych manierach.

- Nie szkodzi!.- Błysnął zębami w uśmiechu. - Od razu zgadłem, kim jest.

- Russell... powiedz mi, czy po swoim rozwodzie miałaś jakieś wątpliwości? Chodziło ci po głowie, by próbować skleić jeszcze jakoś twoje małżeństwo?

A więc to chodzi po głowie temu piękniśowi! Russell nie

wiedział, dlaczego go to tak poruszyło. Ale poruszony był naprawdę.

- Nie. Byliśmy tak niedobrani, że nie miało sensu zaczynanie na nowo.

Tina pokiwała głową i nagle - ku rozczarowaniu Russella - zmieniła temat. A szkoda. Cały zdążył zamienić się słuch.

- Ciekawa jestem, co też Ruby zastała u Connie.

- Jak myślisz, długo jeszcze będziesz mógł dawać sobie radę z tą robotą? - zapytał Russell Jake'a, widząc, że z trudnością wsiada on do dżipa.

- O co ci chodzi?

- Wiesz dobrze o co. Widziałem, jak łykałeś te swoje pigułki.

- To zwykła aspiryna.

- Bóle pleców, prawda?

Jake zachmurzył się i potarł dłonią policzek.

- Aha. Chyba mnie trochę reumatyzm sieknął po krzyżu.

- O rany, Jake! Moja matka zrezygnowała z ogródka różanego z powodu kłopotów z kręgosłupem. A ty dzień po dniu odwalasz tu robotę za ciężką nawet na zdrowy kręgosłup. Pytam więc jeszcze raz: jak długo będziesz dawał sobie radę?

Jake przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik.

- Nie wiem. Pewnie dotąd, dokąd będę tu potrzebny Tinie.

- Albo dotąd, aż sobie ten krzyż do reszty wykończysz.

- Zobaczymy. Tylko... Słuchaj, Russell, nie wspominaj o tym Tinie, dobra?

- Jeżeli sobie tego życzysz, to oczywiście...

- No właśnie. Proszę cię o to.

Do domu było jeszcze daleko, Russell miał więc sporo czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. Nawet

gdyby nie ten kręgosłup, to i tak człowiek w wieku Jake'a nie mógłby już długo wykonywać tej katorżniczej pracy. I co wtedy pocnie Tina? Wydawało mu się, że wszystko w jej życiu zmierza ku nieuchronnej katastrofie. W czasie ostatnich kilku dni z Timem prawie zupełnie nie można było dać sobie rady. Pod nieobecność Ruby Tina zaharowywała się na śmierć. No i jeszcze ten kręgosłup Jake'a. Jeśli on wysiądzie, to mogą równie dobrze zamknąć interes.

A co będzie, jeśli Tina z desperacji wróci do swego byłego męża? Co prawda nigdy mu nie powiedziała, że o to chodziło Paulowi, ale Russell zdecydowanie odniósł wrażenie, że tak właśnie było. Osobiście uważał, że wyjście z całej tej sytuacji jest śmiesznie proste. Powinna sprzedać ranczo, przeprowadzić się do Amarillo, wynająć tam jakąś pomoc i zacząć organizować sobie normalne życie. Wówczas Jake mógłby przestać pracować, a Ruby przeniosłaby się bliżej córki, na czym - wedle słów Jake'a - bardzo jej zależało. I wszyscy byliby zadowoleni.

Pomyślał, że nadszedł czas, aby porozmawiać o tym z Tiną, a nadchodzący wieczór zdawał się - jak każdy tu wieczór po kolacji - stosowną po temu porą. Nie wspomni oczywiście o kręgosłupie Jake'a ani o tym, że Ruby pragnęłaby być bliżej córki. To byłoby grubą niedyskrecją. Po prostu będzie starał się, by Tina uświadomiła sobie, że życie na odludziu z chorym, wymagającym stałej opieki ojcem jest poronionym pomysłem. Spróbuje ją przekonać, że i jej również należy się coś od życia. Może zechce go wysłuchać. Taką miał przynajmniej nadzieję.

A naprawdę to właściwie nie rozumiał, dlaczego się tak bardzo tym wszystkim przejmuje. Nawet gdyby miały zajść jakieś poważniejsze zmiany, to jego i tak już dawno tu nie będzie. Po co więc wtrącać się do czegokolwiek i próbować układać dla wszystkich plany na przyszłość?

Nie wiedział dlaczego, ale nie potrafił jednak przyglądać się temu wszystkiemu z boku. O Tima martwił się niemal tak samo jak jego rodzona córka. Nowym zmartwieniem był teraz Jake. A o Tinę to już martwił się bez przerwy. Nigdy nie przypuszczał, że jest w stanie związać się emocjonalnie z tak wieloma osobami naraz, ale stało się faktem, iż troszczył się o nich wszystkich.

Coraz bardziej lubił to ranczo. Właśnie ranczo, a nie samą robotę. Ilekroć na widnokręgu ukazywały się jego zabudowania, doświadczał uczucia, jakby przybywał do domu. Być może było to głupie, ale dojmująco prawdziwe. Wiedział dokładnie, co ukaże się jego oczom, gdy uchyli kuchenne drzwi. Jeśli Ruby powróciła dziś - tak, jak to było w planie - to ujrzy ją właśnie stojącą przy zlewie, podczas gdy Tina będzie w salonie z ojcem. A jeżeli z jakiegoś powodu powrót Ruby ulegnie opóźnieniu, zostanie w kuchni Tinę, a Tim będzie usadowiony w bezpiecznym miejscu przy stole, tak aby mogła cały czas mieć na niego oko. Z kuchennej płyty albo z piekarnika, jak zawsze, dochodzić będzie cudowny zapach jakichś potraw.

A na pięterku, kiedy weźmie już prysznic, znajdzie szafę pełną czystych ubrań. Bez przerwy powtarzał Ruby, że przez wiele lat sam robił sobie pranie i nadal może to robić. Ale ona patrzyła na niego wtedy tak, jakby mówił w jakimś obcym języku.

- Pozwól jej się tym zająć, Russell - mawiała Tina. - Ruby ma dyplom mistrzowski z opiekuńczości.

Poddał się więc w końcu, starając się jedynie ograniczyć swoje brudy do minimum.

A potem, po którejś kolejnej pysznej potrawie, zostanie razem z Tiną w opustoszałej kuchni, by wypić kawę i pogawędzić. Początkowo zastanawiał się, o czym też będą tak gwarzyć wieczór za wieczorem, ale nie przypominał sobie zbyt

wielu momentów, gdy ich konwersacja utykała w martwym punkcie. Oczywiście sporo rozmawiali o Timie, ale również i o innych sprawach. Szczególnie dużo opowiadali sobie nawzajem o dzieciństwie. A było ono trochę podobne. Na pewno nie bez trosk i trudności, ale w atmosferze spokoju, wśród rodziny. Te wieczory po kolacji stały się dla Russella ulubioną częścią dnia i wiedział dobrze, że ich właśnie będzie mu najbardziej brakować.

Do diabła! Zaczyna chyba mieć źle w głowie. Jak mógł pozwolić, żeby mu się coś takiego przytrafiło?!

Doszło do tego, że Tina zaczęła panicznie reagować na dźwięk telefonu. Ilekroć podnosiła słuchawkę, czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Tym razem dzwonił ktoś w sprawie zbiórki pieniędzy na wysłanie szkolnej orkiestry z Leatrice na jakiś tam konkurs, ale każdego już przecież dnia, w każdej właściwie minucie, zadzwonić mógł Leon Shaw. Nie obrażała sobie, jak na to zareaguje.

Odkładając słuchawkę, rzuciła okiem na Tima. Spał nadal w swoim fotelu. Korzystając z wolnej chwili, wymknęła się do kuchni, aby nakryć stół na powitanie Ruby. Niewiarygodne, z jaką radością spotkała się z nią dzisiejszego popołudnia. Zdawało się, że od jej wyjazdu z rancza minęły tygodnie, a nie dni. Ruby była niezwykle ważnym domownikiem. Wystarczyło, by przestąpiła próg domu, a natychmiast przywrócony zostawał w nim porządek.

Tina przechodziła właśnie przez przedpokój, gdy natknęła się na Russella zmierzającego przez drzwi kuchenne do stołowego. Oboje się zatrzymali.

-Hej!-pozdrowił ją.

- Hej!-odpowiedziała.
- Jak ci przeleciał dzień?
- Tak jak zwykle. A tobie?
- Dokładnie tak samo - odparł, uśmiechając się szeroko.

Odwzajemniła jego uśmiech, mając żarliwą nadzieję, że cie-

pło, które nieodmiennie czuła na policzkach, ilekroć ujrzała go pod koniec dnia, nie uzewnętrznia się w postaci rumieńców.

Russell ruszył w jej kierunku, ale kiedy był już blisko, zręcznie ją ominął.

- Czeka mnie kąpiel. Założę się, że czuć mnie jak capa.

Do zobaczenia za minutkę.

Tina patrzyła za nim, jak wbiega po dwa schody na górę. Od czasu, gdy Becca pozwoliła sobie na uwagę na temat tego, w jaki sposób Russell na nią patrzy, nieodmiennie starała mu się dyskretnie przyglądać, mając nadzieję, że dostrzeże coś, Co

miała na myśli jej siostra. Ale nie mogła stwierdzić, żeby cokolwiek takiego odkryła. Jeśli w tym domu ktoś pozwalał sobie na tęskne spojrzenia, to jedynie ona. Odwróciła się i powędrowała do kuchni.

- Chcesz, żebym już nakryła do stołu? - zwróciła się do Ruby.

- Naturalnie. Wszystko powinno być gotowe, kiedy zjawią się mężczyźni.

- Co słyszać u Connie?
- Śliczne są te dzieciaki.
- Wyobrażam sobie.

- Tino, córka chciałaby, abym zjawiała się tam znowu wtedy, gdy ta kobieta z agencji adopcyjnej będzie wizytowała ich dom. Nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ skąd! Po co pytasz? Jest jakiś konkretny powód?

Ruby zwlekała z odpowiedzią. W drodze powrotnej na

ranczo doszła do wniosku, że Connie będzie musiała sobie poradzić bez niej aż do momentu, gdy Tina przystosuje się do sytuacji po wyjeździe Russella. Nie chciała więc, aby Tina dowiedziała się teraz o kłopotach, jakie Connie ma z Alejandro. A były one poważne. Chłopiec, inaczej niż jego dwie siostry - bardzo trudno się adaptował. Nie potrafił lub może nie chciał - nie było to zupełnie jasne - uczyć się angielskiego. Ruby również miała kłopoty w kontaktach z nim, mniejsze jednak niż Connie, która obawiała się wręcz, że pracownicy socjalni agencji adopcyjnej mogą przed zakończeniem okresu próbnego odebrać jej całą trójkę i umieścić w innej rodzinie. A oboje z mężem; zdążyli się do nich już na tyle przywiązać, że byłoby to dla nich życiową klęską.

- Chłopiec po prostu trochę dziwaczy, szczególnie wtedy, kiedy ta kobieta tam przychodzi. Małe dziesięcioletnie stworzonko, a skwaśniały i złośliwy jak staruch. Ja jakoś sobie lepiej z nim radzę niż Connie. A wszystko to podobno dlatego, że traktuje go się tak samo jak jego siostry. Zdaje się, że tam, skąd on pochodzi, mężczyźni są na specjalnych prawach. Nawet mali chłopcy.

Tina ironicznie prychnęła.

- Niech tylko dorośnie, a będzie świetnie pasował do takich samych typków, jakich tu też nie brakuje.

- Są jakieś wieści o samochodzie Russella?

- Nie, ale lada dzień będzie już gotowy. - Tina sięgnęła do szafki i wyjęła z niej pięć talerzyków. - Nie opowiadałam ci o tym, co się przydarzyło tatusiowi tego wieczoru, gdy byłam na przyjęciu u Becci?

-Nie.

W trakcie nakrywania do stołu Tina zrelacjonowała Ruby całe zdarzenie.

- Tak więc, przez kilka ostatnich dni raczkowałam do-
słownie po całym domu, starając się zobaczyć go z punktu
widzenia dziecka. Pozabezpieczałam wszystko, jak tylko po-
trafiłam, ale Russell uważa, że i tak powinniśmy założyć kra-
ty w oknach na piętrze.

- Kraty? Po co?

- Po to, żeby nie można było wypaść ani wyskoczyć
z okna.

Żrenice Ruby rozszerzyły się z przerażenia.

- O Boże! Jeszcze tego brakowało!

Zanim skończyły przygotowywać kolację, w kuchni po-
jawił się Russell, a za nim Jake i Tim. Przez następne
czterdzieści minut rozmowy przy stole ograniczały się
do spraw najprostszych - takich jak jedzenie, pogoda i temu
podobne. Każdy z obecnych starał się o to, by posiłki upły-
wały w spokojnej atmosferze. Tim przestawał jeść, gdy tylko ,
coś go zdenerwowało. Kłopot w tym, że nie sposób było
przewidzieć, co akurat może go wytrącić z równowagi.

Ale tego wieczoru wszystko przebiegało dobrze. Tim, jak
zwykle, nie zjadł zbyt wiele, a raz nawet nałożył sobie mięso
palcami. Tina go jednak nie zganiła i nie zmuszała do używa-
nia widelca, choć odnotowała ten incydent. Postanowiła poru-
szyć temat na następnym zebraniu grupy wsparcia, by wie-
dzieć, jak sobie z tym poradzić.

Kiedy skończyli jeść, Jake i Ruby - jak na dany znak -.
zabrali Tima do salonu, pozostawiając Tinę i Russella sa-
mym. Oni to we dwójkę robili co wieczór porządki w kuchni
i mieli już swój opatentowany sposób. Russell sprzątał ze
stołu, a Tina spłukiwała naczynia i wkładała je do zmywarki.
Następnie czyściła blat kuchenny, a on w tym czasie wynosił
śmieci. A potem był czas na kawę.

Tego wieczoru jednak Russell, powróciwszy do kuchni, zwrócił się do Tyny:

- Na dworze jest dziś bardzo ładnie. Może byśmy usiedli na ganku i obejrzelili zachód słońca?

- Świetny pomysł. Zaniesiemy tam kawę.

Spędzili następne kilkanaście minut po prostu siedząc, sącząc kawę i patrząc, jak zachodzące słońce spowija ziemię złotą poświatą i tonuje pastelami krajobraz, który w jasnym świetle dnia wyglądał tak surowo. W dali błyskało się na pogodę. Tina wiedziała, że nie ma czegoś takiego jak „błyskanie się na pogodę”, ale tak właśnie starzy ludzie nazywali wyładowania elektrostatyczne w czasie upałów.

- Tino? - Głos Russella przerwał nagle ciszę.

- Uhm.

- Co zamierzasz zrobić, gdy wyjadę?

„Gdy wyjadę”. Zmroziły ją te dwa słowa.

- Myślę, że będę robiła to, co teraz. Będę opiekowała się ojcem.

- A pozwolisz, abym ci powiedział, co ja bym chciał, żebyś zrobiła?

- Naturalnie.

- Chciałbym, abyś sprzedała to ranczo i przeprowadziła się do Amarillo. Miałabyś tam na miejscu matkę i siostrę. Mogłabyś wynająć pomoc albo umieścić Tima w jednym z tych ośrodków dziennego pobytu, o których czytałem. I wówczas miałabyś szansę podjąć na nowo jakąś pracę lub zająć się czymkolwiek, co sprawiałoby ci przyjemność.

- Nie. - Tina przecząco pokręciła głową. - Nie mogę tego zrobić. Demencja postępuje wolniej, jeśli chorego trzyma się tak długo, jak tylko jest to możliwe, w znanym mu otoczeniu.

To zostało akurat dobrze udokumentowane. Bałabym się zabrać tatusia z tego miejsca. O Boże! Jeśli jego wyprowadza z równowagi sytuacja typu drzwi frontowe - drzwi kuchenne, to co by się działo, gdybym nagle przeniosła go w zupełnie obce miejsce?

- Przecież on i tak, bardzo często nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie jest - powiedział Russell najłagodniej, jak potrafił.

- Przepraszam, jeśli brzmi to brutalnie, ale naprawdę tak jest.

- Tak naprawdę, to nie wiemy do końca, co się dzieje w jego mózgu.

Zamilkli oboje i siedzieli zatopieni w myślach przez kilka następnych minut. Wreszcie Russell odezwał się:

- Nie dalej jak wczoraj zapytał mnie, czy przybyłem tu po to, aby go stąd zabrać. Powiedział, że chciałby wrócić tam, „gdzie są wszyscy”.

- Powiedział to, co akurat czuł w danym momencie. Pięć minut później mógłbyś usłyszeć coś zupełnie innego. Zastanawiam się, kto to są dla niego ci „wszyscy”. Może... może wraca pamięcią do czasów, gdy to ranczo było interesem prowadzonym z rozmachem, na większą skalę. Uwijali się tu kowboje, była tu jeszcze mama i Becca. Rzeczywiście odnosiło się wrażenie, że jest tu stale masa ludzi. Może o to mu chodzi? Kto wie?

Russell dopił kawę i postawił pustą filiżankę na podłodze.

- Nalać ci jeszcze troszkę? - spytała Tina.

- Nie, dziękuję. Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że nie tylko martwię się o Tima, Martwię się również o ciebie.

- O mnie? Dlaczego?

- Za często wyglądasz na zmęczoną. Musisz bardziej dbać o siebie. Nie będziesz mogła nikim się opiekować, jeśli sama zachorujesz.

- Nic mi nie będzie. Sypiam na ogół dobrze i - Bóg mi świadkiem - odżywiam się znakomicie. Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy w życiu byłam na cokolwiek chora.

- Tu nie chodzi tylko o zdrowie w sensie fizycznym - upierał się Russell. - Jest również coś takiego jak zdrowie psychiczne. Rozchorować się można od zmartwień i zmęczenia. W nie mniejszym stopniu niż od zarazków. Dlatego chciałabym, żebyś przeprowadziła się do miasta, wynajęła pielęgniarkę, częściej wychodziła z domu. Należy ci się jakieś własne życie. Wtedy dopiero... wówczas dopiero będziesz wolna od pokus, by przyjąć jakąś... oferowaną w złych intencjach pomoc.

Tina postawiła swoją filiżankę obok stojącej na podłodze pustej filiżanki Russella, podkurczyła nogi i objęła je ramionami. Zastanawiała się, czy była to aluzja do propozycji Paula. Russell był nadzwyczaj spostrzegawczy. Mógł odgadnąć powody, dla których Paul tu przyjechał. To, że Russell najwyraźniej troszczy się o nią i przejmuje, niepomrotnie ją ucieszyło. Z drugiej jednak strony, w tonie jego głosu wyczuła jakby zapowiedź pożegnania. Poczula przyływ dojmującego, wielkiego smutku. Postanowiła się temu nie poddawać. Jeśli nie pozwoliła, by choroba ojca wpędziła ją w melancholię, znajdzie w sobie dość siły, by nie dać się w nią wpędzić przez wyjazd Russella.

Przecież to również przeminie - tłumaczyła sobie. Jak wszystko na tym świecie: I pewnego dnia ten człowiek będzie dla niej niczym więcej niż tylko czułym wspomnieniem.

Zwróciła się ku niemu. Siedział wpatrzony w dal, mogła więc delektować się widokiem jego prawdziwie męskiego profilu, Włosy miał już trochę za długie i zastanawiała się, czy powinna mu zaproponować, że go ostrzyże. Doszła już do niezłej wprawy, od dawna bowiem strzygła Tima.

- Dlaczego się tym wszystkim przejmujesz? - spytała ściszym głosem. - Przecież w końcu nasze problemy nie są twoimi problemami.

Nie odpowiedział natychmiast i przez dłuższą chwilę nadal patrzył przed siebie. Wreszcie zwrócił się ku niej i wtedy znowu zauważyła ten wyraz jego twarzy. Właśnie ten, który wywoływał w niej przyspieszone bicie serca.

- I tu się mylisz. Wasze problemy stały się teraz również moimi.

- Damy sobie radę. A kiedy... dojedziesz tam, gdzie się wybierasz, to przyślij nam swój adres. Będę... będę do ciebie pisała, jeśli... jeśli właśnie o to ci chodzi.

- Właśnie o to mi chodzi.

Nadal się w nią wpatrywał, a ona również siedziała wpatrzona w niego, wyraźnie nim zafascynowana, nie mogąc odebrać oczu od jego twarzy. I wtedy wyciągnął rękę, a jego dłoń, musnąwszy policzek, ześlizgnęła się na jej kark. Lekko przyciągnął ją ku sobie, przechylił głowę. Jego usta przylgnęły do jej ust.

Pocałunek był delikatny, choć trwał długo. Tina skłonna była sądzić, że większość ośmioklasistów całuje się bardziej namiętnie. Szorstkość jego policzka wydała jej się w dotyku czymś cudownym. Dlaczego dopiero teraz? - pomyślała. Czemu nie przed kilkoma tygodniami, kiedy był jeszcze czas na...

Na co? Na krótką, szaleńczą przygodę, ?anim on pomknie do Kalifornii, a ona wróci do swych zajęć całodobowej pielęgniarstwa? Ależ byłoby to zabawne! No właśnie. Jeżeli teraz przerażają perspektywa rozstania, to jakby się czuła w sytuacji, gdyby zostali kochankami?

Mimo wszystko, gdy przerwał pocałunek i odsunął się od

niej, poczuła się jakby porzucona. Splotła dłonie na kolanach jeszcze mocniej, broniąc się przed tym, by nie wyciągnąć ku niemu ramion. Przestrzeń pomiędzy nimi zdawała się wibrować. Wystarczyłoby posunąć się jeszcze odrobinę dalej, aby ten delikatny pocałunek przerodził się w coś znacznie głębszego. .. Wystarczyłoby jedno dotknięcie...

Tina otrząsnęła się. Rozplotła zaciśnięte na kolanach dłonie, sięgnęła po stojące na podłodze filiżanki i wstała.

- Zaniósę to do kuchni. Na pewno nie chcesz więcej kawy?

- Na pewno - powiedział Russell z głębokim przydechem.

Ten pocałunek wydał mu się idiotycznym pomysłem. Wystarczyło pomyśleć, że to kompletnie nie w porę. I że nic z niego nie wyniknie. Ale cóż z tego, skoro już tak dawno tego pragnął. Niemal od drugiego dnia pobytu na ranczu.

Ejże! Komu on to wmawia? Drugiego dnia był tak skonany, że nie wyrzeszałby z siebie ani odrobiny energii. A od tamtej pory tyle rzeczy się wydarzyło... Tak bardzo się zmienił. Brzuch miał twardy jak granit. W porównaniu z dniem, w którym wyjechał z bazy Red Star, był znacznie bardziej umięśniony. A energii miał w sobie za dwóch...

- Idziesz do domu, Russell?

Zerwał się z podłogi.

- Tak. Posiedzę z Timem, żeby złuzować Jake'a i Ruby. Może zechcą wybrać się do miasta?

Tamtych dwoje całkowicie jednak zaabsorbował program telewizyjny. Przez resztę wieczoru Tina i Russell udawali, że także oglądają go z zainteresowaniem. W rzeczywistości jednak koncentrowali się na tym, by na siebie nie patrzeć.

Gdy nazajutrz rano jedli śniadanie, zadzwonił telefon. Tina miała do niego najbliższą i ona właśnie podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, Tino. Tu mówi Leon Shaw.

Miała wrażenie, że na chwilę przestało bić jej serce.

- Tak, Leonie - odpowiedziała.

Na dźwięk tego imienia Russell gwałtownie odwrócił się ku niej.

- Powiedz panu Cade, że jego wóz jest gotowy i wyszło z niego prawdziwe cacko - ciągnął dalej Leon. - Zrobiłem mu zdjęcia przed i po naprawie jako reklamę warsztatu i gdyby go to interesowało, to dla niego również mam odbitki.

- Dziękuję, Leonie. Powtórzę mu to - zapewniła. Denerwowało ją, że Leon był tym taki strasznie uradowany. - Na pewno wpadniemy przed południem, żeby go zabrać. - Odwiesiła słuchawkę i powróciła do stołu. - Twój samochód jest gotowy - oznajmiła, jakby mówiła o czymś zupełnie obojętnym.

Russell skinął głową. Ruby przyjrzała się badawczo Tinie i westchnęła.

Dziewczyna wpatrywała się w swój talerz. Reszta pozostawionego na nim jedzenia wydała jej się nagle nieapetyczna.

- Zawiozę cię do warsztatu po śniadaniu - odezwała się do Russella, nie patrząc na niego.

- Dziękuję.

I tylko Jake dziwił się, dlaczego w kuchni zapadła nagle grobowa cisza.

- Patrz pan, panie Cade. Oto pański wóz.
I co pan na to?

Russellowi wydawało się, że jeśli Leon jeszcze trochę bardziej wypnie pierś, to pourywają mu się guziki od koszuli. Ale miał powody, aby być dumny ze swego dzieła. Russell starał się znaleźć choćby jeden zaciek, ale mu się to nie udało.

- Wspaniała robota, Leonie. Prawdziwy z siebie artysta, Leon promieniał.

- Pracowałem przy nim tak, jakbym robił przy swoim. Russell gestem posiadacza pogładził ręką lakier. Wydało

mu się to dziwne, ale bynajmniej nie był w euforii. A przecież powinien. Czekał tak długo, a poza tym wóz naprawdę prezentował się nie gorzej niż przed wypadkiem. Ale po drodze do miasta, gdy uświadomił sobie, że dziś prawdopodobnie widzi Tinę po raz ostatni, owładnął nim dziwny smutek. Teraz należało wrócić na rancho, spakować swoje rzeczy i powiedzieć im wszystkim „do widzenia”.

Nie, nie wszystkim. Z Timem postanowił się nie żegnać. Wraz z Tiną ustalili, że tak będzie lepiej. Istniała szansa, że Tim prawie natychmiast przestanie go pamiętać, natomiast scena pożegnania mogłaby być dla niego bolesną.

Próbował jakoś zwalczyć swój ponury nastrój. Zagadnął jeszcze Leona o to i owo, upewnił się, że załatwił on zwrot kosztów naprawy w towarzystwie ubezpieczeniowym, po czym odwrócił się, szukając wzrokiem Tiny. Stała w pewnej odległości od nich z rękami skrzyżowanymi poniżej piersi. Podziękował jeszcze raz serdecznie Leonowi, pożegnał go i podszedł do niej.

- Szykuje się gorący dzień - odezwał się.
- Jak zwykle o tej porze roku.
- Może byśmy się zatrzymali w „Dairy Queen” i napili czegoś zimnego? Tak... żeby przypomnieć sobie stare dzieje.

Po co? - cisnęło jej się na usta. Dlaczego się od razu nie spakujesz i nie wyjedziesz? Niechby się to wreszcie skończyło.

- Oczywiście - zgodziła się, zamiast wyrzucić z siebie cały żal.

- To jedź pierwsza, a ja za tobą.

O tej porze dnia w „Dairy Queen” było pusto. Jedyne parę osób piło na sali kawę. Na dźwięk dzwonka nad drzwiami z kuchni wyszła Marge.

- Cześć, Tino!
 - Jak się masz, Marge. Daj mi, proszę, herbatę z lodem.
 - I dla mnie też - powiedział Russell, zastanawiając się, czy również stał się miłośnikiem tego napoju.
- Zanieśli swoje szklanki do łoży przy oknie.
- Gdy pierwszy raz zobaczyłem to miejsce, do głowy mi nie przyszło, że będę je kiedykolwiek oglądał ponownie - zauważył Russell.
 - Wyobrażam sobie. Przykro mi, że Leonowi zabrało to tak dużo czasu.
 - Naprawdę ci przykro?
 - Nie... Właściwie to nie. Przyjemnie mi było cię poznać. Zabrzmiało to dosyć śmiesznie i nie oddawało jej prawdziwych odczuć. Sączyła herbatę i próbowała wymyślić, w jaki sposób ma powiedzieć to wszystko, co pragnęłaby wyznać... Ale właściwie poco?
 - Russell! Chciałam...
 - Tino! Chciałem...
- Przerwali sobie nawzajem i oboje nerwowo zachichotali.
- Powiedz pierwsza-zaczął Russell.
 - Ja chciałam po prostu... Chciałam ci podziękować za wszystko, co dla nas zrobiłeś.
 - Nie musisz mi za nic dziękować. Robiłem tylko to, co sprawiało mi prawdziwą przyjemność.
 - Wiem, tym milej z twojej strony. Dziękuję także w imieniu Jake'a i Ruby. Oni też uważają, że w tylu sprawach nam pomogłeś. Szkoda, że tatuś nie może przekazać ci swoich podziękowań, ale...
 - Proszę cię, Tino...
- Wyglądał na tak zażenowanego, że Tina zdecydowała, dać temu spokój. Naprawdę słowa okazywały się nieadekwatne.

- A ty co chciałeś powiedzieć?

Russell nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Gdyby nie Tina i Yearwoodowie, byłby skazany na spędzenie tych tygodni w motelu w Leatrice, co z pewnością doprowadziłoby go do szaleństwa. A dzięki nim miał jakieś zajęcie, okazał się pomocny i jeszcze mu dziękowano.

Podniósł do ust szklankę i w tym momencie zauważył plakat wiszący nad automatem z papierosami. Odstawił ją z powrotem na stół i spytał:

- Słuchaj, czy ty i Yearwoodowie lubicie oglądać te rzeczy?

Tina odwróciła się, by spojrzeć na plakat.

- Okręgowe rodeo? Zawsze na nie jeździliśmy, gdy byłam dzieckiem. Tatuś to uwielbiał. W zeszłym roku pozwoliłam wybrać się na nie Jake'owi i Ruby. Sama zostałam w domu z ojcem. I w tym roku na pewno będzie tak samo.

- A chciałybyś pojechać?

- Och... nawet się nad tym nie zastanawiałam. To takie... raczej amatorskie pokazy, ale jest tam bardzo przyjemnie.

- To trwa dwa dni. Ale powiedzmy... Czemu by tego tak nie zaaranżować, żeby Jake i Ruby pojechali na przykład w sobotę, a my w piątek.

Russell naprawdę nie wiedział, że coś podobnego proponuje. Po prostu nagle samo mu się to powiedziało.

- My w piątek? - spytała zdumiona.

- Tak. My we dwójkę.

- Russell... Przecież ty w piątek miałeś już być...

- To w końcu tylko kilka dni, a mnie się tak strasznie nie śpieszy. Jeśli sprawiłoby ci to przyjemność, to możemy się tam wybrać.

Zdał sobie sprawę z tego, że nie było to najbardziej prze-

myślane posunięcie w jego życiu. Właściwie nie wiedział nawet, dlaczego to zrobił. Bał się pożegnania, to prawda, ale na jakiej podstawie mógł sądzić, że będzie łatwiejsze później? Tłumaczył sobie, że robi to dla Tiny. Obawiał się, że po jego wyjeździe długo nie będzie mogła sobie pozwolić na jakąkolwiek przyjemność poza domem. Stan zdrowia jej ojca wciąż się pogarszał. Nawet ona nie zdawała sobie sprawy z tego, jak szybko się to posuwa. Na przykład ten poranny rytuał ubierania stawał się coraz bardziej uciążliwy i pochłaniał coraz więcej czasu. Tim często nie potrafił odróżnić spodni od koszuli. Russell wiedział, że w niedalekiej przyszłości zacznie się dla nich jeszcze cięższy okres. Dobrze więc, by Tina mogła się odprężyć i odpocząć choć w ten jeden wieczór, tym bardziej że kilka dni zwłoki nie miało przecież dla niego zasadniczego znaczenia.

- No i jak? Zgadzasz się? - nalegał.

Tina wiedziała dobrze, co powinna zrobić. Powiedzieć mu, że tak naprawdę rodeo ją od dawna nie pasjonuje i że bardzo mu

dziękuje. Po co zgadzać się na to, by został aż do końca weekendu? Przecież to tylko odwlecze pożegnanie, które i tak jest nieuchronne. Oczekiwanie na tę chwilę stawało się trudne do wytrzymania. Była tak napięta, że jego wyjazd mógł już właściwie przynieść tylko ulgę. Po co przedłużać tę torturę?

- Dziękuję, Russell - odezwała się w końcu. - Jeśli rzeczywiście możesz odwlec wyjazd o te kilka dni, to myślę, że chciałabym się tam z tobą wybrać... nawet bardzo.

- Co się stało? On zostaje? - spytała Ruby.

- No... nie na długo - wyjaśniła jej Tina. - Zapragnął obejrzeć rodeo. Może więc my byśmy pojechali na nie w piątek, a ty i Jake w sobotę? Co ty na to?

- Hm. - Ruby znacząco się uśmiechnęła. - Zapraǳnęł obejrzeć rodeo?! Kręci.

- Co takiego?

- Kręci. Kiedy mężczyzna nie chce czegoś zrobić, na przykłaǳ rozstać się z jakimś miejscem albo z jakąś osobą, to wymyśla sobie różne preteksty, aby zostać. Rodeo! Też mi pomysł!

- Chyba niewłaściwie to interpretujesz - upierała się Tina. - Russell nigdy nie podał mi żadnego powodu, dla którego chciałby zostać tu dłużej, niż było to konieczne.

- Tino! Żyję na tym świecie trochę dłużej niż ty. Czy Russell wspominał ci ostatnio o Kalifornii?

Tina rzeczywiście nie mogła sobie przypomnieć, aby ostatnio mówił o tym.

- Chyba tak - powiedziała niepewnie. - Choć głównie rozmawialiśmy ostatnio o ojcu.

- Tak myślałam - skwitowała Ruby.

Tina jakoś nie potrafiła potraktować serio spekulacji Ruby, choć w głębi serca pragnęła, aby były one prawdziwe. Natomiast Ruby modliła się, aby Russell Cade okazał się tym, kto rozwiąże również i jej własne dylematy życiowe.

- Myślałem, chłopie, że jesteś już w połowie drogi do Tucumcari - powitał go Jake, otrząsnąwszy się ze zdumienia, gdy tego popołudnia jego pomocnik zgłosił się ponownie do pracy.

- Coś ty, Jake! Przecież bym, do diabła, nie odjechał bez pożegnania. A poza tym jeszcze nie wyjeżdżam. Chcę zabrać Tinę na rodeo w piątek wieczorem. W sobotę ty będziesz mógł pojechać z Ruby.

- Hm.

- Co tam sobie mruyczysz?
- Tak se tam mruczę. Ładna ona jest, no nie?
- Kto?
- Kto? - Jake zaśmiał się rechotliwie. - Patrzcie go! Tina, oczywiście.
- Owszem. Bardzo ładna.
- I miła.
- Także i miła - zgodził się Russell. - A skoro już tak się zgadało, to chciałem z tobą porozmawiać o Tinie. Mam do ciebie pewną prośbę.
- Gadaj śmiało.
- Próbowałem, muszę przyznać, że bez powodzenia, namówić ją do tego, żeby sprzedała ranczo i przeprowadziła się do miasta, gdzie mogłaby wynająć jakąś pomoc do opieki nad Timem. Mówiłeś, że Ruby chciałyby być bliżej córki, a twój kręgosłup może ci wysiąść lada dzień. Gdy was zabraknie, to Tina znajdzie się tu w katastrofalnej sytuacji. Poza tym ma rodzinę w Amarillo. Mogłaby tam również zaprząć jakoś swą siostrę do pomocy.
- Beccę?.- sarknął Jake. - Przecież ją widziałeś. Chciałbyś mieć taką pomoc, gdyby ci się woda do uszu nalewała? Ona się urodziła w białych rękawiczkach.
- No... skoro tak, to w każdym razie mogłaby wynająć profesjonalną pomoc. Jeśli nie na stałe, to przynajmniej od czasu do czasu. Przecież naprawdę będzie jej coraz trudniej.
- Tak też i ja myślę... Ale... o co ty chciałeś mnie prosić?
- O to, żebyś namawiał ją do tej sprzedaży... wtedy, gdy mnie już tu nie będzie
- Mogę spróbować - odrzekł Jake po głębokim zastanowieniu. - Tyle że nie wiem, czy to się na coś zda. Tina, co by nie robiła, to za każdym razem zważa tylko na to, co będzie

dobre dla jej ojca, a nie dla niej. Zawsze była oczkiem w głowie tatusia i o tym nie zapomniwała. Ale pewnie. Takie życie jakie ona teraz tu ma, to jest diabła warte. A więc popróbuję. Russell klepnął serdecznie w ramię tego starszego mężczyzny, którego zaczął już traktować jak swego przyjaciela. ,

- Więcej nie mógłbyś dla mnie zrobić.

- Chyba mi będzie ciebie trochę brak. Będę dziwacznie się czuł, kiedy rozglądnę się po polu i zobaczę, że nie wtechez już za mną tego swojego ciężkiego tyłka. Wyrobiłeś się na dobrego pomocnika.

- Prawdziwy komplement, zważywszy, że ty to mówisz

- Russella zdumiało, że tak wiele znaczyła dla niego pochwała tego człowieka.

- Planujesz być jakoś z nami w kontakcie, czy tak sobie odjechać razem ze słońcem?

- Eee... będę w kontakcie - zapewnił go Russell.

I naprawdę myślał, że tak będzie. Choć zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo może się to okazać bolesne. Był w pełni: przygotowany na to, że będzie mu brakowało ich wszystkie! i nie pomogą na to telefoniczne rozmowy ani listy. Najrozsądniej byłoby pozostawić sobie dobre wspomnienia i zerwać wszelkie nici, które go z nimi łączą.

Ale wiedział, że tego nie będzie w stanie zrobić.

Piątkowe rodeo organizowane było razem z dorocznym jarmarkiem okręgowym. Ponieważ impreza, te stanowiła największą atrakcję na obszarze pomiędzy Amarillo a granicą ze stanem Oklahoma, każdego roku odnotowywano tu kolejne rekordy frekwencji. Z megafonów rozbrzmiewała muzyka country, na wietrze powiewały niezliczone flagi Teksasu. Tina i Russell, czekając na rodeo, przechadzali się pomiędzy stois-

kami, pojadali tacos - nadziewane naleśniczki z mąki kukurydzianej - popijali piwo i oglądali wystawy. Tina bez przerwy spotykała znajomych, których nie widziała od lat. Wśród nich również Joego-Bena Cartera, jego żonę Peggy i dwóch synków. Opowiedziała potem Russellowi, że Joe-Ben był pierwszym chłopcem, z którym na serio chodziła.

- Wygląda na szczęśliwego i zadowolonego z życia - zauważyła. - I Peggy również.

- Zazdrościsz im? - spytał Russell.

- Nie! Nie zazdrozczę jej, że wyszła za Joego-Bena, jeśli to miałeś na myśli - odpowiedziała ze śmiechem. - Zazdrozczę jej, że ma rodzinę.

Russell był wyraźnie zdumiony.

- Nigdy nie słyszałem od ciebie, żebyś tęskniła rozpaczliwie za macierzyństwem.

- No to może powiem inaczej. Żeby mieć rodzinę, trzeba być wolnym. Może tego właśnie jej zazdrozczę. - Wyprzezdziła go nagle, wyciągając powitalnym gestem rękę do starszego, przysadzistego mężczyzny odzianego w strój kowboja. - Wspaniale, że się spotkaliśmy!

- Hej! Tino! - Znajomy potrząsał jej dłonią. - Co rok jesteś ładniejsza.

- A ty jesteś taki miły, jak zawsze byłeś. Don, chciałam ci przedstawić Russella Cade'a. Russell, pozwól proszę, to jest Don Madison.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i wymienili grzecznościowe formułki.

- A jak się czuje twój ojciec? - zwrócił się Don do Tiny.

- Niedobrze. Naprawdę niedobrze.

- Co za szkoda! Co za cholerna szkoda!

- Jesteś tu razem z Beth?

- Nie. Została w Galveston z córką i z całą tą bandą wnu-
czków. Nie można jej wytłumaczyć, że bez niej też sobie
dadzą jakoś radę.

- Pozdrów ją ode mnie.

- Oczywiście, że to zrobię. Słuchajcie, przykro mi, że
muszę was zostawić, ale mam się tu spotkać z pewnymi...

- Ależ naturalnie, Don. Nie możesz się przecież przez nas
spóźnić.

- Miło mi było cię poznać, Russell. Trzymaj się, Tino.
I dbaj o siebie. - Don pośpiesznie oddalił się i po chwili znik-
nął w tłumie.

- Nie widzieliśmy się... sama już nie wiem, jak długo
- odezwała się Tina, odprowadziwszy go wzrokiem. - Przez
czterdzieści lat był najlepszym przyjacielem ojca.

Russell nachmurzył się.

- Jak to? To dlaczego nigdy nie przyjdzie odwiedzić Ti-
ma?

Niespiesznie ruszyli przed siebie.

- Stan, w jakim znajduje się tatuś, jest czymś trudnym do
zaakceptowania przez jego starych kolegów. Komu się chce
jechać taki kawał drogi po to, by odwiedzić kogoś, kto w re-
zultacie go nie pozna? A Don był teraz taki spięty, bo się
wstydział, że nigdy nie przyjeżdża. Widziałeś, jak pośpiesznie
od nas uciekł. Kilka lat temu przykleiłby się do nas jak tapeta
do ściany.

- Wydawałoby się, że przyjaciele rodziny powinni was
odwiedzać również z uwagą na ciebie. Wiedzą przecież, że nie
możesz się ruszyć z domu i że ich odwiedziny mogłyby ci
sprawić radość.

- Ale tego nie robią. - Tina wzięła Russella za rękę. Tym
razem naprawdę nie miała zamiaru spędzić całego wieczoru

na rozmowie o ojcu. Są to w końcu jej problemy i będzie miała dość czasu, by je samotnie rozważać. - Chodź! - powiedziała zdecydowanie. - Właśnie wpadłam na pewien pomysł. Nie masz żadnej pamiątki z Teksasu, a ja coś tu dla ciebie upatrzyłam.

Zaprowadziła go do kiosku, w którym jakiś człowiek w wieku Tima wystawiał na sprzedaż ręcznie wyprawiane pasy skórzane. Na ścianie za nim wisiała ich chyba setka, a jeden był piękniejszy od drugiego.

- Halo, Casey! - pozdrowiła właściciela stoiska Tina.

Stary człowiek uniósł głowę, a gdy ją ujrzał, uśmiechnął się tak, że z oczu zrobiły mu się maleńkie szparki w zmarszczonej twarzy.

- A, to ty, kochanie! Jak się masz, Tino!

- Świetnie! Słuchaj, Casey! To mój przyjaciel, Russell. Jest tu przejazdem, w drodze do Kalifornii, i trzeba dla niego znaleźć jakąś pamiątkę z Teksasu. Pomyślałam sobie, że któryś z twoich pąsów świetnie się do tego nada.

- Wspaniała jest ta pańska robota, panie Casey. - Russell pozwolił sobie na komplement.

- Dziękuję, synu. Wybierz sobie taki, który ci się podoba, a ja na nim wytłoczę twoje imię.

Wybór był trudny, gdyż każdy pas był prawdziwym dziełem sztuki. Russell w końcu zdecydował się, więc Casey odłożył robotę, którą się właśnie zajmował, i spytał:

- Jak cię nazywają? Russ czy Rusty, czy jakoś inaczej?

- Nie. Po prostu Russell.

Na gładkim kawałku skóry w tylnej części pasa Casey wykaligrafował ołówkiem jego imię, po czym zaczął wycinać skórę wokół liter tak, by uczynić je wypukłymi.

- Do jakiej części Kalifornii się udajesz?

- Na północne wybrzeże.

Casey pokręcił głową.

- Nigdy tam nie byłem, choć przez pewien czas mieszkałem niedaleko, trochę bardziej na południe. Tam, gdzie owoce rosną aż po czubki drzew. A wśród ludzi też dosyć jest czubków. - Zachichotał z własnego żartu, a Tina i Russell wymienili rozbawione spojrzenia.

- Ale wiesz, gdyby tak ci zależało na czymś prawdziwie gustownym, to powinieneś zamówić sobie u mnie buty. Uczciwie mówię, moje buty są najlepsze w całym stanie. Wszystkie robione ręcznie, bez żadnych podróbek. Robię je dla gwiazdorów filmowych, piosenkarzy i szejków naftowych. W żadnym sklepie czegoś takiego nie znajdziesz. Mówię ci.

- Buty? Hm. - Russell rozważał przez chwilę tę propozycję.

- Miarę mogę ci wziąć od razu. Robię również siodła.

- Siodło to mi specjalnie nie jest potrzebne. Ale zawsze chciałem mieć parę naprawdę eleganckich kowbojskich butów. Ile by panu zajęło ich zrobienie?

- No, tak... niecały tydzień..

Russell zaczął się zastanawiać. Kolejny tydzień, kolejna zwłoka, kolejny pretekst. Ale tym razem jak najbardziej usprawiedliwiony. O rany! Naprawdę go to kusiło. Przecież każdy zrozumie, że chce zaopatrzyć się w eleganckie, ręcznie robione buty przed wyjazdem z Teksasu.

Idioto! - zachnął się nagle. Przez ostatni; dwa dni bał się nadchodzącego końca tygodnia. Cały czas czuł ten lęk, jak zaciśnięty węzeł w żołądku. A chwilami, gdy stawał się on nieznośny, przychodziło mu do głowy, czyby nie zostać tu trochę dłużej. Przecież zawsze można wymyślić jakiś powód. Tina potrzebowała kogoś do opieki nad ojcem. Gdyby został

trochę dłużej, Ruby mogłaby pomóc swojej córce. Oba preteksty aż nadto ważne.

I wtedy zadał sobie wreszcie pytanie: czy to jest rhiejsce, w którym pragnął się znaleźć? Czy to jest to, co chciał robić? Tina i Yearwoodowie byli dla niego wyjątkowo mili - to prawda - ale czy w ciągu całego jego tutaj pobytu ktokolwiek z nich chociaż raz dał mu do zrozumienia, iż chcieliby, aby z nimi

został? Odpowiedź na wszystkie te pytania była przecząca.

- Szkoda, ale muszę chyba z tego zrezygnować. Tydzień to trochę dla mnie za długo.

Tina odetchnęła gwałtownie. Nie wiedziała nawet, że przez dłuższą chwilę wstrzymywała oddech.

Na rancho wrócili już po północy. W jednym z okien salonu jaśniało światło, natomiast reszta domu była całkowicie ciemna. Russell zatrzymał thunderbifda za furgonetki i wyłączył reflektory.

Wygląda na to, że wszyscy już poszli do łóżek - zauważył.

- O, pewnie już śpią parę godzin. Tina sięgnęła do klamki, lecz zanim otworzyła drzwi wozu, powiedziała jeszcze: - Spędziłam dzięki tobie wspaniały Wieczór. Bardzo ci dziękuję, Russell, że mnie zabrałeś.

- Ja też się świetnie bawiłem. Już tak dawno nie byłem na okręgowym jarmarku.

Nie zrobił żadnego ruchu, aby wyjść z samochodu. Tina również pozostała nieruchoma. Po kupieniu tego pasa nie wspominali już więcej o Kalifornii, ale teraz zapragnęła się wreszcie dowiedzieć, jakie on ma plany.

- Kiedy zamierzasz wyjechać? - spytała głosem z pozoru pozbawionym emocji.

- No... jeszcze nie jutro. Nie zacząłem nawet się pako-

wać. - Spojrzał przed siebie przez szybę. - A poza tym jakoś nie bardzo chciałbym, abyś została jutro sama w domu z Timem. Nawet sobie nie zdawałem sprawy, jak pusto i ciemno jest tu w nocy.

Usłyszał jej stłumiony śmiech.

- Przecież jeszcze niejedną noc spędzę tusama z tatusem. Ja się nie boję.

- Wszystko jedno. Zdążę wyjechać w niedzielę.

- Jak sądzisz, ile czasu zajmie ci podróż?

- Zabawne, ale do tej pory o tym nie myślałem. Dobrze, zastanówmy się... Cztery dni, jeśli będę się śpieszył, albo pięć, jeśli będę jechał spokojnie.

Nie chciał jednak o tym mówić. Ani też myśleć o czekającej go drodze... i o Tinie, która pozostanie w tym samotnym domu.

Minie pięć dni i dzielić ich będzie połowa kontynentu, pomyślała Tina.

- Myślisz... że będziesz tędy może jeszcze przejeżdżał?

- Nie wiem. Nie lubię słowa „nigdy”.

- A gdyby tak się złożyło, to czy byś tu zajechał?

- Oczywiście. Jeśli tu jeszcze będziesz.

Roześmiała się oschle.

- Na pewno... Albo gdzieś bardzo niedaleko. Mam takie przeczucie, że dużo czasu upłynie, zanim będę mogła stąd się ruszyć.

Powiedziała to tak, jakby stwierdzała oczywisty fakt, bez odrobiny uzalania się nad sobą. Russell wiedział, że tak jest naprawdę: długo jeszcze nie będzie mogła stąd wyjechać. Nie potrafił uwolnić się od poczucia, że opuszcza ją jak dezerterski w godzinie próby.

Chociaż... właściwie tak nie jest, próbował sobie tłuma-

czyć. Owszem, ma ona całą masę problemów życiowych, ale przecież on nie jest w stanie ich za nią rozwiązać. Pomógłby jej, gdyby mógł, ale po prostu jest to niemożliwe. Powtarzał sobie, że zupełnie dobrze dawała sobie radę, zanim tu przybył, a więc da sobie radę również po jego odjeździe. Uczepił się tej myśli, mając nadzieję, że będzie go ona podtrzymywała na duchu w ciągu mającego nadejść tygodnia.

Położył ramię na oparciu siedzenia i końcami palców musnął jej włosy.

- Tino? Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wtedy wieczorem. Czy potem jeszcze o tym myślałaś?

- O przeprowadzeniu się do miasta?

- Uhm.

- Trochę...

W rzeczywistości jedyną rzeczą związaną z tym wieczorem, która naprawdę zaprzętała jej myśli, był tamten pocałunek. Przelotny i delikatny, a jednak wywarł na niej tak ogromne wrażenie... Czyż jej reakcja nie stanowiła smutnego dowodu na to, jak bardzo smutne i ponure wiodła tu życie?

- Muszę przyznać - zaczęła - że jest to pociągająca propozycja. Nie zamierzam cię okłamywać. Gdy byłam zamężna, zdążyłam się nieco przyzwyczaić do życia w mieście, gdzie zawsze można pójść do muzeum, do teatru, gdzie są dobre restauracje i dobre sklepy. Zanim tu się zjawileś, tęskniłam za tym, by móc porozmawiać z kimś w moim wieku. Naprawdę kocham Jake'a i Ruby, dałabym się za nich pokroić, ale są to prości ludzie, należący do starszego pokolenia. Czasami przychodzi mi do głowy, żeby powrócić do college'u. Po to tylko, by upewnić się, że umysł nie skostniał mi do końca. Albo może podjąć na nowo pracę w klinice weterynaryjnej. Bardzo lubiałam tam pracować swego czasu. - Przerwała na chwilę

i westchnęła. - Mimo wszystko jednak moja decyzja musi pozostać nie zmieniona. Cały czas intuicja podpowiada mi, że dla ojca będzie lepiej, jeśli pozostanie tu tak długo, jak tylko okaże się to możliwe.

- Diabelnie mi się to nie podoba.

Tina przekreśliła się na siedzeniu tak, by móc patrzeć wprost na Russella.

- Miło z twojej strony, że się tym przejmujesz. Ale za tydzień o tej samej porze będziesz już daleko stąd... i to, c, o się dzieje na tym ranchu, przestanie ci spędzać sen z powiek.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak... Jestem realistką. Kiedy znajdziesz się w miejscu, o którym od tak dawna marzyłeś, nie będziesz tracił czasu na myślenie o nas. Dopiszesz nas po prostu do tej długiej listy ludzi, z którymi los zetknął cię na chwilę w czasie tych lat spędzonych za kierownicą.

- Och, Tino! Mylisz się. Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

- A czym my się od tych ludzi różnimy?

- Z wami... to coś innego. Szczególnie z tobą... Z tobą to było coś zupełnie innego.

Siedzieli przez chwilę wpatrzeni w siebie nawzajem. Tina była przekonana, że jeśli natychmiast nie zrobi jakiegoś ruchu, aby wyjść z samochodu, to Russell ją pocałuje. Rozsądek walczył w niej z pożądaniem. Wewnętrzny głos podpowiadał, że pojutrze wsiądzie on do tego samego samochodu i odjedzie stąd na zawsze. A jednak gdy zobaczyła, że Russell pochyla ku niej głowę - poddała się. Przecież to tylko pocałunek, pomyślała. Niech pozostanie potem we wspomnieniach, jak pamiątka po nim.

Ich usta się złączyły. Ale tym razem był to już zupełnie

inny pocałunek: gwałtowny i aż do udręczenia długi, wyzwalamyjący w nich namiętność, która miała w sobie coś z agonii i ekstazy zarazem. Tina wiedziała, że powinna krzyknąć, by przestał, lecz zupełnie wbrew sobie objęła go ramionami i odwzajemniła pocałunek. Rozchyliła wargi, by mógł wsunąć jej język do ust, a gdy mocniej przyciągnął ją do siebie, bez reszty mu się poddała. Poczowała, jak pożądanie wzbiera w; niej właśnie tam, głęboko, w dole brzucha - i teraz pragnęła już nie wypuszczać go z ramion przez całą noc. I to nie ona, lecz Russell przerwał w końcu ten pocałunek.

Oboje przez chwilę zastygli w milczeniu. Tina wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia, a on przywarł policzkiem do jej włosów. Przycisnęła dłoń do jego piersi i poczuła, jak mocno bije mu serce.

Och! Jakby to było dobrze, gdybym mogła pojechać z tobą do Kalifornii - marzyła. Choć przecież ani razu mi nie zasugerowałeś, że chciałbyś mnie tam ze sobą zabrać.

Nie chcę się z nią rozstać. Ale nie mogę tu przecież zostać. Nie rozwiąże to przecież jej problemów. Ale rozstać się z nią nie chcę. Do diabła! Co się ze mną dzieje! - Russell miał w głowie istną goniwę myśli.

Tina wiedziała - lepiej niż większość ludzi - że uzależnienie się nad własnym losem do niczego nie prowadzi. Pozwalała sobie na to czasami w początkowej fazie choroby ojca i jedynym rezultatem było to, że czuła się wówczas jeszcze bardziej bezradna. Ale teraz znowu przez chwilę pozwoliła sobie na coś podobnego. Dlaczego w ogóle Russell się tu pojawił, przynosząc z sobą miraż wolności i swobody? I dlaczego pojawił się właśnie wtedy, kiedy ona nie mogła sobie pozwolić na coś więcej niż tylko przyjaźń? To nie było fair.

Po trochu rozsądek brał jednak górę nad emocjami. Gdzie

jest powiedziane, że życie - czy los - kieruje się zasadami fair play? Grać trzeba tymi kartami, które zostały nam rozdane.

- Mądre to nie było - odezwała się pierwsza. - Nie jestem za dobra w pożegnaniach... A po... po... czymś takim będzie to jeszcze trudniejsze.

- Wiem. Przepraszam cię. Chciałem tylko... Myślałem, że to będzie taki zwykły pocałunek na dobranoc.

Tina szarpnęła za klamkę, otworzyła drzwi, oświetlając jednocześnie wewnątrz ciemnego dotąd wozu.

- Naprawdę już chodźmy.

- Tak, tak. Oczywiście - rzucił z westchnieniem Russell.

Wysiadł z samochodu i poszedł za Tiną, która niemal biegiem zdążyła w kierunku domu, jakby szukając w nim bezpiecznej przystani.

Tej niespokojnie spędzonej nocy Russell podjął wreszcie decyzję. Uznał, że jego skrupuły odnośnie wyjazdu z rancza były absurdalne. Pozwolił do tego stopnia uwikłać się w życie wszystkich ich czworga, że stracił z oczu swój własny cel. Pamiętał jedną z ulubionych sentencji jego matki: najbardziej żałujemy w życiu nie tego, co zrobiliśmy, lecz tego, czego zrobić się nam nie udało. Przez dziesięć długich lat myślał i marzył o Kalifornii. Wiedział, że jeśli tam nie pojedzie, to będzie tego kiedyś żałował. I nadal tak uważał. Co zaś do jakichś zobowiązań wobec Tiny, to są one absolutnie urojone. Dodatkowo nadmiernie dramatyzuje jej sytuację. Doskonale da sobie ona radę bez niego. Jest właśnie takim typem kobiety.

Oczywiście - przyznał wobec samego siebie - łatwiej o takie genialne konkluzje wtedy, gdy nie patrzy się na Tinę i na te jej piękne, zmęczone oczy. Łatwiej żywić takie przekonania, gdy nie widzi się nagle we wzroku Tima głębokiego przywiązania, gdy nie pochłania się żarłocznie tych niezrów-

nanych przysmaków przyrządzanych przez Ruby i nie słucha się gawęd i wspominków Jake'a.

Sobota zapowiadała się jako długi, trudny dzień. Ostatni w tym dobrym miejscu, które było dla niego przez kilka tygodni domem. Ale przyszłości dla siebie tu jednak nie widział. Niech tylko nadejdzie niedziela, a wsiądzie do swojego thunderbirda i ruszy na zachód. Żeby się nie wiadomo co działo.

RS

RS

9

Następnego ranka cały dom wibrował buczeniem odkurzacza. Tina atakowała dywan w sypialni ojca z taką pasją, jakby chodziło nie o kurz, lecz o inwazję jadowitych węży.

Noc miała okropną, nie była więc w najlepszym nastroju, a dzień nie przyniósł jak dotąd niczego, co podniosłoby ją na duchu. W czasie śniadania musiała prawie cały czas karmić ojca łyżeczką, a Russell opowiedział jej, że okropnie się napocił nad tym, by skłonić Tima do ubrania się. Potem ojciec zaczął znowu swoje z tym „wracaniem tam, gdzie są wszy-

scy". Sprzątanie domu stanowiło wypróbowany sposób, by odreagować frustrację.

Odkąd sięgała pamięcią wstecz - w każdym razie na pewno tak długo, jak długo była u nich Ruby - sobota była dniem sprzątania. Nie miała pojęcia, dlaczego akurat sobota, ale w ich rodzinie stało się to niemal rytualnym obrzędkiem. Nawet Tim, nie dalej niż siedem czy osiem miesięcy temu, ilekroć widział Tinę i Ruby krzątające się po domu, zajęte zamiataniem, myciem szyb, froterowaniem podłóg, mawiał: „dziś na pewno jest sobota”.

Wszystko raz na zawsze ustalone, takie same, przesiąknięte na wskroś beznadziejną nudą. I po co zadawać sobie cały ten trud? - zastanawiała się. Przecież i tak nikt nie zapowiedziany tutaj nie wpadnie. Jedyni ludzie, którzy widują ten dom od środka, to ci, którzy w nim mieszkają.

Na dole Ruby, nie spuszczać z oka Tima, polerowała kłamki. Z pewnego oddalenia dochodził stukot młotka, to Jake kuł coś na podwórzu. Po drugiej stronie korytarza, w pokoju gościnnym, Russell pakował się do drogi. Powiedział im, że chciałby wyruszyć jutro rano, jak najwcześniej.

Tina wyłączyła odkurzacz i przesunęła wyściełane krzesło, tak aby móc wymieść spod niego kurz. Po chwili, ledwie dotknęła palcem przełącznika, maszyna zawarczała, budząc się na nowo do życia. I właśnie jej hałas upewnił nagle Tinę, że jej prywatny świat nie rozpada się na kawałki - i to niezależnie od tego, lub wbrew temu, że czasami tak właśnie się czuje. Jacyś ludzie mogą pojawiać się i znikać z jej życia, ale sobota pozostanie zawsze sobotą.

Boże! Ależ była w okropnym nastroju! I nie potrafiła się z tego otrząsnąć. Być może ten ostatni wieczór spędzony poza domem w towarzystwie Russella tak ją rozstroił. Wspaniale

spędziła czas, ale miała świadomość, że jest to w jakimś sensie pierwsze i jedyne spotkanie z nim poza domem - coś w rodzaju randki. Po obudzeniu się tego ranka pomyślała najpierw, że dziś po raz ostatni dobiegnie do niej z pokoju ojca kojące brzmienie głosu Russella, namawiającego Tima, by się ubrać. A w chwilę potem zastanawiała się, czy nie lepiej by było, gdyby Russell wyjechał już dziś. A może jeszcze lepiej by było, gdyby w ogóle tu nigdy się nie pojawił?

Ponownie wyłączyła odkurzacz i popchnęła go nogą na korytarz. Zazwyczaj gdy tylko kończyła sprzątać pokój ojca, odkurzała natychmiast pokój Russella, ale on ciągle jeszcze w nim był, a nie miała specjalnej ochoty rozmawiać z nim teraz. Pociągnęła więc odkurzacz do swojej sypialni. I wtedy właśnie usłyszała, jak z dołu woła ją Ruby:

- Tino! Becca do ciebie dzwoni!
- Zaraz odbiorę. - odrzyknęła.

Zanim podniosła słuchawkę, wzięła głęboki wdech. Będąc w tak podłym nastroju, nie była pewna, jak zniesie radosny, obwieszczający, że „wszystko-na-świecie-jest-cudowne” szczebiot siostry.

- Dzień dobry, Becco! - powiedziała hajpogodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Cześć, Tino! Co robisz?
- Sprzątam dom.
- Myślałam, że Ruby się tym zajmuje.
- Ruby nie może robić wszystkiego.
- No... tak. Rzeczywiście. Chciałam się jeszcze z tobą

skontaktować przed naszym wyjazdem. Tym razem wyjeżdżamy na Wyspy Bahama trochę wcześniej niż zwykle. Rodzice Dereka zabierają dzieci do Tahoe, a więc korzystając z tego, chcemy parę dni dłużej powygrzewać się na słońcu.

Tina poczuła, jak całe jej ciało wiotczeje.

- Bawcie się dobrze!

- Och! Zawsze się świetnie bawimy. Spotykamy się całą paczką w Miami, a potem robimy prawdziwą inwazję na wyspy. A tak przy okazji, jak ci się wiedzie?

Tina miała ochotę krzyknąć: a niby jak ma mi się wieść? Opanowała się jednak i odpowiedziała zdawkowo:

- Świetnie.

- To dobrze! Słuchaj, muszę jeszcze załatwić tysiące spraw, więc nie będę cię już trzymać przy telefonie. Gdybyś nas potrzebowała, to matka wie, jak się z nami skontaktować.

A do czego, do diabła, miałabym was potrzebować? - pomyślała z goryczą Tina.

- Życzę wam dobrych, spokojnych wakacji.

Odwieszając słuchawkę, uświadomiła sobie, że Becca nie zadała sobie nawet trudu, by spytać, jak się czuje ojciec. Ogarnęła ją fala irytacji i dopiero po chwili udało jej się jakoś powrócić do równowagi. Gdyby odebrała ten telefon w jakimś innym dniu, to wzruszyłaby ramionami i tyle. No... może byłoby jej trochę przykro, odrobinę by im zazdrościła... Becca jest w końcu taka... jaka jest. Tina potrząsnęła głową, włączyła odkurzacz i znowu przystąpiła do pracy.

Na szczęście czas tego ranka minął dosyć szybko. Najpierw bardzo dokładnie sprzątała cały dom, następnie zajęła się własną toaletą. Starła się unikać spotkań z Russellem, co nie było trudne, gdyż jemu zdaje się również zależało na tym, by schodzić jej z drogi. Odbił kilkanaście wycieczek z pokoju do samochodu, za każdym razem upewniając się, że Tim nie orientuje się, w jakim celu to robi. Zaraz po lunchu oświadczył, że jedzie do Leatrice, aby zatankować wóz i zała-

twić jakieś sprawy. Tina była przekonana, że po prostu stara się jakoś zabić czas.

Ża to wieczór zapowiada się przyjemnie - pomyślała. Jake i Ruby wyjadą i pomiędzy kolacją a rozsądną porą na położenie się do łóżek będą mieli ze cztery godziny na rozmowę. Tylko o czym, do licha, mają niby rozmawiać? Przez cały dzień ledwie zamienili ze sobą ze trzy zdania. O jego jutrzejszej podróży wspominać nie mogą, przynajmniej dopóki ojciec nie położy się spać. To, co będzie robiła jutro, za tydzień czy za miesiąc nie powinno właściwie Russella już interesować, a ona nie zniesie po prostu wdawania się w jakieś wspominki z okresu, który z nimi tu przeżył. Cóż więc im pozostawało? Rozmowa o pogodzie?

No właśnie... Zaiste, wieczór zapowiadał się wspaniale!

Jake i Ruby wyjechali na festyn o piątej. Tina od lat nie widziała swej gospodyni w tak radosnym nastroju. Ruby miała na sobie prostą, bawełnianą suknię, którą włożyła po raz pierwszy właśnie na tę okazję. Jake natomiast zmienił swe nieodłączne dzinsy na spodnie z gabardyny. Gdy tylko wyjechali, Russell przejął opiekę nad Timem, dzięki czemu Tina mogła zająć się przygotowaniem kolacji.

Podczas posiłku atmosfera była napięta. Tina, która przez cały dzień starała się tłumić swe emocje, była wyraźnie podenerwowana. Ze względu na Tima zmuszała się do prowadzenia banabej konwersacji, ale nawet jej samej własny głos wydawał się brzmieć nienaturalnie wysoko i niespokojnie. Tim znowu jadł bardzo niewiele i był jeszcze bardziej apatyczny niż zwykle. Czy przeczuwał, że coś wisi w powietrzu? Na niczym jej bardziej nie zależało, jak na tym, aby Russellowi udało się wyjechać na tyle dyskretnie, by ojciec tego nie spostrzegł.

Po skończonym posiłku wyprosiła mężczyzn z kuchni, aby móc ją posprzątać. Udało jej się przeciągnąć piętnastominutowe zwykle sprzątanie do trzech kawadransów, lecz w końcu nie pozostawało jej nic innego, jak wyjść z kuchni i przyłączyć się do nich.

Zastała ich w salonie, przy rozstawionym karcianym stoliku. Grali w którąś z ulubionych gier jej ojca. Na ekranie telewizora migały jakieś obrazy, ale fonia była wyłączona. Gdy weszła do pokoju, Russell spojrzął na nią znad kart, uśmiechnął się, po czym natychmiast zwrócił się do Tima, w obawie, by tamten się nie zdekoncentrował.

Tina przeszła przez pokój, przysiadła na sofie i próbowała czytać. Lubiła zwykle takie książki - lekkie, trochę niedoręczne, fikcyjne opowieści, pisane wyraźnie po to, aby pomóc czytelnikowi zapomnieć na chwilę o tym, że istnieje coś takiego jak realny świat. Tego wieczoru jednak ten wypróbowany sposób zawiódł. Przebrnęła przez cztery strony, uświadomiła sobie, że w ogóle nie wie, o czym przed chwilą czytała, po czym odłożyła książkę. I w tym momencie miała już tylko do wyboru oglądanie niemego telewizora lub też skupienie uwagi na grających w karty mężczyznach. Wybrała to drugie.

Russell znowu ją bez reszty zadziwił. Gry Tima były tak prymitywnie proste, że powinny go śmiertelnie nudzić. On natomiast potrafił siedzieć przy nich tak długo, jak długo życzył sobie tego Tim, a co więcej, udawał, że jest tym absolutnie zafascynowany. Jutro, jeśli ojciec zapragnie zagrać w karty, to ona będzie musiała z nim grać. A niestety nawet w części nie ma do tego tyle cierpliwości, co Russell.

Nagle zaniepokoiła ją pewna myśl. Jej ojciec potrafił funkcjonować wyłącznie wedle pewnej ustalonej rutyny, a granie w karty z Russellem po kolacji stało się już dla niego jednym

z takich rytuałów. Co więc będzie, jeśli nie zechce jutro grać z nią, tylko właśnie z nim? Czy powinna mu wtedy powiedzieć, że Russell na zawsze wyjechał, czy raczej udawać, że właśnie wyszedł gdzieś na chwilę?

Zdecydowała, że nie ma sensu martwić się na zapas o to, co i tak jutro będzie musiała rozstrzygnąć. Westchnęła, wzięła do ręki jakiś ilustrowany tygodnik i zaczęła go przeglądać.

- Ha! Ha! - wykrzyknął nagle Tim.

Tina drgnęła i z niepokojem spojrzała na ojca. Uspokoiła się, spostrzegłszy, że wpatruje się on w Russella z tryumfalnym uśmiechem, zupełnie jak kot, któremu udało się dobrać do śmietany.

- Oszukiwałem, a ty ani razu mnie na tym nie przyłapałaś - stwierdził z wyraźną dumą.

Russell chrząknął i potarł dłonią policzek.

- No właśnie! Coś mi się zdaje, że jesteś dla mnie za sprytny, kolego.

Tim stale oszukiwał przy grze, a Russell udawał, że tego nie dostrzega. Ale tego wieczoru rzeczywiście tego nie zauważył. Gra nie wymagała od niego skupienia i cały czas jego świadomość absorbowwała obecność Tyny. Widział, jak siedzi ona na sofie, próbuje czytać i jest pełna niepokoju, że jej się to nie udaje. Przez cały dzień nie spojrzała mu w oczy, ale za pół godziny zaprowadzi Tima na górę i położy go spać. I wtedy będzie już na niego patrzeć i z nim rozmawiać. Tylko o czym mają niby rozmawiać? Może powinien się pożegnać już dziś i ruszyć o świcie, gdy wszyscy będą jeszcze spać? Może w ten sposób wszystko by jakoś łatwiej poszło? Może...

Spojrzał na siedzącego po przeciwnej stronie Tima. Nagle poczuł bolesny skurcz w piersiach. Przecież ja pokochałem

tęgo starego człowieka - przemknęło mu przez głowę. Ta myśl przeraziła go i rozczuliła. Nie odważył się w tym momencie nawet spojrzeć w kierunku Tiny. I tak wiedział doskonale, gdzie ona jest. Do tego nie był mu potrzebny wzrok. Jej woń unosiła się w całym pokoju, przywodząc mu na myśl różne sentymentalne, zupełnie szmirowate skojarzenia: zapach świeżo skoszonych łąk, koniczyny, wiciokrzewu.

Tim opadł na oparcie fotela i oderwał wzrok od stolika. Oznaczało to, że jego zdolność koncentracji wyczerpała się. Nadszedł czas, by położyć go spać.

- Dosyć tych kart na dziś wieczór, prawda? - zagadnął Russell.

- Chyba tak.
- Chcesz już iść na górę?
- Tak sądzę.

Russell wstał, okrążył stół i wziął Tima pod ramię. Pomógł mu wstać, po czym pewnie i delikatnie poprowadził go w stronę schodów.

- Dobranoc, tatusiu! - pożegnała go Tina.

Nie zareagował na to, dopóki Russell nie upomniał go jak dziecko.

- Ona do ciebie mówiła, kolego.
- Tak? Aha... dobranoc!

Obaj mężczyźni ruszyli w górę po schodach.

- Kto to taki? - spytał Tim.
- Tina.
- Tina? To ona tu często przychodzi?
- Owszem. Bardzo często.

Russellowi zrobiło się żal Tiny. Wczuwał się w los samotnej kobiety, skazanej na to, by opiekować się na tym odludziu człowiekiem, który nie wie nawet, kim ona jest i nigdy, nawet

w części, nie będzie w stanie docenić jej poświęcenia. Cóż to za okropne życie!

- Tędy - powiedział, wskazując Timowi drogę do jego sypialni, gdzie należało zacząć ten sam, co zwykle, wieczorny rytuał.

Przypominało to do złudzenia kładzenie dziecka do łóżka. „Umyj rękę a teraz twarz”. „Proszę, to jest twoja szczoteczka do zębów, a to twoja pidżama”. Tyle że Tim potrafił zachowywać się gorzej niż najbardziej nieznośne dziecko. Był rozkojarzony, niezdarny, a czasami, gdy coś go napadło i zaczynał się opierać; stawał się tak ciężki, jakby był odlany z ołowiu. Najgorzej było wtedy, gdy ubzdurał sobie, że to nie jest jego pidżama i nie zgadzał się jej włożyć.

Tego wieczoru na szczęście pełen był dobrych chęci i wszystko potoczyło się sprawnie. Russell położył go do łóżka, dał lekarstwa i upewniwszy się, że Tim gotów jest do snu, wyszedł cicho z jego sypialni. Nie zszedł jednak bezpośrednio na dół.

Wstąpił po drodze do swojego pokoju i wsunął do kieszeni spodni małe pudełeczko: Był to prezent dla Tiny, kupiony tego dnia w Leatrice. Nie pozostawało mu teraz już nic innego jak zejść do niej i jakoś uporać się z tym pożegnaniem.

Tina sprzątnęła właśnie salon, wynosząc z niego stół, krzesła i karty.

- Napijesz się kawy? - spytała.

- Oczywiście. Jeśli tylko zechcesz mi towarzyszyć, Przytaknęła apatycznie i ruszyła w kierunku kuchni. Russell pośpieszył za nią.

- Miałeś jakieś kłopoty z tatusiem?

- Właściwie nie. Tylko zupełnie nie wiem, jak ty sobie z tym wszystkim dasz radę, Przecież on staje się bardziej krnąbrny.

Tina wyjęła z szafki filiżanki i kawę instant.

- Jestem silniejsza, niż wyglądam.

- Z pewnością. Zupełnie nie wyglądasz na silną.

Zrobiła kawę, lecz niosąc ją w kierunku stołu zmieniła zamysł. Przecież te ich milutkie pogawędki po kolacji i tak się skończą. Równie dobrze można uznać, że już się skończyły.

- Może wypijmy tę kawę w salonie? - zaproponowała i, nie czekając na jego zgodę, wyszła z tacą z kuchni.

Usadowiła się na sofie, a Russell - ku jej zaskoczeniu - zrobił to samo, siadając stanowczo za blisko niej.

- Mam nadzieję, że Jake i Ruby dobrze się bawią - powiedziała, sama nie wiedząc po co.

- Tak. Z pewnością.

- Ruby wyjeżdża z tego domu niewiele częściej niż ja.

Russell zdążył polubić Yearwoodów, ale nie miał najmniej sziej ochoty rozmawiać teraz o nich. Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej maleńkie zawiniątko.

- Tino! Wiem, że tym ani w części nie odwzajemnię ci się za to wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale... Proszę, to taki drobiazg dla ciebie.

Nie bardzo umiał kupować prezenty, a jeszcze gorzej szło mu ich wręczanie. Odwrócił dłoń do góry i niezgrabnie podsunął jej przed oczy swój dar.

Tina wpatrywała się w ten przedmiot tak, jakby pierwszy raz w życiu widziała prezent opakowany w ozdobną torebkę.

- Och, Russell! Nie kupiłeś chyba specjalnie dla mnie...

- Daj spokój! To nic takiego. Sama zobaczysz.

Tina wzięła do ręki paczuszkę i spostrzegłszy przyklejony w jej rogu firmowy emblemat sklepu jubilerskiego Greshama, przeraziła się, że sporo musiał za to zapłacić. Dlaczego nie pomyślała o tym, by również podarować mu coś na pamiątkę.

Ostrożnie rozwinęła opakowanie. Zobaczyła kolczyki z maleńkimi perłami i nagle poczuła, że ma lzy w oczach.

- O Boże! Jakie śliczne!

- Naprawdę ci się podobają? - Zdał sobie sprawę, że" zachowuje się jak podekscytowany chłopiec. - Bo jeśli nie, to możesz je zawsze wymienić na coś innego.

- Wymienić? Za nic w świecie! Będę ich strzegła jak oka w głowie. Do końca życia. - Zdjęła klipsy i ozdobiła uszy perełkami od Russella.

- I co ty na to? Jak wyglądają?

Sto razy lepiej niż w tym cholernym sklepie - pomyślał Russell.

- Ładnie. Cieszę się, że ci się podobają - powiedział.

- Ogromnie mi się podobają. I strasznie ci dziękuję. - Tina nachyliła się ku niemu i cmoknęła go, a raczej otarła się policzkiem o jego policzek.

Wiedziała, że jeśli go naprawdę pocałuje, to rozklei się zupełnie i zrobi z siebie idiotkę.

Russell splótł dłonie i przyglądał im się przez chwilę.

- Tino? Czy jeśli dostaniesz ode mnie list, to mi odpiszesz?

Zwlekąca chwilę z odpowiedzią. Nie była pewna, czy zależy jej na listach. Obawiała się, że mogą one ranić, odnawiać jego wspomnienie... Ale w końcu przecież i tak napisze tylko jeden albo dwa listy.

- Oczywiście.

- Będę bardzo niespokojny o Tima. Chciałbym wiedzieć, co się u was dzieje. I o ciebie także będę się niepokoił.

- Ze mną będzie wszystko w porządku.

- Pewnie tak, ale... Ale „wszystko w porządku" to niewiele znaczy. Chciałbym naprawdę się dowiedzieć, że twoje

życie ułożyło się znacznie lepiej. Bardzo będzie mi ciebie... i was wszystkich brakować.

O Boże! Tina czuła pieczenie pod powiekami i przysięgała sobie, że jeśli uroni choć jedną łzę, to natychmiast wybiegnie z pokoju, zamknie się w swojej sypialni i nie wyjdzie z niej, dopóki Russell nie wyruszy w drogę.

- Nam też będzie ciebie brak. Na pewno będziemy tęsknili za tobą bardziej niż ty za nami. W końcu jedziesz w jakieś nowe miejsce, czeka na ciebie nowa przygoda. A my będziemy tu sobie żyli dokładnie tak samo jak przedtem.

- No... aleja...

Zabrakło mu słów. To było trudniejsze, niż przypuszczał. Choć liczył się przecież z tym, że to pożegnanie będzie bardzo trudne:

Tina postawiła swoją filiżankę na stolyczku i spłótła dłonie na kolanach.

- A czy pomyślałeś kiedyś o tym, co zrobisz, jeśli Kalifornia nie okaże się taka, jak ją sobie wyobrażałeś?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Wydawało ci się to niemożliwe.

- Tak. Przynajmniej wtedy, gdy wyjeżdżałem z bazy Red Star.

- No, dobrze. Mam nadzieję, że okaże się taka, jak ją sobie wymarzyłeś albo jeszcze piękniejsza.

Russell również odstawił swoją filiżankę na stolik i obrócił się ku niej.

- Naprawdę masz taką nadzieję?

Nie, mam nadzieję, że wyda ci się okropna - pomyślała. A jeśli nawet tak by się stało, to czyż mogła liczyć na to, że on tu wróci? Do czego miałby wracać? Do rancza, które jest tylko wspomnieniem dawnej świetności i które coraz trudniej

prowadzić? Do chorego starca i kobiety tak przytłoczone odpowiedzialnością i obowiązkami, że chyba tylko masochi sta mógłby czerpać radość z przebywania w jej towarzystwie.

- Tak. Mam nadzieję, że wszystko ci się tam dobrze ułoży.
 - A czy wiesz, że mogłabyś mi w tym pomóc?
 - Pomóc? W jaki sposób?
 - Gdybyś zgodziła się na przeprowadzkę do miasta i wynajęcie pomocy dla Tima, to...
 - Och, Russell! Proszę, nie zaczynaj znowu... Tłumaczyłam ci przecież, dlaczego nie chcę tego zrobić.
 - Wiem, ale to naprawdę nie ma sensu. Słuchaj, Tino...
- Zdjął jej ręce z kolan i uściśnął je, starając się podkreślić wagę tego, co mówi. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak cholernie mi głupio od ciebie odjeżdżać.
- W tej chwili jest ci mnie żal, ale to niedługo przejdzie.
 - Nie sądzę, aby tak się stało. Będę się o ciebie martwił.
 - Za mało masz widać własnych zmartwień.
 - No, nie wyobrażasz sobie chyba, że wsiądę do samochodu, odjadę i ani przez moment nie pomyślę, co tu się u was będzie działo? - powiedział prawie ze złością.
 - Nie, nie aż tak. Przez pewien czas będziesz za nami tęsknił. Ale któregoś pięknego dnia cały twój pobyt tutaj stanie się dla ciebie niczym więcej, jak tylko mglistym wspomnieniem.
 - Naprawdę tak sądzisz?
 - No bo to chyba logiczne, prawda? Normalna kolej rzeczy: co z oczu, to i z serca. - Tina zastanawiała się, komu właściwie stara się to wytłumaczyć -jemu czy sobie samej?
- Zdawało jej się, że Russell patrzy wprost na jej usta. Zastanawiała się, czy ma zamiar ją pocałować. Bo ona na pewno myślała właśnie o pocałunku.

Byli tak zajęci sobą, że minęła dłuższa chwila, zanim dotarł do nich dźwięk, który trwał już dość długo.

- Co to takiego? - spytała Tina.

Uniosła głowę i otworzyła szeroko oczy.

- O co ci chodzi?

- Nic nie słyszałeś?

Na górze, bezpośrednio nad ich głowami, znowu rozległ się jakiś hałas: coś ciężko upadło, tak jakby przewrócił się jakiś sprzęt. To Tim! Oboje poderwali się i pobiegli ku schodom.

Dziecinna bramka odgradzająca schody była zamknięta na głucho, a górny korytarz pusty. Popędzili wprost do pokoju ojca. Russell otworzył drzwi i przekreślił kontakt. Tinę na moment oślepiło światło. Widok, jaki ukazał się jej oczom, zaparł jej dech w piersiach. Tim stał na środku sypialni, ścisnąc w dłoni nocną lampkę. Wzrok miał szalony, wyglądał jak miotające się po klatce dzikie zwierzę. Stolik przy łóżku, na którym stała zawsze lampka, leżał przewrócony na podłodze.

- Tatusiu! - krzyknęła, zapominając o tym, że nie należy nigdy podnosić głosu, gdy ojciec jest w złym humorze.

Ale Russell o tym pamiętał. Błyskawicznie ocenił sytuację i wszedł do pokoju tak spokojnie, jakby nic specjalnego się nie działo. Tim natychmiast rzucił w niego lampą, która na szczęście przeleciała tuż obok głowy Russella, trafiła w szafę, rozleciała się na kawałki i rozprysnęła po podłodze. Russell nadal zbliżał się powoli do Tima, starając się unikać gwałtownych ruchów. Ku przerażeniu Tiny, ojciec runął do przodu i rzucił się z pięściami na Russella. Trafił go tuż powyżej oka. Russell się zachwiał. Tina poderwała się, by go bronić, lecz on odwrócił się na moment i powiedział:

- Zostań przy progu. - Ton jego głosu był taki, jakby prosił, aby podała mu przy stole sól.

- Gdzie to jest?! - ryczał Tim. - Gdzie to się podziało? Russell położył mu dłoń na ramieniu.

- Uspokój się, kolego. Wszystko jest w porządku.

Tim znowu się zamachnął, ale tym razem Russell zręcznie uniknął ciosu. Tina oparła się o ścianę i przycisnęła obie dłonie do szyi.

- Gdzie to jest?! - powtórnie wrzasnął Tim.

- Ej, daj spokój, Tim - łagodził Russell. - Pozwól mi zobaczyć, co tam jest z tyłu, za tobą. No widzisz, wszystko jest w porządku. - Wolno okrążył Tima i znalazł się za jego plecami. Położył ręce na jego ramionach i poklepał go. - Naprawdę wszystko jest w porządku. Uspokój się. Chodź, trochę sobie odpoczniesz.

Twarz ojca była tak upiornie czerwona, że Tina bała się, iż za chwilę dostanie on ataku serca. Nagle zwiotczał, zapadł się w sobie i skrzywił się tak, jakby miał zamiar się rozplakać.

- Gdzie to jest? - jęknął.

- Ale co? O co ci chodzi, kolego? - spytał Russell.

- No to... Ta cholerna rzecz, na której zawsze siadam.

Gdzie ona się podziała?

Tina, nadal przerażona, próbowała cokolwiek z tego zrozumieć. Najwidoczniej ojcu chodziło o krzesło, a przecież ono stoi tuż przy...

Spojrzała tam i nagle wszystko stało się dla niej jasne. Osunęła się na ścianę i zaczęła cicho płakać.

Russell nadal uspokajał Tima, klepiąc go delikatnie po ramieniu.

- Chodzi ci o twoje krzesło, prawda? No widzisz, tu sobie stoi.

Tim wlepił wzrok w feralny mebel i westchnął.

Russell klepał go i głaskał tak długo, aż upewnił się, że chory ochłonął na tyle, by można go było, zaprowadzić do łóżka. Starzec był wyczerpany i szybko zapadł w sen. Russell jednak wolał nie ryzykować. Pozostał przy łóżku aż do momentu, gdy oddech śpiącego stał się równy i płytki. I wtedy dopiero spostrzegł, że Tina płacze.

- Nie martw się, Tino. Nic już mu nie jest.

Wyprostowała się i wytarła oczy. Podeszła tam, gdzie leżała lampa i zaczęła zbierać jej resztki z podłogi. Robiła to starannie, aby nie przeoczyć odłamków szkła.

- Teraz już nic mu nie jest. Ale co będzie za godzinę albo jutro?

- Śpi mocno. Może za wcześniej od niego wyszedłem. Choć wydawało mi się, że już usnął. Daj mi to. - Wyjął jej z ręki rozbitą lampę.

- Russell! Masz paskudnie rozcięty łuk brwiowy.

- Uhm. Nieźle mnie wałnął.

- Chodź, jakoś ci to opatrzę.

- Nie warto. Nic mi nie będzie.

- Nie, chodź. Trzeba to przemyć wodą utlenioną.

W łazience, gdy opatrywała mu oko, zapytał ją:

- Jak myślisz, co spowodowało ten jego wybuch?

Tina wyglądała tak, jakby znowu się miała rozplakać.

- To krze... krzesło. - Pociągnęła nosem. - Na pewno wstał z łóżka i chciał na nim usiąść. A ja sprzątając rano odstawiłam je na bok i potem zapomniałam postawić tam, gdzie zawsze stoi.

- O Jezu! Naprawdę przez to tylko wybuchła cała ta awantura?

- Obawiam się, że tak. - Zakręciła buteleczkę z wodą

utlenioną, powtórnie pociągnęła nosem i wytarła oczy. - Te środki uspokajające najwyraźniej przestały już działać. W poniedziałek zadzwonię do lekarza, żeby zapisał tatusiowi coś mocniejszego. I potem zacznę się martwić, jakie z tego znowu wynikną problemy. Zawsze było to samo. Kiedy już zaczynałam myśleć, że ani minuty dłużej nie wytrzymam, rozpoczynała się następna faza choroby. I nowe kłopoty. - Odstawiła buteleczkę do szafki z lekarstwami, po czym oboje wyszli z łazienki. - Słyszałam, że pacjentom z demencją zdarzają się tego rodzaju przypadki. Nazywa się to „reakcją katastroficzną”.

- Zgadza się. Normalni ludzie reagują czasem podobnie w obliczu rzeczywistej katastrofy - zauważył Russell.

- Już prawie byłam pewna, że u mojego ojca to nie wystąpi. Tak się szybko wszystko posuwa... Zbyt szybko.

Russell martwił się o nią. Sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej - co było w końcu zrozumiałe - ale co gorsza, mówiła tonem osoby kompletnie zrezygnowanej, czego nigdy przedtem u niej nie słyszał.

- Co mam z tym zrobić? - spytał, wskazując na rozbitą lampkę, gdy zeszedli już po schodach na parter.

- Wyrzucić do pojemnika na śmieci. Tego za domem.

W poniedziałek kupię coś nietłukącego.

- Dobrze, tylko potem chciałem jeszcze z tobą porozmawiać.

Wyrzuciwszy lampkę do śmieci, udał się do salonu. Tina siedziała skulona na sofie i wyglądała na skrajnie przygnębioną. Podniosła na niego wzrok, gdy tylko wszedł do pokoju, i z wyrazu jego twarzy wyczytała natychmiast, o czym chciał z nią mówić.

- Tylko, proszę cię, nie zaczynaj znowu z tą przeprowadzką do Amarillo - uprzedziła.

Russell wiedział, że tego, co uważał za stosowne jej powiedzieć, nie da się sformułować delikatnie.

- A jak myślisz, jak to by się skończyło, gdybyś była tu dzisiaj zTimem sama?-zaczął.

- Nie wiem - odparła, wzruszając ramionami. - Rzeczywiście, ty sobie z tym świetnie poradziłeś. Ja natomiast zapomniałam wszystko, czego mnie na ten temat uczono. Po prostu wpadłam w panikę.

- Rozumiem. W końcu dotyczyło to twojego ojca. Ale uświadom sobie tylko jedno. Ty już sobie z nim po prostu sama nie poradzisz. Wygląda na chuchro, ale gdy się rozwszczę, to, jak widać, potrafi nieźle kogoś walnąć. Gdyby ciebie uderzył tak jak mnie, to by cię prawdopodobnie znokautował. Po prostu nie wstałabyś o własnych siłach. Gdyby mnie tam nie było... - Russell wzruszył ramionami, starając się pokroić wyobraźnię.- Przecież wiesz, że mógłby cię zranić. I sam też mógł się poranić. Był całkowicie niepoczytalny.

- No dobrze. Chcesz...-Rozłożyła bezradnie ręce. Żałowała, że sama nie może pozwolić sobie na luksus, by nagle zrobić coś niepoczytalnego. Taka już była zmęczona tym wszystkim. - Chcesz, żebym przyznała, że się boję. Otóż tak, boję się. Jestem przerażona! - krzyknęła prawie i w chwilę potem po policzkach popłynęły jej łzy.

Russell natychmiast przysiadł się do niej i objął ją ramieniem.

- No przecież to zrozumiałe. Jak mogłabyś się nie bać w takiej sytuacji. Wiem, że nie chcesz tego ode mnie usłyszeć, ale...

- Przestań, proszę!

- I mnie też jest cholernie głupio, że to akurat ja muszę ci powiedzieć, ale...

- Nie chcę słyszeć ani słowa o żadnej przeprowadźce!
- To już nie chodzi o przeprowadzkę - powiedział Russell najdelikatniej, jak potrafił. - Sprawy zaszły za daleko. Musisz umieścić Tima tam, gdzie będzie miał zapewnione bezpieczeństwo i opiekę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czas po temu najwyższy. Sama już nie dasz sobie rady.

- A może my po prostu niepotrzebnie dramatyzujemy? W końcu to był tylko jeden incydent... - W głosie Tyny zabrzmiała odrobina nadziei.

- A gdy zdarzy się następny?

Tina patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem, wyraźnie pogrążona we własnych myślach. Russell czekał spokojnie, aż mu odpowie. Gdy odwróciła się ku niemu, powiedziała coś, czego nie spodziewał się usłyszeć.

- Czy opowiadałam ci kiedyś, jaki był główny powód, dla którego Websterowie zdecydowali się tu osiedlić?

- A co to, do licha, ma do rzeczy? - burknął.

- Moi pra-pradziadkowie przybyli z Alabamy - zaczęła spokojnie, jakby nie słysząc, co powiedział. - W czasie wojny secesyjnej stracili niemal wszystko, postanowili więc wyruszyć do Oregonu, aby zacząć tam nowe życie. Planowali, oszczędzali, marzyli o tym przez kilka lat. Tak jak ty o tej swojej Kalifornii. W końcu ruszyli w drogę, ale gdy dojechali do tego miejsca, umarło ich najmłodsze dziecko. Nie mogli pogodzić się z myślą, że pojedą dalej i zostawią tu ten samotny grób. Wyprzęgli więc konie i rozładowali wóz. Wkrótce zbudowali sobie opodal tego grobu dom. W tamtych czasach musiało to być jedno z najbardziej odludnych miejsc na świecie.

Russell, nie kryjąc znużenia, tarł oczy.

- Dziękuję ci, Tino, za tę wzruszającą historię, ale nadal nie rozumiem, co ona ma do rzeczy?

- Chodzi o rodzinę - odpowiedziała najprościej, jak potrafiła. - Dla Websterów rodzina zawsze bardzo wiele znaczyła. Crawfordowie, ci ze strony matki, są pod tym względem zupełnie inni. Każdy z nich chodzi własnymi drogami, rzadko się nawzajem odwiedzają. Nie to co Websterowie, dla których rodzina zawsze jest najważniejsza. I chyba to właśnie po nich odziedziczyłam. Nie mogłabym znieść myśli, że tatuś mieszka wśród obcych ludzi, którzy nic o nim nie wiedzą i których nic on właściwie nie obchodzi.

- Ale przecież... Tim prawie nigdy nie wie, kim ty jesteś.

- Może i nie wie... Ale ja za to wiem, kim on dla mnie jest. Russell westchnął ciężko. Wiedział, że jest to decyzja

okropna, ale jedyna, jaką Tina może podjąć. Serdecznie przytulił ją od swojego boku i oparł jej głowę o swe ramię. Mijały długie minuty, a oni siedzieli tak milcząc, przytuleni do siebie. Tina poczuła wilgoć pod bluzką. Zorientowała się, że łzy, cały czas kapiące z jej oczu, przesiąkły przez tkaninę. A on żałował, że nie potrafi płakać. Łzy byłyby lepsze niż ten duszący węzeł, który czuł w gardle. Zupełnie jakby utknęła mu tam piłeczka do ping-ponga.

O Boże! Trudno mu było uwierzyć, że jeszcze parę tygodni temu nie znał Websterów. I w ciągu krótkiego czasu tak się uwikłał w ich życie, że nie mógł się teraz z tego wyplątać. Wciągnęli go w największe chyba emocjonalne perypetie jego życia.

Musi się upewnić, że Tim jest bezpieczny i na tyle szczęśliwy, na ile jest to możliwe w przypadku kogoś, kto jest dotknięty taką dolegliwością. Musi także być pewny, że Tina będzie bezpieczna. Koniec, kropka.

- Ale przyznasz chyba, że wcześniej czy później będziesz musiała to zrobić? - Znowu zaczął od pytania.

- No... tak.

- A będzie to łatwiejsze... powiedzmy, za jakieś sześć miesięcy?

- Chyba nie.

- Powinnaś więc dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, na temat okolicznych zakładów. Musisz wiedzieć, co jest do twojej dyspozycji i ile to będzie kosztować.

- Tego się dowiem. Na pewno. Obiecuję.

Russell zastanawiał się chwilę. Jeśli wyjedzie i nikt jej nie przypilnuje, to czy na pewno to zrobi? Bardzo wątpliwe - zdecydował.

- Myślę, że to jest pierwsza rzecz, jaką musimy zrobić w poniedziałek.

Szarpnęła się do tyłu i spojrzała na niego z niemyim pytaniem w oczach.

- My? W poniedziałek? - wyjąkała.

- No właśnie. Słuchaj, nie mam zamiaru się stąd ruszyć, dopóki się nie dowiem, w jakim miejscu on wylądował.

- Ale... ale Kalifornia...

- Zdążę do niej dojechać. Muszę wiedzieć, co z nim będzie. Dzisiejszy wieczór przekonał mnie, że nie mogę wyjechać i zostawić ci tego wszystkiego na głowie.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że być może będę zmuszona umieścić go na liście oczekujących? - spytała Tina.

- Owszem, wziąłem to pod uwagę.

- I mimo to decydujesz się zostać?

- Tak.

Tina nie zdobyła się nawet na pozorny protest. Czuła

wyłącznie przyływ ulgi i ogromną wdzięczność. Przecież to wyszło od niego; ona go o nic nie prosiła. W żaden sposób mu nie sugerowała, jak bardzo jej zależało, by został. Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo.

- Russell? Obiecay mi coś.
- Jeżeli tylko będę mógł.
- Jeśli okaże się, że to jest długie oczekiwanie i jeśli... jeśli zaczniesz się niepokoić i będziesz chciał wyjechać, to powiesz mi o tym, dobrze? Ja to naprawdę zrozumiam.

- Nietrudno mi to obiecać. Nie należę do tych, którzy cierpią w skrytości.

Dzień, który minął, był trudny, pełen napięć, a wieczór wręcz przerażający. Mimo to jednak życie nie malowało się już w tak ciemnych barwach. Tina czuła się jak skazaniec, któremu doręczono odroczenie egzekucji. Odprężyla się i natychmiast poczuła ogromne zmęczenie.

- Strasznie jestem padnięta - wyznała.
- Wyglądasz na zmęczoną. Wskakuj zaraz do łóżka. Pamiętaj, co ci mówiłem: nie będziesz mogła opiekować się Timem, jeśli nie zadbasz o siebie.

Ociężale skinęła głową i wstała.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować.

Russell wstał także.

- Nie musisz mi dziękować. Robię to, na czym mi zależy.
- Ty naprawdę lubisz tatusia, prawda?

Schylił się i delikatnie musnął wargami jej policzek.

- Owszem. Ale nie tylko jego. Myślę, że doskonale o tym wiesz.

Jakie to dziwne - pomyślała Tina. Przecież nawet dobrze nie знаła tego człowieka. A jednak odnalazła w nim wszy-

stko, za czym tęskniła w ciągu tych ostatnich dwóch lat: urok osobisty, delikatność, siłę, opiekuńczość.

- Dobranoc, Russell!

- Dobranoc, Tino! Pośpij sobie jutro dłużej, jeśli będziesz miała na to ochotę. Będę tutaj.

„Będę tutaj”. Te dwa słowa wydały się Tinie równie cenne, jak dwa inne, najwspanialsze na świecie. Te, które brzmią: „Kocham cię”.

RS

RS

10

W nocy z soboty na niedzielę Tina spała bardzo długo. Kiedy się w pełni obudziła, Russell był już mniej więcej w połowie porannego rytuału ubierania Tima. Narzuciła na siebie szlafrok i wyslizgnęła się na korytarz, by posłuchać, co się dzieje u ojca. Drzwi jego sypialni były uchylone, Tim siedział na łóżku, a Russell stał przed nim zwrócony do niej tyłem. Wystarczyło usłyszeć zaledwie kilka zdań, by zorientować się, że znowu nie przebiega to gładko.

- Ktoś ukradł moje ubranie - upierał się Tim.
- Dlaczego tak sądzisz, kolego? - pytał Russell.

- Nie widzisz, że to, co tu leży, nie jest moje? Zabrał mi ubranie i podrzucił jakieś łachy.

Tina spostrzegła, jak Russell udaje, iż z całą powagą ogląda ze wszystkich stron koszulę Tima.

- No dobra. Może i rzeczywiście... Będziemy to musieli wyjaśnić. Ale na szczęście ta koszula ma taki sam rozmiar jak twoja. Dopóki nie znajdziemy twojego ubrania, musimy skorzystać z tego, co mamy. Proszę; włóż to na siebie.

Tim odmówił współpracy, ale mimo to Russellowi udało się go jakoś ubrać. Ojciec myślał już widać o czymś innym, gdyż w pewnym momencie spytał:

- Jaki dziś mamy dzień?

- Dziś jest niedziela.

- To dlaczego nie jesteśmy jeszcze w kościele?

- Nie wiem. Chcesz, żebym spytał o to Tinę?

- Kogo?

- Chcesz, żebym spytał tę panią, która stoi na korytarzu i przygląda się nam, dlaczego nie jesteśmy w kościele?

- No chyba trzeba się o to dowiedzieć. Zawsze jeździliśmy do kościoła.

Tina umknęła do pokoju, aby się ubrać. Obawiała się, że Russell nie poradzi sobie sam z Timem podczas śniadania. W tej chorobie niczego nie dało się jednak przewidzieć: ojciec przy stole siedział spokojnie i przez cały czas posiłku był łagodny jak baranek. Potem Jake zaprowadził go do salonu i czytał mu niedzielne komiksy. Tim śmiał się zawsze nie tam, gdzie należało, ale cóż to miało za znaczenie? Sprawiał wrażenie zadowolonego.

Russell wykorzystał okazję, by spytać Tinę o kościół.

- Dlaczego już go nie zabierasz na nabożeństwo?

- No... bo zaczął śpiewać psalmy w zupełnie nieodpo-

wiednich momentach. W zasadzie od początku do końca mszy. Możesz sobie wyobrazić te chichoty i wytykanie palcami? Nie chodzi o to, że dla mnie jest to krępujące, na to bym machnęła ręką. Po prostu nie chcę, żeby ludzie robili sobie z niego pośmiewisko. A tak właśnie się zachowywali, choć sami się powinni tego wstydzić. Tatuś rzeczywiście lubił chodzić do kościoła, ale musieliśmy z tego zrezygnować. Za aprobatą pastora - dodała z dwuznacznym uśmiechem.

- Nabożeństwo... Hm - mruknął Russell.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym obrócił się na pięcie i poszedł do salonu, gdzie Jake kończył właśnie czytanie komiksów.

- Wybrałbyś się do kościoła, kolego? - spytał Tima.

- Tak, tak - zapalił się tamten.

Russell włączył telewizor i tak długo wybierał kanały, aż znalazł transmisję jakiejś mszy. No i oczywiście Tim śpiewał prawie przez cały czas te swoje psalmy i dosiedział do końca, nie odrywając wzroku od ekranu.

Taka prosta rzecz, a ja na to nie wpadłam - pomyślała Tina. Russell budził w niej coraz większy podziw i coraz bardziej ją fascynował.

Żałowała teraz, że nie pomyślała w przeszłości również o innych rzeczach. Nie była, na przykład, na tyle przewidująca, by zacząć prowadzić dziennik lub robić systematyczne zapiski - i to począwszy od dnia, w którym dowiedziała się, czym naprawdę jest choroba jej ojca. Może w ten sposób mogłaby odkryć jakieś prawidłowości, zorientować się, co wywołuje u niego napady rozgoryczenia czy złości?

Weźmy choćby ten wczorajszy incydent. Bezpośrednim jego powodem było bezsprzecznie postawione nie na miejscu krzesło, ale jakie były przyczyny innych jego wybuchów?

I dlaczego niedziela była zwykle dla Tima najlepszym dniem?

Czy dlatego, że wszyscy inni domownicy - Russell, Ruby i Jake - nie opuszczali domu i znajdowali się blisko niego?

Może rzeczywiście jej ojciec potrzebuje pójść, czy też, jak sam mawia, „wrócić tam, gdzie są wszyscy” - zastanawiała się. Może naprawdę potrzebuje większej liczby ludzi wokół siebie. W tym domu nie ma prawie żadnych zajęć ani rozrywek, natomiast w domu opieki od rana do wieczora coś się wokół niego będzie działo. Może w takich warunkach czuje się szczęśliwszy?

A może to tylko szukanie racjonalnego uzasadnienia przed podjęciem ostatecznej decyzji?

Ruby oczywiście o mało nie pękła z ciekawości, dlaczego Russell w ostatniej chwili zmienił plany i nie wyjechał. Choć, jak twierdziła, specjaliści ją to nie zdziwiło. Mówiła przecież, że znowu sobie coś nowego wymyśli, byle tylko pozostać. Rozpląkała się jednak, gdy Tina opowiedziała o tym, co zdarzyło się w nocy i zwierzyła się, że postanowiła, przynajmniej wstępnie, rozejrzeć się za jakimś domem opieki. Ruby najlepiej zdawała sobie sprawę z tego, jak bolesna była to dla Tiny decyzja.

- A jak myślisz, co zrobisz gdy... gdy to już się stanie?
- spytała.

- Będziemy musieli się nad tym wspólnie zastanowić
- odpowiedziała Tina. - Może trzeba będzie... sprzedać to ranczo. Russell uważa, że tak powinnam zrobić... I ma swoje racje. Dodatkowej pomocy wynająć tu nie sposób, a ja czuję się coraz bardziej nie w porządku, zgadzając się na to, by Jake sam tak ciężko pracował. Nie mogę sobie pozwolić, by powodowały mną wyłącznie sentymenty, tylko dlatego, że moi pra-pradziadkowie zapuścili tutaj korzenie.

Ruby odwróciła się i pochyliła nad zlewem.

- Pamiętasz, Tino, że w ten właśnie piątek Connie spodziewa się wizyty tej pani z agencji?

- Tak, oczywiście.

- Już w zasadzie zdecydowałam się zrezygnować z wyjazdu do niej, ale skoro Russell zostaje...

- Ależ jedź! Oczywiście. I pamiętaj, Ruby: nie pozwól, aby cokolwiek, co dzieje się w tym domu, miało cię oddalić od córki. Zdaje się, że... rodzina jest czymś, o czym coraz częściej ostatnio myślę.

Wieczorem po kolacji, podczas gdy Tim pozostawał pod opieką Ruby i Jake'a, Russell i Tina, siedząc na ganku, delektowali się kawą. Tiną owładnęło dziwne, nie znane jej uczucie absolutnego odprężenia. Zdawała sobie sprawę, że zawdzięcza to Russellowi. Dzień, który właśnie minął, nie różnił się w zasadzie od innych niedziel i wydawać się mogło, że powinna być raczej zmartwiona i niechętna temu, co czekało ją jutro. Perspektywa poszukiwania domu opieki, w którym miałyby umieścić swego ojca, zawsze jawiła jej się jako coś przerażającego. Tak było od momentu, gdy lekarz określił mianem konkretnej choroby niezrozumiałe dla niej zmiany w jego zachowaniu. Któż więc może przewidzieć, jak będzie się czuła jutro, oglądając kolejne zakłady tego rodzaju? Niewykluczone, że skończy się to depresją. A jednak tego wieczoru była dziwnie spokojna.

- Russell? Czy czujesz się czasem zadowolony i szczęśliwy, mimo iż nie masz w zasadzie żadnego konkretnego powodu do radości?

Spojrzał na nią. Na jego twarzy czaił się uśmiech. Przez cały wieczór była w doskonałym nastroju, co zdążył zauwa-

żyć jeszcze w czasie kolacji. Miała jasne spojrzenie, jakby w jej oczach zapalały się migoczące iskierki, których przedtem nigdy tam nie było- Wywoływało to w nim poczucie męskiej dumy- żywił bowiem nadzieję, że stało się to za jego przyczyną lub przynajmniej przy jego współdziałaniu.

- A tak właśnie się teraz czujesz? - spytał.

- Uhm. Zastanawiam, się, czy wszystko ze mną w porządku.

- Daj spokój! Kiedy człowiek czuje się szczęśliwy, powinien się z tego po prostu cieszyć, a nie analizować.

- Masz rację. - Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Russell przyglądał się jej, myśląc, jak miło jest na nią patrzeć, gdy sprawia wrażenie szczęśliwej. Jakaż ona musiała być cudowna przed kilkoma laty, gdy nie miała jeszcze tych wszystkich zmartwień! Przez cały dzień zastanawiał się, co też mogłoby się zdarzyć, gdyby dane im było spotkać się w innym miejscu, w innych okolicznościach. Na pewno już dawno byliby kochankami.

Nie po raz pierwszy myślał o tym, by kochać się z Tiną, ale były to tylko marzenia. Ich związek polegał raczej na budowaniu wzajemnego zrozumienia. Taka sytuacja zupełnie nie sprzyjała romansowi. Od czasu gdy po raz pierwszy pocałował ją na ganku, bez przerwy powtarzał sobie, że związek z mężczyzną jest ostatnią rzeczą, jaka potrzebna jest Tinie w tak trudnym okresie jej życia.

Ale tak było wtedy; teraz jest inaczej. Okazało się, że pozostanie tu dłużej - trudno powiedzieć, jak długo - może to potrwać kilka tygodni albo miesięcy. Kto wie? Zważywszy, że rychła perspektywa jego odjazdu przestała zaprzętać myśli ich obojga... Zważywszy, że mają przed sobą tak dużo czasu...

Wiele się może między nimi zdarzyć. Myśl ta wydała mu się

niewiarygodnie ekscytująca. Zaczął wpatrywać się w Tinę jeszcze bardziej intensywnie.

Nie zdawała sobie z tego sprawy. Jej twarz wyglądała tak, jakby rozdzieliły ich nagle tysiące mil, jakby powędrowała szlakiem swych myśli daleko, znacznie dalej, niż życzyłyby sobie Russell. Dopiero gdy unióśł do góry jej podbródek i uśmiechnął się do niej, powróciła do rzeczywistości.

- O czym myślisz? - spytał.

Kąciki jej ust uniosły się. Uśmiechnęła się tak uroczo, jak nigdy dotąd.

- Myślałam... o tym, jak bardzo bym pragnęła, żeby ta właśnie chwila... to, co się w tym momencie ze mną dzieje, mogło trwać wiecznie.

- Dobre by to było, prawda?

Jeszcze przez moment wpatrywał się w jej twarz, po czym nachylił się, by ją pocałować. Tym razem nie czekała, biernie zgadzając się na pocałunek. Ich usta spotkały się w pół drogi. Objęła go ramionami, dłonie splotła mu na karku. Przyciągnął ją do siebie. Ich biodra i uda zetknęły się. Nie przerywając pocałunku, oboje znaleźli taką pozycję, w której ich ciała dopasowały się do siebie, jakby zostały specjalnie do tego stworzone.

Gdyby ktokolwiek powiedział Russellowi, że pocałunek może nim tak wstrząsnąć, to po prostu by mu nie uwierzył. W dodatku całowali się już kiedyś. I za każdym razem było inaczej. Teraz również.

Oderwał się na chwilę, by na nią spojrzeć. Wyraz zachwytu, który zobaczył na jej twarzy, sprawił mu największą radość, jakiej kiedykolwiek w życiu doświadczył. Serce biło mu tak mocno, że chyba musiała to słyszeć. Po raz pierwszy zdarzyło mu się pragnąć kobiety, a nie tylko jej pożądać. I to

pragnienie nie było czymś, co bolało czy domagało się natychmiastowego spełnienia. Czuł, że samo w sobie jest radosne. To była zaczarowana chwila. Czy nie za wcześnie zrobić to już dziś? Wiele było takich nocy, kiedy leżał rozbudzony w swym pokoju i myślał, że ona leży tuż obok, za ścianą, tak samo samotna jak on. Gdy Tim już usnął, a Jake i Ruby zamykali się w swej sypialni na parterze obok biura, zdawało się, że Tina i on są sami w pustym domu. Zastanawiał się, czy i ją czasem nawiedzały podobne myśli.

- Tino! Jak ja...
- Russell! Jak ja...

Przerwali oboje w pół zdania i uśmiechnęli się do siebie. Dłonie Tyny oderwały się od jego karku, spłynęły wzdłuż ramion i splotły się ponownie. Objęła go w pasie. Przytulił jej policzek do swej piersi i usłyszał, jak wydała z siebie dźwięk wyrażający skrajne zadowolenie, podobny do pomruku kota. To wystarczyło, by trzymał ją tak przytuloną przez następną minutę, nie myśląc o niczym i niczego więcej nie pragnąc.

Nagle, z tyłu za nimi, szcęknęła ostro klamka. Oderwali się od siebie i odwrócili gwałtownie. W drzwiach stał Jake i uśmiechał się zażenowany.

- Przepraszam was bardzo, ale... Tino, dzwoni do ciebie jakiś facet, co się nazywa Hollis Reed. Mówi, że ma ci coś do przekazania.
- Ach, tak! On należy do naszej grupy wsparcia. Telefnowałam dziś do niego, ale go nie zastałam.
- Mam mu powiedzieć, że jesteś zajęta?
- Nie, nie. Zaraz przyjdę. Do niego trudno jest się dozwonić. - Spojrzała ukradkiem na Russella, zastanawiając się, czy w tym samym stopniu co ona żałuje, że im przerwano.

- Muszę się z nim skontaktować przed poniedziałkiem. Zaczynam wracam.

Tina pośpiesznie podążyła za Jakiem. Woliała odebrać telefon w biurze, gdzie łatwiej jej było robić notatki.

- Dobry wieczór, Hollis! Dziękuję, że oddzwoniłeś.

- Drobiazg. W czym mogę ci pomóc?

- Wiesz, zdecydowałam się już w zasadzie, by zacząć się rozglądać za jakimś zakładem opieki długoterminowej dla ojca.

- Przykro mi. To niełatwa decyzja. Wiem o tym.

- A co z Mildred? Wszystko w porządku?

- Nie gorzej niż zwykle. Dziękuję.

Tina otworzyła środkową szufladę biurka i wyjęła z niej kartkę papieru.

- Wynotowałam sobie z książki telefonicznej całą listę zakładów.

Przeczytała ją Hollisowi, a ten od razu poradził jej, żeby trzech z nich absolutnie nie brała pod uwagę.

- Reszta jest w porządku. Są oczywiście wśród nich lepsze i gorsze - dodał. - Ja nie jestem na sto procent zadowolony z miejsca, w którym umieściłem Mildred, ale było ono najlepsze, na jakie mnie stać. To strasznie dużo kosztuje, Tino.

- Spodziewałam się tego. Razem z moim przyjacielem zrobimy jutro objazd wszystkich tych miejsc. Powiedz mi tylko, proszę, na co należy przede wszystkim zwracać uwagę.

Hollis zaczął od rzeczy oczywistych, takich jak schludność, standard wyposażenia, życzliwość personelu, plan dnia zachęcający pensjonariuszy do maksimum aktywności. Potem jednak opowiedział o swych doświadczeniach z poszukiwań domu opieki dla Mildred, zwracając uwagę na rzeczy, które się wcale nie narzucały.

- Jeśli znajdziesz gdzieś gromadę starszuchów siedzących w ciągu dnia w pidżamach i szlafrokach, to zorientuj się, dlaczego tak się dzieje. Gdy personel niechętnie wpuszcza odwiedzających w czasie posiłków, to sprawa jest podejrzana. Jedzenie jest albo zupełnie podłe, albo przynajmniej byle jakie. Następna sprawa... trudniejsza do opisanego... Rozumiem, że chodzi ci o miejsce, w którym personel traktuje podopiecznych z... jakby tu powiedzieć... no... z szacunkiem. To jest właściwe słowo. Gdy więc usłyszysz, że pielęgniarki czy sallowe posługują się takim zdrobniałym bełkocikiem, jakim ludzie starej daty zwracają się do dzieci, to lepiej poszukaj innego miejsca. Uwważaj także, żeby nie było tam szpitalnej atmosfery.

Tina wszystko skrzętnie zanotowała, podziękowała wyklewnie Hollisowi i odwiesiła słuchawkę. O tylu rzeczach należało pamiętać. Oby tylko potrafiła dokonać właściwego wyboru! Przypomniała sobie nagle, że Russell cały czas na nią czeka i pośpieszyła z powrotem na ganek.

Spojrzał na nią, gdy ukazała się w drzwiach, i w jednej chwili całe jego uniesienie się rozwiało. Tej nocy nie będzie żadnego romansu. Nie wiedział, czego dotyczyła rozmowa telefoniczna, ale na jej twarzy ponownie pojawiło się napięcie. Również pochylenie ramion, gdy usiadła obok niego, dało sygnał, że czarowne chwile się skończyły.

Nic nie szkodzi - pomyślał, biorąc ją za rękę. Jeśli już raz się to zdarzyło, to zdarzy się znowu.

Następnego dnia po południu Tina była rozczarowana zniechęcona i bliska płaczu. Od dziesiątej rano odwiedzał z Russellem kolejne domy opieki. Zwiedzili ich chyba sześć tak że miała okazję zobaczyć na własne oczy to wszystko przed czym przestrzegał Hóllis, a także kilka innych nieprzy

jemnych rzeczy, o których nie wspomniał. Nie była to kwestia jej przewrażliwienia. W każdym przypadku opinia Russella była taka sama. Właściwie to nawet on bardziej skłonny był przyczepiać się do jakichś drobiazgów.

Z jej listy pozostał do obejrzenia jeszcze tylko jeden zakład, ale Tina nie miała ochoty już tam jechać. Russell okazał się bardziej nieustępliwy.

- Nie zostawiamy niczego na potem. A poza tym nazwa tego domu mi się podoba. „Fairhope”. Bardzo ładne. Przypomina Przylądek Dobrej Nadziei.

Dwór Fairhope zlokalizowany był nie w samym Amarillo, lecz w małej miejscowości na południe od miasta, dość daleko od rancza Websterów. Właściwie odległość nie miała dla Tiny jakiegoś zasadniczego znaczenia. Wątpiła jednak, czy w małej mieścinie trafi na coś, czego nie udało jej się znaleźć w większym mieście.

I rzeczywiście, pierwsze wrażenie okazało się niezbyt zachęcające. Teren zakładu był co prawda pięknie utrzymany i przypominał dobrze prowadzony park, natomiast sam budynek nie prezentował się zbyt okazale. A już dworkiem na pewno nigdy nie był. Raczej motelem.

Gdy razem z Russellem przekroczyli próg, dosłownie zaniemówiła ze zdumienia. Dawny hol motelu został przerobiony na urocze pomieszczenie recepcyjne. Meble i wystrój wnętrza utrzymane były w jasnych, pogodnych kolorach. Wielkie okna wychodziły na przyległe podwórkę, a raczej fragment ogrodu, tonący w kwiatkach i zieleni. Słychać było nawet muzykę i śmiech.

- Tu jest ślicznie - powiedziała szeptem Tina.

- Rzeczywiście - zgodził się Russell. - W niczym nie przypomina to przytulku.

Przywitała ich miła, czterdziestoletnia kobieta o ujmującym sposobie bycia. Przedstawiła się jako Edna Lowell.

- Ja i mój mąż Collin jesteśmy właścicielami Fairhope i we dwoje prowadzimy ten ośrodek. Collin jest psychologiem ze specjalizacją z gerontologii, a ponieważ mieszkamy na miejscu, stale pełni tu swe obowiązki. Proszę bardzo, oprowadzę was po ośrodku.

Wystarczyło pół godziny, by Tina uwierzyła, że tym razem szczęście uśmiechnęło się do niej. Wszystko było tu takie, jak to sobie wymarzyła - szerokie korytarze, przestronne pokoje, radosne kolory, uśmiechnięte twarze. W jadalni pachniało jak w domowej kuchni. Na ściennej gazetce wisiał program zajęć tygodniowych, w sumie około dwunastu pozycji. Było wśród nich majsterkowanie, robótki ręczne, zajęcia plastyczne, duszpasterstwo, wspólne śpiewy. Wiedziała oczywiście, że za zamkniętymi drzwiami muszą przebywać bardzo chorzy ludzie, ale ci, których widziała w pomieszczeniach ogólnych, byli czymś zajęci i nie wyglądali na nieszczęśliwych. Odniosła wrażenie, że wszędzie panuje spokojna, przyjemna atmosfera.

Ale tym, co ją najbardziej zaskoczyło, była obecność dzieci. Zauważyła ich troje, przy czym jedno z nich miało nie więcej niż cztery, może pięć lat.

- To nasze dzieciaki - wyjaśniła Edna. - Pozwalamy im chodzić po całym domu. Może się to wam wydać dziwne, ale wielu naszych pensjonariuszy bardzo dobrze się z nimi komunikuje. Oczywiście nie wszyscy, ale dzieci są sprytnie: Igną do tych, którzy je lubią i unikają tych, którzy za nimi nie przepadają. A właśnie! Może chcielibyście zjeść z nami kolację? Pierwsza tura siada do stołu o szóstej.

Tina i Russell wymienili aprobujące spojrzenia.

- Raczej powinniśmy już wracać - wymówiła się Tina.
- Ale naprawdę bardzo dziękujemy za zaproszenie.

Po skończonym obchodzie Edna zaprosiła ich do swego biura.

- Proszę opowiedzieć mi teraz możliwie dokładnie o ojcu. Musimy się zorientować, jakiego rodzaju opieki wymaga.

Tina uporała się z tym i wtedy przyszedł czas, by zadać to kłopotliwe pytanie.

- Wyobrażam sobie, że na liście oczekujących jest bardzo wiele osób - zaczęła.

- Owszem, prowadzimy taką listę, ale nie wszyscy nasi pensjonariusze są przyjmowani na pobyt stały. Wielu z nich znalazło się tu dlatego, że w tym akurat momencie wymagają bardziej intensywnej opieki niż ta, jaką można było im zapewnić w domu. W efekcie rotacja chorych jest większa, niż państwo przypuszczacie.

Co prawda koszty pobytu też okazały się większe, niż Tina przypuszczała, ale ośrodek był tego wart. Wiedziała, że po zapoznaniu się z nim inne miejsca, które poprzednio zwiedzili, były po prostu nie do zaakceptowania. Poprosiła Ednę, aby wpisała Timę na listę oczekujących. Było to najbardziej dramatyczne doświadczenie w jej życiu.

- Powiedz mi, proszę, czy postąpiłam słusznie? - zadreżczała Russella w drodze powrotnej do domu.

- Naprawdę słusznie - zapewniał ją. - To było jedyne rozsądne wyjście. Ale... ale czy na pewno będzie cię na to stać?

Bardzo mu było niezręcznie dopytywać się o jej sytuację finansową, ale zaniemówił niemal, usłyszawszy, że pobyt Ti-

ma w Fairhope ma kosztować przeszło dwa tysiące dolarów miesięcznie.

- Wydaje mi się, że tak. No bo pomyślmy... Właściwie wystarczą na to pieniądze tatusia. Własnych prawie nie mam. Przeprowadzając rozwód, nie zgłaszałam żadnych roszczeń alimentacyjnych, jako że nie mieliśmy dzieci, a od prawie dwóch lat nie byłam w stanie pracować zarobkowo. Wypłacam sobie jakąś symboliczną pensję za prowadzenie biura, a z gospodarowania na ranchu wychodzi się mniej więcej na zero. Tatusi żyje z odsetków od kapitału, jaki zainwestował poza rolnictwem, gdy miał swoje tłuste lata, i to w zasadzie powinno wystarczyć na opłacenie Fairhope. Może nawet troszkę zostanie.

- Tyle, by starczyło na twoje utrzymanie?

- Nie, tyle nie. Ale pamiętaj, że gdy tatusi się tu przeprowadzi, będę mogła podjąć jakąś pracę.

Jechali w milczeniu przez kilka minut. Tina, wyglądała przez okno. Poprzednio ona prowadziła, znała bowiem okolicę, ale teraz przy kierownicy zastąpił ją Russell. Nie chciał na siłę wciągać jej w rozmowę, ale jedną rzecz koniecznie musiał jej powiedzieć.

- Słuchaj, mam trochę forsy... I może.

- Nie, Russell! W żadnym wypadku.

- Ale mówię serio. Zaoszczędziłem kupę forsy przez te lata spędzone za kółkiem.

- Na Kalifornię?

- No to co? - Wzruszył ramionami. - Równie dobrze mogą być wydane na Tima, jeśli okaże się to potrzebne.

Tina pogłaskała go po ramieniu.

- Strasznie jesteś miły. I bardzo ci dziękuję, ale gdybym nawet potrzebowała pieniędzy, to mogłabym przecież zwrócić się z tym do Becci. - W tym momencie uświadomiła sobie,

że zapomniała odwiedzić matkę. - Słuchaj, przepraszam cię bardzo, ale chciałam jeszcze wpaść do mojej matki. Dosłownie na minutkę. To jest bardzo blisko stąd. Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

- W żadnym razie!

Russell przystał na to bez oporów. Po raz pierwszy od dość dawna miał na sobie marynarkę i krawat, a poza tym był ciekaw, jak wygląda pani Joan Webster. W tym, co mówiła o niej czasem Tina, zawsze wyczuwał dziwną mieszaninę podziwu i rozdrażnienia.

- Bo wiesz, akurat jest dobry moment, gdyż Becca wyjechała. Zwykle jeśli odwiedzę jedną, a nie wpadnę do drugiej, to wynikają z tego jakieś pretensje i problemy. W gruncie rzeczy jest to śmieszne, gdyż tak naprawdę nie sądzę, aby akurat czekały na mnie z utęsknieniem. Zatrzymajmy się na rogu. Zadzwońię do matki, by się upewnić, czy gdzieś nie wyszła.

Joan była w domu. Nawet się ucieszyła, że córka chce do niej wpaść razem z jakimś swoim znajomym.

Matka Tyny okazała się dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał Russell: elegancka, zadbana, przywiązująca dużą wagę do wyglądu zewnętrznego. Wszystko o tym świadczyło, począwszy od starannie ułożonego koczka do czubków pantofli z ekskluzywnego sklepu. Pod wieloma względami przypominała Beccę, ale na pewno nie Tinę.

Przywitała ich, poprowadziła w głąb mieszkania i przyrządziła drinki. Następnie zwróciła się do córki:

- Cóż takiego sprowadziło cię dziś do miasta, kochanie?

W miarę jak Tina opowiadała jej, co się kolejno zdarzyło, Joan robiła się coraz bledsza.

- Och, Tino! Czy naprawdę uważasz, że Tim jest w aż tak złym stanie?

Russellowi wydało się dziwne, a nawet oburzające, że ani Becca, ani matka nie zadały sobie trudu, aby dowiedzieć się czegoś bliższego o chorobie Alzheimera. Spojrzał na Tinę i lekko wzruszył ramionami.

- Przecież od miesiący próbuję ci wytłumaczyć, mamó, że tatuś popadł w starcze otępienie.

- Tino! Jak możesz nazywać to tak okropnie! - oburzyła się matka.

- Bo jest to właściwa nazwa na określenie jego stanu - odpowiedziała spokojnie Tina. - Innymi słowy: cierpi na demencję.

- No dobrze... Ale są chyba jakieś bardziej oględne określenia, których należałoby używać. Mówisz o nim w taki... brutalny sposób.

Tina zorientowała się, że doprowadziła matkę do skrajnego zdenerwowania. Obiecała sobie, że w przyszłości będzie bardziej ostrożna. Przyzwyczała się po prostu do dyskusowania na temat choroby ojca z Russellem, który zdążył się nauczyć o zespole Alzheimera tyle samo, co ona. Swobodnie używali więc słów, które miały ustalone znaczenie w medycynie i którymi posługiwali się profesjonaliści. Być może matce te same sformułowania mogły się wydać zbyt drastyczne. W swoim czasie żałowała, że Joan nie odwiedza Tima, ale teraz już jej to przeszło. Lepiej niech pamięta gotakim, jakim był kiedyś. Zdecydowała się więc zmienić temat.

- Masz jakieś wiadomości od Becci?

Joan błyskawicznie się rozchmurzyła.

- Ach, tak! Telefonowała do mnie i mówiła, że mają wspaniały urlop.

Rozmowa ograniczyła się do banalnych spraw, a Tina starała się nie przeciągać wizyty. Widziała wyraźnie, że Russell

wywarł na matce bardzo korzystne wrażenie. Sama nawet się zdumiała, że potrafi być taki gładki w obejściu i zaprezentować się jak urodzony mieszczuch. W garniturze wyglądał nadzwyczaj przystojnie, choć zaklinał się, że nie znosi tego stroju i używa go tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie nieodzowne. Z wyrazu twarzy matki można było wyczytać pełne zadowolenie z tego, że jej córka znalazła sobie „odpowiedniego kawalera” w jej wieku.

Gdy zęgnęła się, odprowadziwszy ich do przedpokoju, wyciągnęła dłoń do Russella i rzekła:

- Cieszę się, że pana poznałam, panie Russell. Bardzo proszę mnie jeszcze odwiedzić.

- Dziękuję pani. Ja też się cieszę, że miałem okazję panią poznać. Tina tak wiele mi o pani opowiadała.

- Przypomniałam sobie, że nie zapytałam, jakiego rodzaju zawód pan wykonuje?

- Do niedawna pracowałem za kółkiem.

- Przepraszam, co takiego? - Joan zmarszczyła brwi.

- Prowadziłem po szosach osiemnastokółową krytą ciężarówkę.

Matka potrafi się jednak nieźle kontrolować - pomyślała Tina, widząc, że udało się jej zachować niemal kamienną twarz.

Minęło trochę czasu, zanim Russell zaparkował thunderbirda za furgonetką na zapleczu domu i zgasił silnik.

- Chciałabym, żebyśmy nie musieli tam wchodzić - odezwała się Tina.

W jej głosie zabrzmiała jakaś dziwna tęsknota.

- Ja też.

- Chciałabym, żebyśmy mogli ruszyć teraz i pojechać

przed siebie. Wszystko jedno gdzie. I wrócić wtedy, kiedy nam się spodoba.

- Ja też bym tego chciał.

- Ale cóż... - Tina wydała długie westchnienie. - Nie możemy.

- No tak. Niestety, nie możemy.

Tina przerzuciła przez ramię torebkę i ujęła za klamkę.

- Dziękuję ci-powiedziała raz jeszcze.

- Za co?

- Za... wszystko. Po prostu za to, że tu jesteś.

Zrozumiał. Jego obecność sprawiła, że zdobyła się na odwagę, by zrobić to, co wydawało się jej okropne. A zarazem nieodzowne. Był zadowolony, że do czegoś się jej przydał, a jednocześnie żałował, że tyle tylko mógł dla niej zrobić.

- Nie ma o czym mówić - mruknął i otworzył drzwi samochodu.

W kuchni zastali Ruby, która kończyła właśnie sprzątać po kolacji.

- Nie wiedziałam, czy mam czekać na was, czy nie.

- Bardzo dobrze, że nie czekałaś. Zaraz sobie coś odgrzejemy. Co z tatusiem?

- Nie najgorzej. Tyle że... zjadł niedużo. - Ruby wyraźnie wahała się przed zadaniem najważniejszego pytania.

- No i załatwiliście to w końcu?

Tina przytaknęła ruchem głowy. Ruby posmutniała i westchnęła.

- To naprawdę jest miłe miejsce - pośpiesznie wtrącił Russell. - Lepsze niż sam... niż oboje przypuszczaliśmy.

- Nie ma takiego czegoś jak miły przytu... - urwała w pół słowa. - Zakład, znaczy - poprawiła się.

Russell poszedł za Tiną do salonu, gdzie Tim i Jake oglą-

dali telewizję. Właściwie tylko Jake ją oglądał; Tim siedział w fotelu i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ścianę. Tina usiadła naprzeciw i patrząc ojcu prosto w oczy, powiedziała:

- Wiesz tatusiu, byliśmy dziś z Russellem we wspaniałym miejscu.

Tim popatrzył na nią bez wyrazu.

- Tak?

- Wiesz, mają tam ogromne okna i masę kwiatów. Wszędzie jest pełno ludzi i można robić najrozmaitsze rzeczy. Wyobraź sobie, że są tam nawet dzieci! - Przelknęła z trudnością ślinę. - Bardzo jest tam ładnie.

- To miło - odezwał się Tim. - Może któregoś dnia mnie tam zabierzesz.

Gdy Jake i Ruby, po obejrzeniu ostatniego wydania dziennika, położyli się wreszcie spać, Russell pogasił światła i sprawdził, czy zamknięte są frontowe drzwi. Tina udała się na górę mniej więcej przed dwudziestoma minutami, ogromnie przygnębiona. Wyglądała zupełnie jak zbity psiak. Sądził, że zdążyła już dawno usnąć, ale gdy dotarł na górny podest i zamykał bramkę zabezpieczającą schody, spostrzegł, że drzwi jej pokoju są otwarte, a w środku pali się światło. Wyglądała na tak zmęczoną, że mogła po prostu usnąć, zapomniawszy

RS

je zgasić. Upewniwszy się najpierw, że z Timem jest wszystko w porządku, zajrzał do jej pokoju.

Sypialnię oświetlała mała, stojąca na komodzie lampka. Wielkie, staromodne łóżko było posłane, ale Tiny w nim nie było. Stała przy oknie odwrócona tyłem i wpatrywała się w ciemność. Ręce miała skrzyżowane na piersiach, a głowę wspartą o nadokienny gzyms. Okryta była białym, długim szlafrokiem, związanym poniżej piersi i opadającym miękkimi fałdami ku jej stopom.

Jest śliczna - pomyślał Russell. Smutna, pełna melancholii, ale bardzo piękna. Zapukał dwukrotnie w otwarte drzwi.

Tina odwróciła się. Nie była zaskoczona, kiedy go ujrzała. Wręcz przeciwnie, czułaby się bardzo rozczarowana, gdyby poszedł prosto do swego pokoju. Specjalnie zostawiła uchylone drzwi i nie zgaszyła lampki, wiedząc, że wówczas sprawdzi, co się u niej dzieje.

Ze zdumieniem zauważyła, że nie jest już zdenerwowana ani niepewna; wiedziała jasno, do czego zmierza. Jako kobieta na pewno nie była typem wyrafinowanej uwodzicielki, ale to, co teraz zamierzała zrobić, było z góry zaplanowanym uwiedzeniem. Bez Russella czułaby się tej nocy rozpaczliwie samotna. Jake i Ruby naprawdę byli cudownymi ludźmi, nie oni jednak, lecz Russell dawał jej poczucie, że może dzielić swe najbardziej skryte problemy i troski z drugim człowiekiem. Dotąd zawsze gotowy był oferować jej pomoc, a ona skwapliwie z tego korzystała, czasem mając do siebie pretensje, że go wykorzystuje. A więc... niech tam! Tej nocy również zamierza go wykorzystać. Można to i tak nazwać.

Miała jednak pewne skrupuły. Znajdując się w tak nowej dla siebie sytuacji, nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować w roli uwodzicielki. Przede wszystkim nie była pewna, jak

zareaguje Russell, gdy się zorientuje, czego ona od niego oczekuje. Liczyła się z tym, że może jej odmówić. Oczywiście zrobi to bardzo taktownie i delikatnie, tak by - w tym momencie przynajmniej - nie miała poczucia, że ją odtrąca. Ale wszystko jedno. Musiała zaryzykować.

- Hej! - powiedziała go. - Wszyscy już poszli spać?

- Tak. Właśnie sprawdzałem, co z Timem. Śpi smacznie.

- Dziękuję ci. Masz nieograniczone zasoby cierpliwości do niego. A moje się czasami wyczerpują.

- Tobie jest trudniej. Po prostu dlatego, że pamiętasz go, gdy był mądry, silny i opiekował się tobą. A ja go znam tylko takim, jakim jest teraz. - Russell niepewnie wszedł do pokoju.

- Przynieść ci coś na sen?

- Nie, dziękuję. W końcu uda mi się zasnąć.

Zbliżył się do niej o krok, potem jeszcze jeden, cały czas uważnie jej się przyglądając. Gdyby na jej twarzy pojawił się choć cień dezaprobaty, natychmiast by się stamtąd wycofał. Ale ona zachowywała się tak, jakby jego obecność w sypialni była czymś najzupełniej normalnym.

- Co robisz? - spytał bez sensu.

- Myślę. Właściwie użalam się nad sobą. I nad ojcem...

I nad wszystkimi tymi ludźmi mieszkającymi w Fairhope.

Russell zatrzymał się kilka kroków przed nią.

- Przestań się tym zadreć, Tino. Zrobiłaś jedyną sensowną rzecz. Innego wyjścia nie miałaś. Tim będzie miał tam znacznie lepsze warunki niż gdziekolwiek indziej.

Teraz był już na tyle blisko niej, że pod ażurowym, misternym haftem szlafroka mógł widzieć delikatny zarys jej piersi. Na twarzy nie miała ani śladu makijażu i wyglądała świeżo, czysto i nadzwyczaj powabnie. Poczul, jak gwałtownie wzbiera w nim pożądanie.

- Wiesz, nad czym się właśnie zastanawiałam? - spytała.
- Nad czym?
- Że chyba nie chciałabym mieć nigdy dzieci.

Na Russella podziałało to jak kubek zimnej wody. A więc o tym myślała! Zapewne przez cały wieczór, pogrążona w zadumie i jakby nieobecna, robiła jakieś prywatne rozrachunki ze swym życiem.

- O Boże! Takie myślenie do niczego nie prowadzi.
- Poważnie tak sądzę, Russell. Może nie zrobiłam tego w porę. Nigdy nie będę już dwudziestotrzyletnią matką. A gdybym miała dziecko w wieku trzydziestu kilku lat, to z nim by skończyło czterdziestkę, byłabym już na tyle stara, aby stać się dla niego ciężarem. I nie jestem pewna, czy chciałabym, aby moje dziecko musiało zadrećcać się tym, co ma począć ze swą matką.

Russell natychmiast znalazł się przy niej i objął ją ramionami.

- Tino, Tino... Bardzo mnie martwisz. Naprawdę, daj sobie z tym spokój. Przestań się zadrećcać. Uwierz mi, to do niczego nie prowadzi. Sprowadza tylko wielki smutek.

Poczuł delikatne dłonie prześlizgujące się wzdłuż jego pleców. Objęła go w pasie i przyłgnęła do niego całym ciałem. Powtarzał sobie, że Tina z pewnością pragnie tylko, by ją przytulił. Prawie wszyscy chcą tego, gdy są smutni. Próbował jedynie trzymać ją w ramionach, poskramiając swe własne pragnienia, ale okazało się to niemożliwe. Głaskał ją po głowie i pozwalał dalej się przytulać, starając się w miarę możliwości trzymać na wodzy.

Minęły długie chwile, zanim Tina przerwała milczenie:

- Jak to cudownie móc się do ciebie przytulić.
- Miło mi to słyszeć - mruknął.

Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej.

- Jest mi z tobą dobrze i... czuję się tak bezpiecznie. Jesteś dla mnie jak... jak przystań w burzliwą pogodę.

Russell zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Był niezdolny do wyartykułowania choćby jednego słowa. Ucisk w gardle stawał się wprost nie do wytrzymania. Jediną realną rzeczą było przyciśnięcie do niego, delikatne ciało Tiny i to doznanie wypełniało całą jego świadomość, czyniąc racjonalne myślenie czymś niemożliwym.

- A wiesz, nad czym jeszcze się zastanawiałam? - spytała niskim, zdławionym szeptem.

- Nad... nad czym?

- Zastanawiałam się, czy chciałabym spędzić samotnie tę noc.

Russell poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Pociemniało mu w oczach.

- No i... co? Do jakiego wniosku doszłaś?

Tina odstąpiła od niego o krok. Spuściła wzrok, po czym podniosła go natychmiast i śmiało spojrzała mu w oczy.

- Nie chcę być sama. Proszę cię, zostań ze mną - powiedziała i wtuliła się w jego ramiona.

Dwie cieniutkie warstwy materiału... szlafrok, nocna koszulka... Tyle tylko dzieliło jego dłoń od jej nagiego ciała, promieniującego ciepłem i tak nieskończenie delikatnego, że sam nagle poczuł się jakby za duży, niezdarny. Pobudzenie doprowadziło go do punktu, w którym myślenie staje się niemożliwe. Kontrola nad sobą wydawała mu się czymś nieodzownym, sądził bowiem, że Tina poczyniła tę propozycję nie tyle powodowana namiętnością, co raczej nadzieją, że jego bliskość da jej poczucie bezpieczeństwa, pociechę i ukojenie. I mając na uwadze właśnie to, należało trzymać na wodzy

własne podniecenie, nakazać dłoniom, by nadal dotykały jej tak samo delikatnie. A nagrodą za to może być wielki, spontaniczny wybuch namiętności. Trzeba tylko umieć czekać.

- Tino!

Ujął w dłonie jej twarz i delikatnymi pocałunkami obsypał jej czoło, policzki, szyję. Dopiero po dłuższej chwili pocałował ją w usta. Wydało mu się, że poczuł drżenie jej warg. Nie był tego całkowicie pewien, ale potraktował to jako kolejną przestrożę. Pragnął całować ją dziko, zachłannie, ale nadal obawiał się, by nagle wszystkiego nie zepsuć. Sądził, że decydując się na zbliżenie z nim, miała nadzieję uzyskać coś innego niż tylko nie kontrolowany wybuch namiętności. Dlatego też starał się, aby pocałunek ten był długi, gorący, ale jednocześnie delikatny i słodki.

Ciałem Tyny wstrząsnął dreszcz, a kolana stały się nagle miękkie, jakby za chwilę miały całkiem odmówić jej posłuszeństwa. Russell poczuł, jak dziewczyna zaczyna się powoli osuwać. Błyskawicznie objął dłońmi jej pośladki, chroniąc ją od upadku.

- Zamknij drzwi - usłyszał jej stłumiony szept.

Kilkoma krokami przemierzył pokój, domknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Przez moment pomyślał, by zgasić również lampkę, ale zdecydował się tego nie robić, chyba że wyraźnie go o to poprosi. Gdy odwrócił się w stronę łóżka, spostrzegł, że Tina zdążyła zrzucić z siebie szlafrok. Koszulka - biała i skąpa - osłaniała ciało, które Russellowi wydało się ideałem piękności. Pełne, wysokie piersi, wąska talia, płaski brzuch, szczupłe, zgrabne nogi - zdążył to wszystko zauważyć, gdy klękła na łóżka i, rozchylając ramiona, przyzywała go do siebie. Zbliżał się do niej pomału, czując, jak stopy stają się ciężkie niczym ołów. Po drodze próbował niecierpliwie

pozbyć się koszuli, wyszarpnął ją ze spodni. Manipulował właśnie przy górnym zapięciu, gdy Tina odezwała się:

- Zostaw! Pozwól mi to zrobić.

Stanął obok łóżka z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami i pozwolił, by zgrabnymi palcami rozpięła mu guziki i zsunęła z ramion koszulę. Uporawszy się z tym, przytuliła policzek do kępy włosów na jego piersi.

Męskość jest czymś fascynującym - przemknęło jej przez głowę. Cudownie szerokie ramiona, przepiękne mięśnie, gładka, opalona skóra. Russell zdawał się nie ustępować urodą Adonisowi. Chciała jak najprędzej zobaczyć całą jego nagłość, poczuć go całego... Końcem języka drażniła płaski, brunatny sutek, a jej dłonie w tym samym czasie wędrowały niespokojnie po jego piersiach, ramionach i plecach.

Zacisnął zęby i trzymając się kurczowo poręczy łóżka, pozwolił jej pieścić się aż do momentu, gdy nie mógł już dłużej tego wytrzymać. Odstąpił o krok, szybko zrzucił z siebie resztę ubrania i po chwili znalazł się obok niej. Powolnym, płynnym ruchem ściągnął jej przez głowę koszulkę. Klęczeli teraz oboje na łóżku, zwróceniu ku sobie twarzami, nie szczedząc sobie wzajemnych pieścizot. Russell objął jej piersi i ważył je w dłoniach jak dwa owoce. Tina zamknęła oczy, a z ust wyrwało jej się westchnienie zbliżone do jęku.

Od czasu swego rozvodu, jeśli miał jakieś kontakty seksualne, to były one raczej przygodne i przypadkowe, angażujące jedynie ciało, nie psychikę - nie mówiąc już o sercu. Ale tym razem było inaczej. W to, co robił tej nocy, angażował każdy fragment swego jestestwa. Całował ją raz, drugi, trzeci, starając się robić to tak, by każdy pocałunek był odrobinę mocniejszy i odrobinę bardziej gwałtowny. Nie spieszył się, dotykał jej wszędzie tam, gdzie tego oczekiwała, dając jej

czas na delektowanie się każdą jego pieszczotą. Śledził bacznie jej twarz, poznawał i uczył się właściwie oceniać symptomy jej podniecenia: ciężące w dół powieki, rozchylone wargi, przyspieszony oddech. Prześliczne piersi, dotąd nieruchome, wyprężyły się i zdawały się same szukać jego dłoni. Nie miał już żadnych wątpliwości. Wystarczyło spojrzeć na jej twarz, by upewnić się, że jest skrajnie pobudzona, że chce go i potrzebuje już teraz. Zaczęła mimowolnie poruszać ciałem, próbując jakby wprowadzić je w ten odwieczny, wszechogarniający rytm. Nie mogła już wytrzymać z podniecenia.

- Russell! Chodź już. Proszę!

Znalazł się nad nią, a ona rozchyliła uda i wygięła się w łuk. Ich ciała złączyły się, po czym natychmiast odnaleźli najbardziej odpowiedni dla nich rytm i utrzymywali go aż do obopólnego spełnienia. Russella ogarnęło zdumienie, gdy uświadomił sobie, że to on właśnie wydał z siebie ten najgłośniejszy krzyk ekstazy, który jeszcze wibrował mu w uszach.

Tina wiedziała, czym jest satysfakcjonujący seks. Tyle że to, co dotąd uważała w tej dziedzinie za dobre, zdecydowanie zbladło w porównaniu z odczuciami, jakie wyniosła z kochania się z Russellem. W czasie swego pożycia z Paulem często miała do niego ciche pretensje o to, że zależy mu głównie na własnej satysfakcji. Tym razem natomiast przez cały czas była pewna - choć sama nie wiedziała, skąd się to bierze - że Russell byłby bardzo rozczarowany, gdyby nie miała tego oszalałającego orgazmu, po którym jeszcze nie zdołała dojść do siebie. Zastanawiała się, gdzie samotny mężczyzna nauczył się tak perfekcyjnej sztuki zaspokajania kobiety. Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że właściwie woli tego nie wiedzieć.

- Tino? Jesteś przytomna? - Głos Russella docierał do niej, jakby przebijając się przez mgłę.

- Uhm... Półprzytomna. Nie proś mnie tylko przypadkiem, abym zrobiła coś gwałtownego. Na przykład poruszyła się. Nie mam mięśni, kości.... Wszystko się gdzieś rozpuściło.

Przekreślił się na bok i delikatnie ją pocałował.

- Chcesz, żebym poszedł do swojego pokoju?

- Ależ nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

- Myślałem, że mogłoby cię krępować, gdyby Jake albo Ruby przyszli na górę i...

- Po pierwsze nie przyjdą tu w środku nocy. Chyba że ich zawołam. A nawet gdyby przyszli... to co by się takiego stało? Ruby zawsze mi powtarza, że prowadzę nienormalne życie. Powinna więc być zadowolona, przyłapawszy nas na tym, jak baraszkujemy sobie w łóżku. Trudno o coś bardziej naturalnego. - Zachichotała, po czym spowaźniała nagle. - Russell? Nie myślisz przypadkiem, że zrobiłam coś okropnego? Żeby dziś akurat chcieć tego od ciebie... Parę godzin po tym, jak zapisałam tatusia na...

Udało mu się spacyfikować ją następnym pocałunkiem.

- Tak, tak - mruzczał. - To jeden wielki skandal. Mam ogromne wyrzuty sumienia, że dałem się w to wciągnąć. - Znowu ją pocałował. - Och, Tino! Przestań sobie robić wyrzuty. Potrzebowałaś się czymś pokrzepić. A kochanie się, jeśli wykonane zostanie poprawnie, jest najlepszym lekarstwem na zmartwienia. A to... cośmy zrobili, właśnie wykonane było poprawnie...

Tina przeciągnęła się i wydała z siebie pomruk zadowolenia.

- To prawda. Było cudownie.

Ledwie wypowiedziała te słowa, przeraziła ją myśl, że

będzie to kolejna rzecz, za którą przyjdzie jej tęsknić, gdy on stąd wyjedzie.

Ale z niej beznadziejny przypadek! Zapomniała już, jak czerpać radość z życia. Potrafi się jedynie zamartwiać o przyszłość. Przecież wiedziała, co robi, decydując się zwabić go do swej sypialni. Wiedziała, że funduje sobie w ten sposób pewien przerywnik, coś, co będzie możnapotem wspominać. I to bardzo miło wspominać. Obiecała sobie, że będzie się cieszyła z bieżącej chwili, nie martwiąc się o nic na zapas. O to jej przecież naprawdę chodziło;

Przekreśliła głowę na poduszce i cieszyła wzrok widokiem wspaniałego, rozciągniętego obok niej męskiego ciała. Russell uśmiechał się jakoś dziwnie, tajemniczo. Wiele dałaby za to, by się dowiedzieć, co też on sobie teraz myśli.

A myślał właśnie o niej. Tina wydawała mu się najwspanialszą istotą pod słońcem. I kimś, z kim czuł się najlepiej. Mimo wszystkich kłopotów, jakie miała. Była inteligentna, rozumna, słodka i delikatna. Do tej listy superlatywów skłonny był dopisać jeszcze jeden: okazała się wspaniała w łóżku. Najchętniej powiedziałby jej teraz, że ją kocha i usłyszał to samo od niej. Lecz słowo „kocham” było dla niego równoznaczne z deklaracją tego rodzaju bliskości i zaangażowania, na które oboje nie mogli sobie pozwolić. Tak mu się przynajmniej wydawało. Choć w momencie, gdy się kochali, wydawało mu się, że...

Przyciągnął ją do siebie. Jej lekkie, delikatne ciało potrafiło wspaniale się do niego dopasować.

- Chyba zdążyłeś się zorientować, że to wszystko było przeze mnie ukartowane? - spytała.

Russell zmarszczył brwi.

- Co takiego? - Nie zrozumiał.

- No, nie udawaj. Wszystko, oczywiście. Uchylone drzwi, zapalona lampka.

Nareszcie dotarło to do niego. Uniósł się na łokciu i spojrział na nią z góry.

- Dawno nic mi tak nie pochlebiło.

- Nie myślisz, że jestem bezwstydną, rozwiązłą, do cna zepsutą ladacznicą?

- "Ladacznicą"! Gdzieś ty się, do diabła, nauczyła takich przedziwnych określeń?

- Nie zapominaj, że czytuję czasem książki.

- Owszem. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Widziałem te twoje książki. Okładki mają prawie identyczne. Na każdej to samo: nagi do pasa facet próbuje podrzeć sukienkę na jakiejś nobliwie wyglądającej pani. - Pocałował ją mocno, serdecznie, z głośnym cmoknięciem. - Bardzo mi było z tobą dobrze. To naprawdę cudowna noc.

- Tak się cieszę! Mnie też było z tobą dobrze,

- Ale powiedz mi jeszcze... Co by było, gdybym nie połknął przynęty?

- No... Właściwie nie wiem. Ale myślę, że to ja przyszedłbym wówczas do twojego pokoju.

Tina poczuła nagle ponowny przypływ podniecenia. Przywarła do niego, a on zareagował jednoznacznie. Cóż w nim było takiego nadzwyczajnego? Właściwie oboje byli przeciętnymi, najzupełniej zwyczajnymi ludźmi. A jednak, we wzajemnym zbliżeniu, stanowili nadzwyczajną parę.

Tuż przy uchu poczuła jego usta. Gorący oddech sprawił, że to, co tliło się w jej ciele, po chwili wybuchło płomieniem.

- Chcę cię znowu, Russell.

- O Boże! Ja też cię pragnę.

- Powiedz mi, co najbardziej lubisz w łóżku? Co by ci sprawiło przyjemność?

Z jego gardła wydobył się jakiś nieartykułowany dźwięk. Przetoczył się na plecy i pociągnął ją na siebie.

- Co tylko chcesz, Tino. Wszystko, co lubisz. Zrób tak, żeby było ci dobrze. To będzie moja największa nagroda. Naprawdę.

W ciągu tygodnia, który nadszedł, Tina uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że po prostu... zakochała się. Miała już podobne doświadczenia, wiedziała więc dobrze, jak to się objawia. Serce platało jej dziwne figle: zatrzymywało się na chwileczkę, ilekroć Russell jej dotknął, nawet jeśli był to zupełnie przypadkowy dotyk. Gdy na nią patrzył, na policzkach wykwitwały jej rumieńce. Jego spojrzenia wydawały jej się teraz intymne, porozumiewawcze. W ich rozmowach najprostszy temat potrafił nabrać monumentalnego wprost znaczenia. Czasami jej się wydawało, że żyje wyłącznie po to, by znowu doczekać kolejnej nocy, którą spędzą we dwoje.

Widziała ogromne różnice pomiędzy jej małżeństwem a związkiem z Russellem. Zanim po raz pierwszy poszła z Paulem do łóżka, znali się już dostatecznie długo i mieli dość precyzyjnie zaplanowaną wspólną przyszłość. Jej sytuacja od początku była więc wygodna i bezpieczna. Zupełnie inaczej niż teraz. Teraz nie miała nawet jasności, czym w istocie jest ten ich związek dla Russella. Czy to dla niego ważne, głębokie przeżycie, czy tylko... no, taki tam miły romansik? I właśnie o tej nadzwyczaj dla niej ważnej sprawie zupełnie nie potrafiła z nim rozmawiać.

Co zaś do przyszłości... Cóż, Tina starała się o niej nie myśleć. Przyszłość wisiała nad nimi jak pochmurna pogoda,

która nie wiadomo kiedy nadejdzie, ale wiadomo, że nadejść musi. Prowokowało ją to jedynie do zadawania sobie wiecznie tych samych pytań. Czy aby na pewno zakochała się, czy może po prostu znalazła sobie pewnego rodzaju rozrywkę? Czy była do tego stopnia samotna i spragniona miłości, że aż bezkrytyczna? Czy rzeczywiście Russell jest najbardziej ekscytującym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała? A jeśli ich związek któregoś dnia nagle się skończy, to czy się z tego powodu załamie, czy będzie jej po prostu przez pewien czas smutno? Wszystkie te pytania pozostawały oczywiście bez odpowiedzi.

Ale i tak, jakby na to nie spojrzeć, jedno było jasne: żyło jej się lepiej i szczęśliwiej niż poprzednio. Jake i Ruby, jeśli dostrzegali w jej oczach wesołe iskierki czy też malujący się na twarzy Russella wyraz głębokiego zadowolenia, wymieniali czasem między sobą porozumiewawcze spojrzenia, ale niczego nie komentowali. Ruby, widząc zmianę w wyglądzie Tyny, jej większą dbałość o strój i makijaż, poranne zmęczenia i roztargnienia wieczorne, uśmiechała się do siebie pod nosem i wzdychała. Gdyby nie choroba Tima, to jej ulubienica potrafiłaby cieszyć się życiem. Na pewno -myślała.

Tina nauczyła się już, by od ojca oczekiwać rzeczy nieoczekiwanych, a on w dostarczaniu jej coraz to nowych niespodzianek był rzeczywiście niezawodny. Gdy zażyczył sobie, żeby poobiednie drzemki spędzać nie w fotelu, lecz w łóżku w swojej sypialni, nie próbowała mu nawet tego wyperswadować. Oczywiście łatwiej jej było mieć go na oku w livingu, poradziła sobie jednak z tym, wysyłając Russella do miasta, by kupił monitorki telewizyjne, taki jak do doglą-

dania dzieci. No i naturalnie doszły jeszcze dwie dodatkowe sesje rozbieraniowo-ubieraniowe. Ale jakoś wszystko szło do brze, aż do piątku.

- Słuchaj! W nogach łóżka śpi u mnie czarny pies - zakomunikował jej poirytowanym tonem Tim. - Powiedz mu, żeby się wyniósł.

Tina, zajęta układaniem jego ubrania, rzuciła okiem na łóżko i spytała.

- Pamiętasz Ebony, tatusiu?

- Kogo takiego?

- Ebony. Miałam takiego szkockiego terierka. Uwielbiałeś, kiedy kładł się w nogach łóżka. Mówiłeś, że wspaniale grzeje.

Tima najwyraźniej to uspokoiło. Głowa opadła mu na poduszkę.

- No dobrze. Ale mógłby przynajmniej nie zabierać tak cholernie dużo miejsca.

Tina zaciągnęła kotary w oknach, po czym podeszła do łóżka i ze smutkiem i czułością przyglądała się przez chwilę śpiącemu ojcu. Gdy jego oddech stał się równy, nachyliła się, by poprawić kołdrę i wówczas jej stopa natrafiła na jakiś wsunięty pod łóżko przedmiot. Uklękła i zobaczyła kartonowe pudełko po butach. Wyciągnęła je i zaczęła badać jego zawartość. I wtedy nagle opadły jej ramiona, a w oczach pojawiły się łzy. Poczekała jeszcze chwilę i upewniwszy się, że Tim zdążył już mocno zasnąć, z pudełkiem pod pachą wyszła z pokoju i zeszła na dół do kuchni.

Russell wyjmował właśnie z lodówki dzbanek z herbatą. Na dźwięk jej kroków odwrócił się do niej uśmiechnięty, ale ujrzawszy jej strapioną minę, natychmiast spowaźniał. Tina ze złością trzepnęła pudełkiem o stół, opadła na krzesło i przycisnęła obie dłonie do skroni.

- Nienawidzę tej choroby! Nienawidzę! - krzyknęła prawie. - Któregoś dnia zwariuję!

- Co się takiego stało?

- To właśnie! - Potrząsnęła pudełkiem i zaczęła wyjmować z niego jeden po drugim jakieś przedmioty. - Zużyte chusteczki higieniczne, wytarty na gładko pumeks, który wyrzuciłam po zrobieniu tatusiowi pedikiuru... i co tam dalej... trzy ołówki, plastikowa łyżeczka, garść spinek, kawałek gumki, dwie używane serwetki stołowe, przyrząd do wycinania skórek... O nie! Tego tu nie zostawię. Można sobie tym oko wykluć - zawyrokowała, odkładając go na bok.

- Nic nie rozumiem - zwrócił się do niej Russell. - Skąd są te śmieci?

- Spod łóżka tatusia. Pewnie tam biedak upatrzył sobie bezpieczną kryjówkę, a potem o tym zapomniał.

Russell postawił dzbanek z herbatą na stole i usiadł naprzeciwko Tyny.

- No dobrze... ale cóż w tym złego, że Tim zbiera jakieś tam rupiecie? Mnie to się wydaje zupełnie nieszkodliwe.

- Oczywiście, że samo w sobie nie jest to niebezpieczne. Ale nazwano to „symptodem chomika” i wystąpienie tego zachowania oznacza, że wchodzi on w nową fazę choroby. To szalony pomysł, ale czasami mi się wydaje, że tatuś przeczytał wszystkie książki o zespole Alzheimera i powtarza opisane tam wzory zachowań. Teraz właśnie zaczęły się halucynacje. W nogach jego łóżka śpi czarny pies. Ciekawe, jak długo ten czworonóg u nas zabawi? - Przechesała palcami włosy. - Mam nadzieję, że z tym sobie ja coś poradziłam. Wiem, że nie należy się godzić i przyznawać realność halucynacjom chorych. To znaczy... wiem, że nie powinnam była powiedzieć: „Ach! Cóż to za śliczny pie-

sek!" Ale... tak naprawdę... Czy to na pewno wiadomo?

- Rozłożyła bezradnie ręce.

Russell sięgnął przez stół, nakrył swymi dłońmi jej dłonie i pogładził je.

- Tino! Proszę cię, przestań zastanawiać się w nieskończoność nad każdym ruchem, który wykonujesz. Naprawdę świetnie ci to wychodzi. Jesteś idealną opiekunką. A teraz cóż się takiego stało? Tim twierdzi, że ma psa w swoim pokoju? Dopóki mu to nie przeszkadza, to po co robić z tego problem? Ja bym osobiście wolał, żeby ten piesek tu jeszcze trochę z nami pomieszkał. Może być z niego świetny towarzysz dla twego ojca.

- Chyba masz rację, ale... Wiesz, czym się naprawdę martwię?

- Najwyraźniej wszystkim, czym tylko się da...

- Na spotkaniach grupy wsparcia mówiono nam, że opiekunowie chorych muszą uważać na tę przysłowiową słomkę, która łamie grzbiet jucznego wielbłąda. Ktoś sobie może świetnie radzić... znosić różne okropności, aż tu nagle zdarzy się jakiś mało ważny drobiazg i... krach! Człowiek się już do niczego nie nadaje.

- Nie martw się. Tobie to nie grozi. Przecież po to tu jestem, żeby wypatrzeć w porę taką słomkę.

Tina przycisnęła dłoń do jego policzka.

- Wiem przecież. Cóż ja bym bez ciebie poczęła?

Natychmiast pożałowała, że pozwoliła sobie powiedzieć coś podobnego. Przecież stale podejrzewała, że nie wyjechał dlatego, by nie odczuwać wyrzutów sumienia, iż ją tu zostawia. A naprawdę nie chciała, aby tym, co go tu trzyma, miało być poczucie winy czy jakaś forma litowania się nad nią.

Jakoś otrząsnęła się z ponurego nastroju i zaczęła wkładać „skarby” Tima do pudełka.

- Lepiej będzie, jeśli wsunę mu to z powrotem pod łóżko, bo a nuż sobie o tym przypomni - zawyrokowała. - I wszyscy musimy od tej pory cholernie uważać na wszystko, co wyrzucamy albo pozostawiamy w zasięgu jego wzroku.

- Zgoda! - Russell, zadowolony z tego, że jej nastrój wyraźnie się poprawił, wstał od stołu i spytał: - Potrzebujesz mnie jeszcze? Bo jak nie, to wrócę do Jake'a.

- Nie, nie. Idź już.

- A ty co zamierzasz teraz robić?

- Zabiorę monitor do salonu i sobie poczytam, dopóki tatuś się nie obudzi.

- Czy Ruby wraca dziś wieczorem?

- Nie jestem pewna, ale chyba nie. Będziecie się musieli jeszcze przemęczyć na tym moim wikcie - powiedziała, niepewnie się uśmiechając.

- Uszy do góry, kochanie - pożegnał ją.

Tina odprowadziła go wzrokiem aż do drzwi. To, co się dziś zdarzyło, miało swą dobrą stronę, choć zapewne nie wyznałaby tego nikomu, nawet Russellowi. Zmniejszyło mianowicie jej wątpliwości, czy postąpiła słusznie, umieszczając Tima na liście oczekujących. Jeżeli jego stan miałby się nadal pogarszać w tym tempie, to za kilka miesięcy absolutnie by sobie z nim nie poradziła. Czekają go jeszcze tyle złych rzeczy. Urojenia, apatia, spowolnienie i stopniowa utrata kontroli motorycznej... i tak dalej, i tak dalej. Naprawdę, ze względu na jego własne bezpieczeństwo, Fairhope wydawało się znacznie lepszym miejscem niż ten dom. Ta myśl sprawiła, że poczuła się trochę lepiej. Niedużo... ale choć odrobinę.

Skrzyżowała ręce na stole i oparła na nich czoło. W my-

ślach wyśpiewywała swoją mantrę: „Jestem wspaniałą osobą. Daję sobie radę w okropnych warunkach. Lecz jestem ułomna, jak każda ludzka istota, i dlatego...

Ruby spojrzała podejrzliwie na swą córkę.

- Connie? O co ci właściwie chodzi?

- Mamo... - Connie nerwowo odkaszlnęła. -Dzisiejsze spotkanie z panią Guerra wypadło najlepiej z dotychczasowych. I w ogóle... dziś miałam najlepszy dzień od czasu, gdy tu ostatni raz byłaś. Nawet Alejandro był znowu prawie... no, prawie wesoły. Przecież to nie jest przypadek...

- A więc?

- No właśnie... Rozmawialiśmy o tym z Johnem zeszłej nocy i oboje... oboje chcemy, żebyście... to znaczy ty i tatuś, z nami zamieszkali.

- Co takiego?

- Naprawdę, mamo. Z tej drugiej sypialni i werandy można będzie zrobić dla was mieszkanie. Dorobi się łazienkę i...

- Chwileczkę, Connie. Odkąd przyszedł na świat, oboje z ojcem przysięgliśmy sobie raz na zawsze, że nigdy nie będziemy z tobą mieszkać. Przez całe życie odkładaliśmy pieniądze, żeby być na starość niezależnymi. Nie, dziecko. Jak się na to nigdy nie zgodzi. A ja też nie mam zamiaru mieszkać kątem u córki.

- Ale jesteś mi potrzebna. Mieszkasz u zupełnie obcych ludzi i ci to nie przeszkadza.

- Ani Tim, ani Tina nie są dla mnie żadnymi „obcymi ludźmi”.

- Ale wiesz, chodziło mi o to, że nie są rodziną.

- I bardzo dobrze, że nie są. Dzięki temu mogę z nimi jakoś wytrzymać. - Ruby sprawiała wrażenie zupełnie nieprzejednanej.

Connie przygryzła górną wargę i badawczo przyglądała się własnym paznokciom.

- Tak się jakoś złożyło, iż wspomniałam pani Guerra, że mam zamiar coś takiego ci zaproponować. A ona natychmiast poinformowała mnie, że jeśli tu zamieszkaż, to ona w tym momencie nie ma żadnych zastrzeżeń i adopcję można będzie natychmiast sfinalizować. Stwierdziła, że masz świetny kontakt z Alejandro, a poza tym...

- No i bardzo źle się stało - westchnęła Ruby. - Trzeba było najpierw ze mną porozmawiać. Wiesz, jakie my mamy kłopoty na ranchu.

- To chyba Tina ma te kłopoty. I nie widzę powodu, aby były one ważniejsze niż moje. A poza tym słyszałam, że pan Webster idzie do domu opieki.

- Tak, ale nie wiemy kiedy. W ogóle nie wiemy, co się może jeszcze zdarzyć.

- A co z tym facetem, który mieszka tam z wami? No tym, na punkcie którego Tina... Czy on jej nie może pomagać?

- Russell? To bardzo tajemniczy typ. Nikt z nas nie wie, co on zamierza zrobić. W każdym razie - zawiesiła na chwilę głos - póki co, jestem tam potrzebna.

- Tu też jesteś potrzebna - powiedziała z wyrzutem Connie.

Ruby miała co prawda bzika na punkcie własnej córki, i to od momentu, gdy ją urodziła, bez trudu jednak potrafiła przewidzieć, co by się stało, gdyby ona i Jake zamieszkali tu wraz z Connie, Johnem i trójką dzieciaków. Najpierw po prostu „troszkę by pomagali”. John rzeczywiście był przepracowany i nie bardzo mógł znaleźć czas na masę rzeczy, które aż prosiły się o męską rękę. A więc Jake wziąłby się do tego wszy-

stkiego. Zrobiliby się milutko, wygodniutko i bardzo szybko Connie powiedziała jej mniej więcej tak: „Mamo, ja tu już naprawdę niewiele mam do roboty. Często myślę o tym, aby wrócić do szkoły, gdyż wtedy John mógłby zrezygnować z tej drugiej pracy”. I tak by się zapewne stało. W związku z czym - Ruby nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości - spadłby jej na głowę dom, trójka dzieciaków i wszystko, co jest z tym związane: pakowanie drugich śniadanków, oczekiwanie na ich powrót ze szkoły, pilnowanie przy odrabianiu lekcji. Zbyt bogaty program na ten okres życia, w którym zamierzali znaleźć sobie z mężem jakieś spokojne miejsce i trochę odetchnąć. Trudno. Ani myśli się zgadzać.

Poza tym Jake nigdy nie zgodziłby się, by zamieszkać w domu zięcia. Jedyne, co mają wspólnego, to miłość do Connie, co -jak wiadomo - częściej prowadzi do rywalizacji niż do wzajemnej zażyłości. Ale gdyby nawet byli najlepszymi kolegami, to i tak Jake by się do nich nie przeprowadził. Ostatnio ze szczególnym uporem powtarzał, że córka musi wypić piwo, które sobie nawarzyła. „Mówiło jej się tysiąc razy: nie bierz od razu trójki dzieciaków - mawiał. - Posłuchała się? Nie. A więc nie wyciągaj jej teraz na siłę z bagna. Przecież ci, kochanie, nie zabraniam, żebyś jej od czasu do czasu w czymś pomogła, ale pamiętaj: Connie jest taka, że jak dasz palec, to od razu cię chwyci za rękę”.

Ruby z niechęcią musiała przyznać, że w tym, co mówił jej mąż, było dużo racji. No, ale co z tego, kiedy Connie naprawdę potrzebowała pomocy. Rzeczywiście, sama sobie zafundowała ten kłopot, ale był on realny, nie wymyślony. Ruby w głębi duszy wiedziała, że będzie jej pomagać. Może trochę mniej, niż Connie od niej oczekuje, i trochę więcej, niż życzyłby sobie tego Jake, ale na pewno jej pomoże.

- Daj mi jeszcze trochę czasu, kochanie - zwróciła się do córki. - Nie sprowadzę się do was, ale gdy Tim pójdzie do zakładu i będziemy już wiedzieli, co Tina zamierza ze sobą zrobić, to przeprowadzę się gdzieś bliżej, by móc częściej cię odwiedzać. Lepsze to niż nic.

- No pewnie, że lepsze - odparła Connie, pociągając nosem.

Ruby nigdy nie rozmawiała ze swoją córką o tym, jak głęboko czuje się związana z Websterami. Tak więc Connie nie będzie miała pojęcia, jakie ciężkie dni czekają jej matkę. Ostatnio Ruby wydawało się, że jest już wewnętrznie przygotowana na pożegnanie z Timem. Nie powiedziec mu „do widzenia”, ale głęboko w duszy go pożegnać. Ale, uczciwie mówiąc, zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić takiego pożegnania z Tiną.

Pszenica została już zebrana, a na pozostałe zbiory - kukurydzy i bawełny - trzeba było jeszcze poczekać. Życie na ranchu płynęło teraz wolniej niż w innych porach roku, z wyjątkiem być może środka zimy. Czasami, gdy ranek był chłodny i bezwietrzny, a Tim ubrany już i gotowy na rozpoczęcie dnia, Tina zanosila sobie kawę na ganek, siadała i wpatrywała się w daleki horyzont. „To piękna kraina - zwykł mawiać jej ojciec. - A największą jej zaletą jest to, że nie ma tu po prostu niczego, co mogłoby choć odrobinę zainteresować turystę”.

Być może było w tym trochę przesady: Kanion Palo Duro, leżący na południe od Amarillo, przyciągał wielu turystów, a i samo miasto oferowało sporo turystycznych atrakcji. Timowi chodziło jednak zapewne o najbliższe otoczenie Leatrice. I tu miał rację. Trudno było sobie wyobrazić, aby komuś zachciało się zjechać choćby na pięć minut z autostrady, żeby obejrzeć ów siódmy cud świata. W związku z tym spotkanie z Russellem -jak często myślała - naprawdę było swoistym zrzędzeniem losu.

Pewnego dnia, ku swemu zaskoczeniu, dostała długi list od Paula. Miała wątpliwości, czy w ogóle otworzyć, ale okazało się, że był on utrzymany w stylu gawędziarskim, zawierał zestaw plotek i wspominków na temat ich dawnych wspólnych znajomych i w zasadzie nic więcej. Nie było dla niej jasne, po co do niej napisał. Czy po to, aby zaczęła sobie przypominać dawne dobre czasy? Miała nawet zamiar odpisać, ale doszła do wniosku, że nie jest to najlepszy pomysł. Nie ma sensu sugerować mu, że zaprzęta jeszcze jej myśli, skoro już tak nie było.

List ten zawierał zresztą fragment, który zwrócił jej uwagę. Paul napisał między wierszami, że ostatnio właśnie telefonowała do niego Becca. Odkąd tych dwoje tak się ze sobą pokumało? - zastanawiała się Tina. Sama - od czasu, gdy Jenningsowie wrócili z Bermudów - rozmawiała z Beccą tylko raz. Oczywiście pierwszą rzeczą, o której ją poinformowała, był znaleziony przez nią zakład w Fairhope.

- Postąpiłaś bardzo słusznie, Tino - powiedziała jej siostra. - Wiem, jakie to musiało być dla ciebie trudne, ale nie było innego wyjścia.

- Mam nadzieję, że gdy ojciec już się tam znajdzie, to obie będziemy go często odwiedzały - oświadczyła Tina, kładąc akcent na słowo „często”.

- O tak! Oczywiście. No i może porzucisz wreszcie to przygnębiające otoczenie i przeprowadzisz się do Amarillo. Chyba że... że coś innego się zdarzy.

- Co mianowicie?

- No... nie wiem. Różnie może się zdarzyć. Ale gdybyś tu zamieszkała, to przynajmniej częściej byśmy się widywały.

Tina miała sporo wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście tak by było. Odnosiła wrażenie, że właściwie sama jest wyłączną inicjatorką wszelkich kontaktów - osobistych czy telefonicznych - ze swą rodziną. Matka na przykład nie odezwała się do niej od czasu, gdy Tina odwiedziła ją z Russellem w drodze powrotnej z Fairhope. Zarówno Becca, jak i Joan prowadziły zupełnie inne życie niż ona i sądziła, że to się akurat nie zmieni, bez względu na to, gdzie będzie mieszkać. Gdy wyobrażała sobie życie w mieście, widziała siebie chodzącą do pracy, na spotkania grupy wsparcia, odwiedzając ojca. Bujne życie towarzyskie z pewnością nie pasowało do tego obrazu.

I zawsze w scenariuszu tym brakowało jednego ważnego elementu - Russella. Próbowала sobie wielokrotnie wyobrazić, że są ze sobą, idą we dwoje przez życie, ale jakoś nic z tego nie wychodziło. Myśląc o Russellu, stale widziała go w dżinsach i długich butach, w nieodłącznym towarzystwie Jake'a albo ostatecznie siedzącego przy stoliku karcianym z Timem. A więc jeśli ojciec znajdzie się w Fairhope, a ranczo zostanie sprzedane, to... I w tym momencie jej myśli urywały się w martwym punkcie i nie potrafiły go przekroczyć.

Russell nie wspominał już co prawda o Kalifornii, ale ani słowem nie zasugerował również, że ma zamiar zapuścić korzenie w zachodnim Teksasie. Miała wielką ochotę spytać go, co zamierza zrobić, gdy Tim zamieszka w Fairho-

pe, ale to pytanie nie chciało jej jakoś przejść przez gardło. Póki co, wołała cieszyć się z niego i ich romansu. Był wspa-
niałym, wprost wymarzoną kochankiem, a ona - mimo iż
nie czuła się być może w siódmym niebie - była znacznie
szczęśliwsza niż jeszcze niedawno. Miała więc zamiar cieszyć
się każdą minutą, jaką było jej dane z nim spędzić. Może
przypominało to chowanie głowy w piasek, ale tak już widać
musiało być.

Edna Lowell zadzwoniła we wtorek po południu.

- Dzwonię, ponieważ okazało się, że jeden z naszych pen-
sjonariuszy odchodzi jutro do domu. Mieszkał w jednym po-
koju z naszym długoletnim rezydentem, Harve'em Chesterto-
nem. Przeglądałam listę zgłoszeń i doszłam do wniosku, że
pan Webster i Harve mogliby sobie nawzajem świetnie odpo-
wiedzieć. Czy masz chwilę czasu, by to ze mną przedyskuto-
wać?

Tina opadła na oparcie krzesła. Czuła ucisk w piersiach
i pieczenie pod powiekami. Tak szybko - pomyślała.

- Tak. Oczywiście - odparła.

- Harve ma co prawda wczesne objawy demencji, ale
nadal jest względnie zdrowym i fizycznie sprawnym człowie-
kiem. Jest u nas głównie dlatego, że nie ma żadnej rodziny,
z wyjątkiem siostry w Phoenix, u której nie chce mieszkać.
A ponieważ uważał, że również nie powinien mieszkać sam,
zdecydował się zamieszkać u nas. Ma mniej więcej tyle samo
lat co pan Webster i jest emerytowanym oficerem marynarki
wojennej. Pomyślałam sobie, że ponieważ obaj są weterana-
mi, mogą mieć wiele wspólnych zainteresowań. Co o tym
myślisz, Tino? Pamiętaj tylko, że sporo czasu może upłynąć,
zanim zwolni się następne miejsce.

Ten Harve wydawał się doskonałym wprost towarzyszem

dla jej ojca. Skąd więc to pieczenie w gardle, łzy spływające po policzkach?

- Czy... czy ten pan... Chesterton... Czy on wie, w jakim stanie jest mój ojciec?

- Przecież nie wypadło mi z nim o tym mówić przed rozmową z tobą. Ale, wierz mi, od dawna się tym zajmuję i dlatego z góry mogę ci zwrócić uwagę na pewne istotne sprawy. Po pierwsze więc, twój ojciec lepiej zniesie zmianę warunków, jeśli stale będzie w czymś towarzystwie. Po drugie, Harve jest fizycznie sprawny i będzie mógł go doglądać. A po trzecie, jemu to jest również autentycznie potrzebne, gdyż lubi przewodzić i być za kogoś odpowiedzialny. Rozumiesz, jak to wojskowy. Jest tu świetnie zaaklimatyzowany, gdyż wprowadził się do nas zaraz po przejściu na emeryturę, czyli... zaraz... kiedy to było? O Boże, chyba ze dwadzieścia lat temu. Ma masę przyjaciół, którzy go często odwiedzają. A ty przecież mi mówiłaś, że twój ojciec potrzebuje wokół siebie ruchu, ludzi...

- No... tak. Dziękuję ci bardzo, Edno, ale wybaczyć mam tu kogoś, z kim chciałabym to przedyskutować. Pozwolisz, że zadzwonię do ciebie za kilka minut?

- Oczywiście, Tino. Wiem, jakie to jest dla ciebie trudne. Czekam więc na twój telefon, ale sama rozumiesz, że nie mogę trzymać dłużej tego wolnego miejsca. Zbyt wiele osób na nie czeka.

- Rozumiem. Za chwilę się odezwę.

Tina odwiesiła słuchawkę i, nie odrywając od niej ręki, siedziała przez chwilę nieruchomo, tępo patrząc przed siebie. Dziwne. Okazało się nagle, że wcale nie jest na to przygotowana. Niby podjęła decyzję, ale wszystko pozostawało jeszcze w zawieszaniu; dopiero teraz raptem dotarło do jej świa-

domości. Opiekując się przez te dwa lata ojcem, stała myślała, że jest jej trudno. Jeszcze trudniej przyszło umieścić go na liście oczekujących. Ale to było nic w porównaniu z tym, co czekało ją teraz. Ciężar winy zdawał się wprost nie do udźwignięcia. Czuła się zagubiona i wiedziała, że nie jest w stanie zgodzić się na odesłanie tam ojca bez rozmowy z Russellem. Być może nie jest do końca uczciwe wciągać go w to wszystko - ostatecznej decyzji i tak przecież nikt za nią nie podejmie, ale musi przynajmniej przedtem z nim porozmawiać.

Zaniosła monitor do kuchni i postawiła go na blacie.

- Ruby, bądź tak dobra i popilnuj przez chwilę tatusia.

Gdzie jest Russell?

Z tonu jej głosu Ruby zorientowała się, że znowu pojawił się jakiś kłopot.

- Musi być gdzieś koło domu. Wszystkie cztery samochody stoją zaparkowane.

- Zaraz wracam.

Tina znalazła Russella w stajni, jedynym miejscu, w którym można się było schronić przed upałem wczesnego popołudnia. Od lat nie trzymano już tam koni, wewnątrz było mroczne i względnie chłodne. Pachniało sianem, które Russell, obnażony do pasa, przerzucał widłami na stryżek. Ujrawszy Tinę, przerwał pracę i uśmiechnął się.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała, przysiadłszy na szczeblu przystawionej do stryżku drabiny.

Spostrzegł, że jest szara na twarzy i odłożył widły.

- Stało się coś złego?

- Dzwoniła Edna Lowell.

- Kto?

- Ta pani z Fairhope. Właśnie zwolniło się miejsce.

Pierś Russella uniosła się kilkakrotnie. Widać było, jak oddycha głęboko. Podeszedł do niej i objął dłońmi jej twarz.

- Och, kochanie...

- Tak to się szybko stało... Ale właśnie ktoś się od nich wyprowadził. Tatusz mógłby tam zamieszkać w jednym pokoju z... - Powoli, zacinając się i robiąc pauzy, opowiedziała mu to wszystko, czego dowiedziała się na temat Harve'a Chesterona. - I co o tym myślisz? - zakończyła.

- A cóż ja mogę myśleć? Żal go tam oddawać, ale... wiem, że to jest konieczne. Ten facet... Harve, może się okazać dla niego idealnym kompanem. Tu on tylko siedzi albo śpi. Tam będzie miał stale wokół siebie ludzi i jakieś zajęcia. No i... - przerwał w pół zdania.

Żadne dodatkowe argumenty nie przychodziły mu już do głowy.

Tina przytuliła policzek do gładkiego, płaskiego brzucha Russella, a on przygarnął ją i trzymał w tej samej pozycji przy sobie. Czuł, że wewnętrznie cała drży.

- Widzisz, teraz już nie ma mowy o czymś, co ma kiedyś nastąpić - skarżyła się. - To już nie jest kwestia miesięcy czy tygodni. To... by było pewnie nie dalej niż pojutrze.

- Wiem. Ale Czy... za tydzień albo za miesiąc byłoby to dla ciebie łatwiejsze?

- To takie niesamowite. Przed miesiącem wydawało mi się, że gdy się od tego uwolnię, będę mogła robić wszystko to, na co nie mogłam sobie dotąd pozwolić. A teraz się zastanawiam, co ja zrobię z wolnym czasem, gdy tatusia już tu nie będzie. - Wiedziała, że musi teraz opanować emocje. Objęła Russella w pasie, ucisnęła go, po czym wstała. - Zadzwoń lepiej do Edny, zanim się zupełnie nie rozkleję.

Wyszła pośpiesznie ze stajni. Russell odprowadził ją wzrokiem. Po chwili wrócił do przerwanej roboty i zaczął z pasją przerzucać siano. To okropne, że Tina musi podjąć taką decyzję. Wiedział doskonale, co ona teraz czuje, a i jemu nie było łatwo. W końcu to on właśnie przekonał Tinę, że czas najwyższy rozejrzeć się poważnie za jakimś domem opieki dla jej ojca. Ze złością wetknął widły w kupę siana. Od czasu gdy znaleźli z Tiną ten zakład w Fairhope, cała czwórka domowników przygotowana była na to, że rozstanie z Timem może rzeczywiście nastąpić każdego dnia. Ruby dbała o to, by jego ubranie było prane na bieżąco, Tina miała zapakowane w walizce przybory toaletowe i inne drobiazgi - tak, aby w ostatniej chwili nie było żadnego zamieszania z pakowaniem rzeczy. Dlaczego więc wezwanie do podjęcia ostatecznej decyzji spadło na nich jak grom z jasnego nieba?

Russell pracował jak opętany, aż do utraty tchu. A potem nagle wbił z rozmachem widły w klepisko, splótł dłonie na ich ręczce i oparł o nie czoło. Dotarło do niego wreszcie, że nie tylko Tina musiała podjąć brzemienną w skutki decyzję. On również musiał dokonać wyboru, którego nie można już było dłużej odkładać na bliżej nieokreśloną przyszłość. Świadomość tego faktu kompletnie go sparaliżowała. Czy ma starać się realizować swe marzenia, czy też wyrzec się ich na zawsze? Właściwie wiedział już, co by mu najbardziej odpowiadało, ale nie miał pojęcia, czy Tina na to przystanie.

Z chwilą gdy Tina zgodziła się na to, by Edna zatrzymała wolne miejsce dla jej ojca, stało się dla niej jasne, że niczego nie ma już sensu odwlekać. Ustaliły więc, że Tim przybędzie do Fairhope w piątek rano.

- To tu właśnie są wszyscy? - spytał Tim, wysiadając z samochodu.

- Tak - odpowiedziała Tina.

- A jakoś to inaczej wygląda.

Tinie zależało na tym, aby w przeprowadzce ojca do Fairhope towarzyszyła mu również Becca, ale ta -jak zwykle - potrafiła się jakoś od tego wykręcić. Miała jakieś spotkania, których nie można było odwołać, bardzo jej było przykro, ale... Słowem, jak zwykle. Tina musiała wykonać to niewdzięczne zadanie sama. Dobrze choć, że tym razem miała do pomocy Russella. Edna już na nich czekała. Przywitała Tima z taką wylewnością, z jaką pani domu wita zaproszonego na obiad gościa i natychmiast poprowadziła ich do jego pokoju. Tina nie próbowała nawet tłumaczyć wcześniej ojcu, że ma tu pozostać na stałe. Wolała improwizować z minuty na minutę, mając nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Edna zapewniła ją, że gdyby Tim przeraził się albo zdenerwował, to jej personel potrafi sobie z tym poradzić.

Nic podobnego się zresztą nie zdarzyło, głównie zapewne dzięki Harve'emu Chestertonowi. Był to prawdziwy brat łąta, przedstawiciel tego ginącego gatunku ludzi, którzy nigdy nie rozumieli, po co zostały wymyślane takie słowa, jak „obcy” czy „nieznajomy”. Ledwie Edna zdążyła wprowadzić ich do pokoju, a już Harve ścisnął im kolejno dłonie, jak starym znajomym.

- Proszę, wchodźcie! - zapraszał tubalnym głosem. - Nazywam się Harve Chesterton.

- Witam! - powiedział Tim. - Jak tam pańska rodzina?

- Tu wszyscy jesteśmy na „ty”. A z rodziny to nie mam nikogo, z wyjątkiem siostry, z którą też zresztą za dobrze się nie dogaduję. Ona czasem przebąkuje, żebyśmy z nią zamiesz-

kał w Phoenix, ale mnie tu jest dobrze. A ty jesteś pewnie Tim Webster? Cieszę się, że cię widzę. Czekalem na ciebie. Siadaj, bracie, i rozprostuj kości.

- Dziękuję! - Tim skorzystał z zaproszenia i rozsiadł się wygodnie na jednym z dwóch stojących w pokoju foteli. - Ładnie tu u ciebie, Merve - powiedział po chwili, rozglądając się dookoła.

- Harve. Edna mówiła mi, że powojowałeś sobie trochę, stary.

- A jak! Powojowałem sobie jak cholera...

Tina odnotowała w myślach, że żaden z nich nie uważał za stosowne sprecyzować, o jaką wojnę chodziło. Dla nich istniała tylko jedna: druga światowa.

- Byłeś w Europie czy na południowym Pacyfiku? - spytał Harve, siadając na drugim fotelu.

- Na Pacyfiku - odparł Tim. - Służyłem w desantowej jednostce saperów. Słyszałeś chyba o „Seabees”?

- O, bracie! Ale wyście odwalali robotę! Jasne, że słyszałem. Przecież sam pływałem wtedy w Trzeciej Flocie pod dowództwem poczciwego Bulla Halseya.

O Boże! - pomyślała Tina. Można by szukać po całym świecie i nie znaleźć tatusiowi tak wspaniałego kompana. Harve właśnie w tym momencie spojrzął na nią.

- Ale ty jesteś ładniutka!

- Dziękuję panu. - Tina uśmiechnęła się do niego najserdeczniej, jak potrafiła.

- Popatrz, Tim, czy to nie śliczne stworzenie?

Tim przyjrzał jej się badawczo, tak jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

- Owszem. Niebrzydka. Powiedz Herbiemu, jak się nazywasz.

- Harve'emu!
- Na imię mam Tina. Tim jest moim ojcem. - Podała mu rękę, a on potrząsnął nią z żywiołową radością.

Tim nachylił się w stronę swego nowego znajomego i niecierpliwym tonem zapytał:

- Słuchaj! Czy ja już tobie kiedyś opowiadałem o tym, jak mój pododdział zamontował urządzenia chłodnicze po desancie na...

W trakcie tej rozmowy Russell - nie zwracając na siebie uwagi - kursował pomiędzy pokojem a samochodem, przynosząc rzeczy Tima i układając je tak, aby nie znajdowały się na widoku. Uporawszy się z tym, przewęszył jeszcze kąty, starając się upewnić, czy Harve nie trzyma na wierzchu leków czy jakichś innych substancji, z których Tim mógłby zrobić niewłaściwy użytek. Przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, przysiadł się do Tiny.

Tim, najwyraźniej zachwycony tym, że ma nowego słuchacza, sprawiał wrażenie, jakby kompletnie o nich zapomniał. Tina modliła się w duchu, aby okazało się, że w istocie jest to najlepsze rozwiązanie życiowe dla jej ojca. Miała również nadzieję, że Harve okaże się człowiekiem nieskończenie cierpliwym. Historia o zamrażarkach na Wyspach Salomona miała się ku końcowi, ale Tina była pewna w stu procentach, że Harve usłyszy ją jeszcze nieraz. Na razie on także miał swoje wojenne historie do opowiedzenia i - o dziwo-okazało się, że Tim potrafi wysłuchać go z uwagą. Bitwy morskie stanowiły dla niego temat zdecydowanie bardziej interesujący niż to wszystko, co Tina miała mu do zaoferowania. Oboje z Russellem jeszcze przez jakieś pół godziny przysłuchiwali się cierpliwie rozmowie starszych panów. Tina odnosiła wrażenie, że jej obecność jest dla ojca całkowicie obojętna, lecz

mimo to strasznie trudno jej było zdobyć się na to, by wstać nagle i się pożegnać. Wiedziała jednak, że musi to zrobić. Harve niespodziewanie przyszedł jej z pomocą.

- Słuchaj! - zawołał nagle i klepnął Tima w kolano. - Ale trafiłeś na dobry dzień. Dziś po południu odwiedzają nas dzieciaki.

- Jakie dzieciaki? - zainteresował się Tim.

- A z jednej ze szkół. Przyjeżdżają do Fairhope i specjalnie dla nas występują. Ale to dopiero po lunchu. A tak a propos, jedzenie dają tu świetne. Sam się przekonasz.

- Tam, gdzie przedtem byłem, w ogóle mnie nie karmili.

- Nam tu niczego nie brakuje. - Harve podniósł się z miejsca. - Niczego. Chcesz, to wszystko ci pokażę. Oprowadzę cię po domu. Idziemy? Lubisz grać w ping-ponga?

Tina zastanawiała się, czy ojciec jest jeszcze na tyle sprawny ruchowo, aby grać w tę grę. Ale cóż to miało za znaczenie, skoro znalazł tu odpowiadające mu towarzystwo i jakieś nowe rzeczy, które go wyraźnie interesowały?

- Muszę już iść, tatusiu. Zostań tu i obejrzyj sobie wszystko. Zobaczymy się później.

- Dobrze, dobrze - rzucił za siebie Tim, machnąwszy ze zniecierpliwieniem ręką, po czym wstał z fotela i pośpiesznie wyszedł za Chestertonem z pokoju.

Russell wziął Tinę za rękę i wprowadził ją na korytarz. Zatrzymała się jeszcze na chwilę i tęsknym wzrokiem powiodła za oddalającą się sylwetką ojca. Czowała się jak kocioł parowy z zepsutym zaworem bezpieczeństwa, który w każdej chwili może eksplodować.

- Powiedz mi, co będzie, kiedy on sobie uświadomi, że odjechałam i zostawiłam go tu na zawsze... czy do nie wiadomo kiedy? - spytała drżącym głosem Russella.

- Prawdopodobnie nigdy sobie tego nie uświadomi. Przy-
najmniej nie w tym sensie, w jakim ty lub ja zrobilibyśmy to
na jego miejscu.

- Czuję się okropnie, że tak... po prostu stąd wychodzę.

- Chyba scena pożegnalna nie jest tu nikomu potrzebna.

Tak jest lepiej.

- Może. Sama już nie wiem.

- Proszę cię, przestań się już denerwować. Trzeba było to
zrobić i wreszcie zostało to zrobione. Może chcesz odwiedzić
matkę albo siostrę?

Pokręciła przecząco głową i westchnęła:

- Uchowaj Boże! To akurat ostatnie osoby, które chciała-
bym teraz odwiedzić.

Russell świetnie potrafił ją zrozumieć.

- A co powiesz na lunch w Amarillo? Potem moglibyśmy
pochodzić po sklepach.

- Mężczyźni nie znoszą chodzić z kobietami po sklepach.

- To jeszcze jedna więcej próba generalizowania, kocha-
nie. Mnie chodzenie z tobą po sklepach nie przeszkadza. Mo-
żemy robić wszystko, na cokolwiek masz ochotę. - Zależało
mu głównie na jednym: żeby tylko przypadkiem nie chciała
wrócić natychmiast do domu.

- Możemy robie wszystko. Rzeczywiście - powtórzyła
z niewiarą w głosie. Przez przeszło dwa lata, ilekroć znalazła
się poza domem, stale towarzyszył jej niepokój i poczucie, że
jak najszybciej powinna do niego wrócić. - Teraz... - Zerk-
nęła za siebie na drzwi pokoju ojca. - Teraz już nie musimy
nigdzie się śpieszyć.

- A więc się nie śpieszmy. - Ujął ją delikatnie za ramię
i poprowadził ku wyjściu. - Pomyślmy o lunchu. Na co masz
największą ochotę?

Okazało się, że na masę rzeczy. Od rozmowy z Edną Tina nie była w stanie prawie niczego przełknąć, a teraz jadła jak prawdziwy obzartuch. Wystrzegą się pilnie, by ani słowem nie wspomnieć teraz o ojcu. Po lunchu godzinami chodzili po centrum handlowym. Od bardzo dawna nie mogła pozwolić sobie na taki luksus. Wszystko wydawało jej się wspaniałe - z wyjątkiem cen. Miała ochotę sprawić sobie dziesiątki rzeczy, ale pamiętając o tym, że musi ograniczać wydatki, kupiła sobie jedynie dwie bluzki i jakieś kosmetyki.

Na ranczo wrócili tuż przed wieczorem. Russell obserwował Tinę przez całe popołudnie i z zadowoleniem stwierdził, że napięcie, jakie nagromadziło się w niej w ciągu ostatnich dni, powoli znika. Wiedział jednak, że prawdziwą próbą będzie dla niej dopiero moment, gdy wejdzie do domu i uświadomi sobie, że nie musi natychmiast pośpieszyć do salonu, by sprawdzić, jak ma się Tim.

W kuchni nikogo nie było, ale na dźwięk otwieranych drzwi Ruby natychmiast wynurzyła się z głębi domu i z wyraźnym niepokojem spoglądała raz na Tinę, raz na Russella, starając się coś wyczytać z ich twarzy. Wreszcie - rezygnując najwyraźniej z zadania jakichkolwiek pytań - zbliżyła się do stołu, podniosła stojące na nim pudełko po butach i zwróciła się do Tiny:

- Znalazłam to pod łóżkiem Tima. Nie wiem, co mam z tym zrobić. Zostawić czy wyrzucić?

Na widok „skarbów” ojca Tina kompletnie się załamała. Opadła na jedno z kuchennych krzeseł i zaczęła szlochać.

Russell stanął za nią i próbował ją uspokoić, klepiąc i głaszcząc po ramionach.

Ruby, nadzwyczaj tym wszystkim poruszona, zwróciła ku niemu zdumione spojrzenie.

- Co ja takiego zrobiłam? Co to było? - wybąkała i roz-
płakała się także.

- Źdźbło, które łamie grzbiet wielbłąda - odparł ponuro
Russell.

Parę minut po wpół do jedenastej Russell cichutko wszedł do pokoju Tyny i zamknął za sobą drzwi. Leżała w łóżku, wsparta na łokciu, i czekała na niego. Oczywiście miała zaczerwienione, ale już nie płakała. A wyglądało na to, że nigdy nie przestanie. Ruby, która dawno nie widziała Tyny tak załamanej, zupełnie nie wiedziała, co począć. Russell zrozumiał natomiast, że spokój i samokontrola, jakie narzucała sobie przez całe popołudnie, to były tylko pozory. Poczul ulgę, gdy dotarło do niego, że pozwoliła sobie wreszcie na wybuch, który rozładował jej napięcie do ostatnich granic nerwy.

- Boli cię głowa? - spytał.

- Uhm. To od tego płaczu.

- Wzięłaś coś?

- Uhm. Kilka aspiryn. Muszę wyglądać okropnie.

- Dla mnie wyglądasz ślicznie. Jak zawsze. Mam tu coś dla ciebie.

Wyciągnął ukryty za plecami pakuneczek i rozwinął go. Tina zaniemówiła z zachwytu. Była to suknia, którą wypatrzyła w trakcie chodzenia po sklepach i która tak się jej spodobała, że aż wróciła, aby pokazać mu ją palcem. Zdecydowała jednak nie kupować jej, tłumacząc się tym, że jest zbyt ekskluzywna, za droga i nie pasująca do jej obecnego stylu życia. Nie miała pojęcia, jak mu się udało ją kupić w tajemnicy przed nią.

- Och, Russell...

- Zaraz usłyszę, że nie powinienem tego robić.

- Bo naprawdę nie powinieneś.
- Widziałem, jakim pożądanym wzrokiem na nią patrzyłaś, pomyślałem więc, że musisz ją mieć.
- Jest taka... niepraktyczna.
- A wszystko zawsze musisz mieć praktyczne?
- Jesteś kochany i zawsze o mnie myślisz. Bardzo ci dziękuję. Chodź tu, żebym nie musiała tego robić na odległość.

Nachylił się nad łóżkiem, a ona pocałowała go z przesadnie głośnym cmoknięciem. Odstąpił od niej o krok, powiesił sukienkę na oparciu krzesła i zanim przyszedł do łóżka, zrobił jej jeszcze jedną przyjemność: tym razem był to wspaniały, męski striptiz.

- Jesteś wyjątkowo przystojnym, czy... jak to się teraz mówi... „seksownym” mężczyzną - powiedziała stłumionym głosem.

- A ty jesteś bardzo seksowną kobietą. Może specjalnie zostaliśmy dla siebie stworzeni. Jak myślisz?

Przygarnął ją do siebie, pieścił i głaskał, całował i drażnił ustami aż do momentu, gdy poczuł, że opuściło ją całe napięcie. Wziął ją, rozluźnioną i miękką, i kochali się niespiesznie, delikatnie, tak długo, aż całkowicie osłabła i nasycona znieruchomiała w jego ramionach.

- Jesteś cudowny - szepnęła sennie.

- To ty jesteś cudowna. Najcudniejsza na świecie. Nigdy nie spotkałem takiej fantastycznej kobiety.

Tina wyśliznęła się spod niego. Przez chwilę szukała najwygodniejszej pozycji, po czym wsunęła mu nogę między uda. Otarła się policzkiem o jego owłosione piersi i powiodła palcem wokół sutka.

- Twoje ciało niezwykle mnie fascynuje.

- To dobrze. Mogłabyś podpisać kontrakt, że będziesz prowadziła nad nim badania przez resztę życia? - Powiedziawszy to, stropił się nagle. - Kochanie, chciałbym z tobą porozmawiać.

- O czym? - Zdziwiła ją głównie zmiana w tonie jego głosu.

Milczał chwilę, jakby ciągle się jeszcze nad czymś zastanawiał, potem odparł niespodziewanie:

- O Kalifornii.

Tina zeszywniała w jego ramionach. Po sekundzie próbowała się wyrwać, ale zacisnął uda i nie pozwolił jej uciec.

- Jak... jak mogłeś?! - rozpłakała się. - Jak mogłeś właśnie teraz... Akurat tej nocy.

- Nie zrozumiałeś mnie - powiedział łagodnie.

- A co tu było do rozumienia? Wiedziałam, tak samo jak ty... że prędzej czy później trzeba będzie o tym porozmawiać. Ale ty wybrałeś najgorszy moment. Nigdy nie myślałam, że tej akurat nocy...

- Tino! Kochana, posłuchaj mnie. Chodziło mi o to... żebyśmy razem... we dwoje pojechali do Kalifornii.

- Co?

- Nie jestem w stanie od ciebie odjechać. Słyszysz? - Potrząsnął nią delikatnie. - Kocham cię! Chcę, abyśmy razem tam pojechali. I żeby wszystko było załatwione jak należy... Znaczący... Tino, pytam cię właśnie, czy za mnie wyjdiesz?

RS

13

Tina gwałtownie oderwała się od niego.
Tym razem nie próbował jej przytrzymać.

- Russell!-krzyknęła prawie.
- Czyżby tak cię to zaskoczyło?
- Myślałam... Myślałam, że...
- No przecież chyba nie przyszło ci do głowy, że chcę ci powiedzieć „do widzenia”?
- Nie wiem... nie wiem już sama, co o tym myśleć. -
Przed chwilą powiedział jej po raz pierwszy, że ją kocha. No

i oświadczył się! Powinna więc nie posiadać się z radości. A jej znowu zbiera się na płacz. - Czy ty nic nie rozumiesz? Po co mi to wszystko mówisz? Przecież wiesz, że i tak nie mogę pojechać z tobą do Kalifornii.

- A to dlaczego?

- Z piętnastu różnych powodów. Po pierwsze, ze względu na ojca.

Na odparcie tego argumentu Russell był akurat przygotowany.

- Zrozum, że nie istniejesz już dla niego jako Tina, jego córka. Przecież sama widziałaś, kochanie: jeśli tylko ma on kogoś obok siebie, to jest mu najzupełniej obojętne, kim ta osoba w istocie jest. Przepraszam. Wiem, że to brzmi brutalnie, ale taka jest prawda.

- To nie chodzi tylko o niego... Ale i o mnie. A ja... muszę go widywać. Zamartwiłabym się na śmierć, będąc gdzieś daleko...

- Przecież będziesz tu mogła przyjeżdżać, ile razy zechcesz. Jake i Ruby będą go na pewno często odwiedzali. A ty powinnaś skłonić Beccę, aby również to robiła. Przecież to jest jej obowiązek.

- Ale pomyśl, Russell! Jest przecież jeszcze ranczo, no i... Jake i Ruby. A co do Becci, to na niej absolutnie nie można polegać. Taka już jest.- Od natłoku myśli zakręciło jej się w głowie; tyle spraw należało jeszcze rozważyć...

- Ranczo naprawdę nie stanowi już teraz problemu. Sądziłem, że skoro Tim znalazł się w Fairhope, to po prostu wystawisz je na sprzedaż. Przecież nie dasz rady go prowadzić. Chyba nie zamierzasz nawet próbować?

- Sama nie wiem. W końcu był to mój dom... od tak dawna. Ale nawet nie o to chodzi. A Jake i Ruby? Gdzie by się

wówczas podzieli? Co by mieli ze sobą począć? Oni także mieszkali tu tak długo...

Russell najchętniej powiedziałby teraz Tinie o chorobie Jake'a i o tym, że Ruby marzy, by przeprowadzić się bliżej córki. Nie mógł jednak tego zrobić, gdyż złamałby obietnicę dyskrecji, jaką złożył Jake'owi. Dla Tiny byłyby to argumenty bardzo ważne. Uciekł się jednak tylko do ogólników:

- W końcu przecież oni są coraz starsi. Wkraczają w taką fazę życia, w której powinno się funkcjonować na zwolnionych obrotach.

Tina odetchnęła głęboko i ponownie wtuliła się w jego ramiona.

- Nie wiem. No... sama już nie wiem. Zupełnie się w tym wszystkim pogubiłam.

Russell przez długą chwilę milczał. Pocałował ją kilka razy w czubek głowy i pogładził po włosach.

- A czy chciałabyś w ogóle ze mną tam pojechać? - spytał wreszcie.

- Co takiego?

- Zapomnij na chwilę o wszystkim. Wyobraź sobie, że te wszystkie przeszkody po prostu gdzieś zniknęły. I wówczas odpowiedz na to jedno jedyne pytanie: czy chciałabyś ze mną wyjechać do Kalifornii?

- Bardzo bym chciała. Na pewno.

- Zaraz, zaraz... Nie stawiamy wozu przed koniem. Powinienem cię najpierw zapytać, czy chciałabyś mnie poślubić.

- Na niczym mi tak bardzo nie zależy. Przecież cię kocham. - To przynajmniej mogła powiedzieć bez chwili wahania.

- Czy nie sądzisz, że zasłużyłaś sobie na to, by móc wreszcie pomyśleć o sobie?

Tinie nie wydawało się to wszystko takie proste. Nigdy nie była osobą impulsywną i skłoną do podejmowania por chopnych decyzji - nawet w czasach, gdy wiodła życie wolne od trosk i zmartwień. Teraz wydawało jej się, że najbardziej śmiałą decyzją, jaką kiedyś podjęła, była rezygnacja z kontynuowania studiów i małżeństwo z Paulem. Ojciec zaklinał ją wówczas, aby nie rzuciła nauki. I rzeczywiście, wszystko razem skończyło się nie najlepiej.

- To nie takie proste, Russell. Przynajmniej dla mnie nie takie proste. Muszę się nad tym dobrze zastanowić.

- Oczywiście, kochanie. Przecież to nie jest sprawa na jutro. To, co proponowałem, wymaga długich przygotowań. Wiesz już, czym dla mnie jesteś i czego najbardziej bym pragnął. A teraz najlepiej będzie, jeśli się z tym spokojnie prześpisz. Ranek jest mądrzejszy ód wieczora. Zgoda?

Spokojnie zasnął jednak tylko Russell. Mijały godziny, a Tina prawie nie zmrużyła oka. Jego oferta to bilet do raj, ale bynajmniej nie bezpłatny. Cena była wysoka. Wszystko, co znajome i bliskie, należało pozostawić za sobą i rozpocząć nowe życie na odległym krańcu kontynentu. Z tym ostatecznie by sobie poradziła, ale jak mogłaby odwiedzić ojca? Chyba tylko korzystając z samolotu. To prawda, że Tim zdawał się jej nie poznawać, ale skoro nikt właściwie nie wie, jak funkcjonuje mózg człowieka dotkniętego chorobą Alzheimer, to nigdy nie będzie pewności. Przecież równie dobrze może on teraz siedzieć w swoim pokoju i zastanawiać się, gdzie ona odeszła. Sama myśl o tym wywoływała w niej dreszcz. Planowała przecież, że będzie go odwiedzała kilka razy w tygodniu, poświęcając mu większość swego czasu. Poczucie winy zdążyło się już w niej

zagnieździć na dobre, a teraz nasiliło się, przygważdżając ją jak kamienna lawina.

Starając się stłumić szelest poduszki, oparła się na łokciu i zaczęła wpatrywać w śpiącego u jej boku Russella. Od chwili gdy zostali kochankami, minęło już kilką tygodni - i był to dla niej bardzo dobry czas. Dzięki Russellowi nie czuła się stale zmęczona, napięta i otepiała; jakby odzyskała świadomość własnej kobiecości, młodość i radość życia. Nie bardzo wyobrażała sobie, jak mogłaby wyrzec się tego i powrócić do swego poprzedniego wcielenia, stać się znów przygnębiającą, obciążoną wielkimi problemami istotą, o której myślała już teraz jak o kimś obcym?

Bezsprzecznie była w nim zakochana i bardzo zależało jej na tym, co jej zaoferował. Dlatego też przepowiedziała sobie w myślach kilka spraw. Kim jest dla Russella? Okazało się, że kimś bardzo ważnym. A dla jej ojca? Nie wiadomo, ale najprawdopodobniej nie znaczy dla niego nic. Absolutnie nic. Nie istnieje po prostu w jego świadomości. I nie ma w tym niczyjej winy. Stało się tak za sprawą tej przekłetej choroby. Robiła dla ojca wszystko, co tylko mogła. Czy nie zasłużyła sobie w końcu na odrobinę własnego szczęścia?

Położyła delikatnie rękę na piersi Russella. Czuła, jak równo i mocno bije mu serce. Kochał ją! I chciał wraz z nią spełnić swe marzenia. Jakże to było kuszące!

Nie dawała jej jednak spokoju pewna natrętna myśl. Wiedziała, że nie powinna być tak zaborcza, ale zależało jej jeszcze na czymś. Chciałaby usłyszeć od niego, że jeśli nie zdecyduje się pojechać z nim do Kalifornii, to on zostanie z nią tutaj.

Nazajutrz, gdy Tina zesła wreszcie na dół, Ruby poinform-

mowała ją, że Jake i Russell pojechali do Leatrice, aby naprawić dżipa, który zaczął ostatnio szwankować.

- O Boże, Tino, okropnie dziś wyglądasz. Miałaś złą noc? - spytała z troską w głosie.

- Bardzo złą. Dopiero po czwartej udało mi się jakoś usnąć.

- Martwisz się o Tima?

- Tak. I o sto innych rzeczy. - Tina naląła filiżankę kawy i zaniósła ją na stół.

- Zrobię ci coś do jedzenia - zaproponowała Ruby.

- Nie zwracaj sobie głowy. Zjem grzanekę albo bułkę. Za późno już na porządne śniadanie.

Tina piła kawę i pogrążyła się w rozmyślaniach. Rzeczywiście miała nadzieję, że rano okaże się mądrzejszy od wieczora, ale tak się nie stało. Nadal, nie wiedziała, co ma robić. Jej pierwsze myśli po obudzeniu dotyczyły ojca: jak mu się spało, jak tam o niego dbają, co zjadł na śniadanie. A następnie dotyczyły już Russella i tego, z czym jej się kojarzył: miłości i swobody. W głowie miała takie samo zamieszanie jak wczoraj.

- Nie chcesz pogadać? - zagadnęła ją Ruby.

Tina odstawiła filiżankę i spojrzała na nią.

- Muszę podjąć bardzo ważną decyzję.

- Myślałam, że najważniejszą decyzję masz już za sobą.

- Wyobraź sobie, że... Russell poprosił mnie o rękę. Ale na tym nie koniec: on chce, żebym wyjechała z nim do Kalifornii.

Ruby przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Tinę rozszereżonymi ze zdumienia oczami.

- I wyjedziesz? - wybąkała.

- Och, Ruby! - Tina wzięła głęboki wdech. - Nie bardzo

wiem, jak mogłabym to zrobić. Próbuję znaleźć wszelkie możliwe wykręty, ale w końcu i tak wracam myślami do tatusia. Obawiam się, że martwiłabym się o niego bez przerwy, a czy to byłby dobry początek dla małżeństwa?

- A chcesz za niego wyjść? - spytała rzeczowo Ruby, która najwyraźniej już ochłonęła.

- No pewnie. - Tina rozpromieniła się nagle. - Jeśli przypadkiem tego nie zauważyłaś, to powiem ci tyle: zupełnie zwariowałam na punkcie tego faceta.

- I chcesz z nim jechać do Kalifornii?

- Byłoby wspaniale, ale... to tak strasznie daleko... - Tina zasepiła się nagle. - Dlaczego ten Russell nie wymarzył sobie jakiegoś bliższego miejsca?

- Słuchaj, Tino! Przez całe miesiące, dwadzieścia cztery godziny na dobę, zajmowałaś się Timem. Kolej teraz na Becce. Trzeba jej kazać, żeby ruszyła ten swój ciężki tyłek i posiedziała z nim po parę godzin trzy razy w tygodniu.

- Sama wiesz, że nie można na niej polegać.

- Jakby na mnie popadło, to bym ją tam za uszy przyprowadziła!

Tina uśmiechnęła się. Rzeczywiście, Ruby potrafiłaby to zrobić.

- Masz szansę ułożyć sobie życie od nowa - nalegała Ruby. - Nie rezygnuj z tego. Obiecuję ci, że będziemy odwiedzali Tima przynajmniej raz na tydzień. Mogę przecież regularnie pisywać do ciebie listy. Będiesz wiedziała na bieżąco, co się u niego dzieje.

Entuzjastyczne namowy do wyjazdu w ustach Ruby? Tinę zdecydowanie to zaskoczyło. Od czasu gdy Joan i Becca wyprowadziły się do Amarillo, pełniła wobec niej rolę matki i opiekunki. Tina oczekiwała więc raczej, że do perspektywy

jej wyjazdu odniesie się niechętnie, będzie miała jakieś wątpliwości i zastrzeżenia.

- Wiesz, Ruby, tu nie chodzi tylko o tatusia. Ty i Jake też się przecież liczycie. To ranczo było także i waszym domem.

- Tino! Nami się naprawdę nie przejmuj. Bo właściwie, to... - Spuściła na chwilę oczy. - Właściwie wcześniej powinnam o tym z tobą porozmawiać. Chodzi o Connie. Wpadła po uszy z tymi dziećmi. Szczególnie z Alejandro. I naprawdę bardzo mnie teraz potrzebuje. Dopóki Tim mieszkał tutaj, to nie było o niczym mowy. Ale teraz, gdy już jest tam... Miałam ci zamiar powiedzieć, że chcę odejść.

- Odejść?! - krzyknęła Tina.

- Connie chciałyby, żebyśmy oboje z Jakiem przeprowadzili się do nich. Ale ja nie jestem taka głupia. Dokładnie wiem, na czym by się to skończyło. Connie zostawiłaby cały kram na mojej głowie i poszłyby z powrotem uczyć do szkoły. Ani mi się śni na to zgodzić. Ale pomóc jej jakoś muszę. I dlatego chcielibyśmy z Jakiem kupić sobie jakiś domek gdzieś bliżej niej. On się co prawda zaklina, że nie ruszy się stąd, dopóki jest ci tutaj potrzebny, aleja się strasznie o niego boję. Ten kręgosłup któregoś dnia kompletnie go wykończy. Powinien sobie dać spokój z taką robotą. To już nie dla niego.

Tinę zaskoczyło to, ale i przeraziło.

- Gdzież ja byłam przez ten cały czas? Żyłam jak z opaską na oczach. Czy nic do mnie nie docierało?

- Nie chcieliśmy ci zwracać głowy swoimi kłopotami. Dość miałaś własnych. - Ruby sięgnęła przez stół i położyła rękę na dłoni Tiny. - Wiesz, mała, zawsze byłaś dla mnie jak własne dziecko. Do głowy by mi nie przyszło zostawić cię wtedy, gdy miałaś tu pod opieką Tima. Twoje kłopoty tym się

różnią od kłopotów Conne, że ty się sama o nie nie prosiłaś. A Connie napytała siebie biedy, chociaż jej się sto razy mówiło... Ale cóż! Teraz będę musiała jej pomóc. Choć trudno będzie mi się rozstać z tym ranczem...

- Och, Ruby! To wszystko stało się tak nagle...

- Wyjedź z nim. To dobry człowiek. Nie zawiedziesz się na nim. Nie trać tej szansy.

A więc i tak czeka ją rozstanie. Na pewno z Ruby, a może i z Jakiem. To powinno jej ułatwić podjęcie decyzji. Ranczo - tak czy inaczej - należało wystawić na sprzedaż. I to wszystko stałoby się nawet wtedy, gdyby nie pojawił się w jej życiu Russell... Dlaczego więc nadal nie wie, co począć?

Dopiła kawę, wstała od stołu i zaniósła filiżankę do zlewozmywaka.

- Nie zwracaj sobie dziś głowy sprzątaniami. Świat się nie zawali, jeśli przez jedną sobotę dom nie będzie odkurzony. Pojadę zobaczyć się z tatusiem.

- Tino! Przecież wczoraj tam byłaś...

- Wiem. Ale chcę się dowiedzieć, jak spał i czy zjadł kolację i śniadanie.

- A nie możesz zadzwonić? Przecież sama nic nie jadłaś.

- Zjem coś w mieście. Muszę go po prostu zobaczyć.

- Zdjęła z haczyka przy drzwiach kluczyki od furgonetki. - Nie czekajcie na mnie z... z niczym nie czekajcie.

Rzeczywiście pragnęła zobaczyć się z ojcem, ale to nie był jedyny powód, dla którego zdecydowała się jechać do Fairhope. Chciała również porozmawiać z Edną Lowell. Na spotkaniach grupy wsparcia nauczono ją, że rozmowa z jakąś nie uwikłaną w sytuację osobą trzecią pozwala czasem znaleźć właściwe rozwiązanie problemu.

Kiedy dojechała do Fairhope, dochodziła jedenasta.

Skończyły się już poranne kąpiele, rozdano lekarstwa, wszyscy pensjonariusze byli ubrani i rozpoczęły się codzienne zajęcia rekreacyjne. Tina zajrzała najpierw do świetlicy i saloniku telewizyjnego. Ojca tam nie było, udała się więc do jego pokoju. Sięgnęła do klamki i w tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie. Na korytarz wyszedł jeden z młodych pielęgniarzy - uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Czy pan Webster i pan Chesterton są u siebie?

- Tak, proszę pani.

- Jak się miewają?

- Od rana obaj są w świetnym nastroju. Generał Mac Arthur obiecał właśnie powrócić na Filipiny.

Tina weszła do pokoju i zdążyła usłyszeć, jak Harve kończy swoją kwestię:

- MacArthur nie miał praktycznie żadnego wyboru. Musiał udać się do Australii, wykonując rozkaz Roosevelta. Przecież to nie on był w końcu, do cholery, prezydentem.

- Dzień dobry panom! - powitała ich radośnie.

Harve obrócił się w jej stronę na krześle.

- A... dzień dobry, Tino! Proszę, serdecznie zapraszamy.

Spojrzała na ojca. Był wyraźnie niezadowolony, że przerwała im rozmowę. Nie zrażona tym, podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

- Dobrze ci się spało?

- Spał jak suszeł - odpowiedział Harve.

- A jak ze śniadaniem? - Tina ponownie zwróciła się do ojca.

- Zjadł omlet i dwa biszkopty - pośpieszył z odpowiedzią Harve. - A ja zjadłem jego kiełbasę, bo nie miał na nią ochoty. A teraz sobie wspominamy stare dzieje. I okazuje się, że Tim nie ceni MacArthura tak wysoko jak ja.

Przekorny duch z tego ojca - pomyślała. Tim Webster odnosił się zawsze do generała z nabożną niemal czcią.

- Może być została i zjadła z nami lunch, Tino? - zaproponował Harve. - Jedzenie jest tu bardzo dobre. Pierwszorzędne.

- To świetny pomysł - odparła. - Chciałam tylko przedtem porozmawiać z Edną. Czy któryś z was nie potrzebuje czegoś z kiosku?

- Nie. Mamy jeszcze parę spraw do obgadania. Prawda, Tim?

Ojciec mruknął coś i przytaknął skinieniem głowy.

- No to do zobaczenia na lunchu.

Zatrzymała się na chwilę w korytarzu, aby przemyśleć to, czego była przed chwilą świadkiem. Ojciec był gładko ogolony i ubrany w świeżo wyprasowaną koszulę i luźne spodnie. Miał towarzystwo; nie siedział osamotniony gdzieś w kącie. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, pozwalając, by Harve odpowiedział na wszystkie jej pytania, ale w końcu... Używała przynajmniej prawdziwe odpowiedzi. Tim zapewne nie pamiętał, czy jadł śniadanie - nie mówiąc już o tym, co na nie jadł. Ale to były drobiazgi. Największe wrażenie wywarło na niej to, w jaki sposób ojciec na nią - a raczej przez nią - patrzył. Po prostu jak przez szkło. Nie odezwał się do niej ani słowem. I również w żaden inny sposób nie zareagował na jej pojawienie się. W domu sytuacja niejako zmuszała go do tego, by ją zauważał. Mógł nie wiedzieć, kim ona jest, ale niezależnie od tego stanowiła jakby stałą część jego otoczenia. A teraz całkowicie się to skończyło.

Nie powinnam o tym myśleć W ten sposób - strofowała się w duchu. Wyprostowała plecy i powędrowała korytarzem w kierunku frontowego wejścia, gdzie mieściło się biuro. Re-

cepcjonistka powiedziała jej, że Edna jest w swoim gabinecie i przyjmie ją natychmiast.

- Dzień dobry, Tino. Siadaj, proszę. Nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

- Czuję się trochę tak jak matka, która oddała swoje najstarsze dziecko doprzedzszkola.

Edna uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Pierwszy dzień wypadł znakomicie. Wygląda na to, że twój ojciec i Harve świetnie się dogadują.

Tina spłotła dłonie i poprawiła się na krześle.

- Chciałam oczywiście zobaczyć się z ojcem, ale właściwie przyjechałam głównie po to, by porozmawiać z tobą.

- Cieszę się. Po to właśnie tu jestem.

Tina nagle poczuła się nieswojo. Trudno zwierzać się ze spraw tak bardzo osobistych osobie, której prawie się nie zna. Mimo to - zgodnie z powziętym uprzednio postanowieniem - zaczęła w końcu mówić. Opowiedziała, w miarę możliwości zwięźle i konkretnie, o sprawie z Russellem i Kalifornią. W tym momencie Edna wiedziała już, oczywiście, o co jej naprawdę chodzi.

- Rozumiem twój dylemat. Chciałabyś wiedzieć, czy w sytuacji, gdy twój ojciec tu przebywa, masz moralne prawo wyjechać... Czy choćby nawet rozważyć taką ewentualność. Prawda?

- Tak.

Edna potarła ołówkiem policzek i przez dłuższą chwilę milczała. Wyglądała na bardzo skupioną.

- Nie mam tu pod ręką dokumentacji pana Webstera, ale wydaje mi się, że wedle tego, co mi mówiłaś, żyło mu się bardzo dobrze.

- Tak. Sądzę, że był ze swego życia bardzo zadowolony.

Nie bardzo wiem, jak przeżył rozwód... Wiesz, taki typ stu-procentowego mężczyzny nie zwierza się raczej z tego rodzaju spraw swojej córce. Ale poza tym... Zawsze robił tylko to, na co rzeczywiście miał ochotę. Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Był niezależnym człowiekiem, skrajnym indywidualistą. Czasem aż do przesady.

- No właśnie. Co prawda choroba Alzheimera nie koreluje z długowiecznością, należy się jednak liczyć z tym, że twój ojciec może jeszcze przeżyć dziesięć, dwanaście lat... Niestety, nie będą to lata dobre. Czytałaś na ten temat dostatecznie dużo i wiesz, czego się należy spodziewać.

- Wiem. Naturalnie - odparła Tina z westchnieniem.

- Natomiast dla ciebie najbliższe dziesięć lat może okazać się najlepszym okresem twego życia. Dwa ostatnie słono cię kosztowały, prawda?

- Och, tak! Czasami czułam się, jakby mnie z kimś zamieniono.

- Zdaje się, że wspominałaś mi o jakichś innych osobach z rodziny mieszkających w pobliżu. Chodzi o kogoś, z kim można by się było skontaktować w nagłym wypadku...

- Moja siostra mieszka w Amarillo. Numer jej telefonu znajdziesz w aktach ojca - powiedziała niepewnie Tina.

Przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, jak Becca mogłaby zareagować na telefoniczną wiadomość o chorobie ojca albo o jakimś wypadku.

Edna, po zastanowieniu, zaczęła wolno mówić, starannie dobierając słowa:

- Nie moją rzeczą jest radzić ci, co powinnaś, a czego nie powinnaś robić. Sama wiesz, że zrobiłaś dotąd wszystko, co tylko było możliwe. Ze swej strony mogę obiecać ci jedynie kilka rzeczy. Po pierwsze, opiekę nad twoim ojcem sprawo-

wać będą osoby kompetentne. Po drugie, staramy się o to, aby każdy z naszych pensjonariuszy miał jakiś kontakt ze światem. Tym, którzy nie mają rodzin, organizujemy wizyty wolontariuszy. Mamy taką grupę ludzi dobrej woli, którzy przychodzą tu w różnych dniach tygodnia, aby po prostu posiedzieć i pogawędzić z kimś samotnym. Będziemy zachęcali pana Webstera, aby robił wszystko, co może jeszcze robić. A więc aby chodził, jadł samodzielnie, tak długo, jak długo będzie to możliwe. Co zaś do całej reszty... -jednoznacznym gestem rozłożyła ręce - decyzja należy do ciebie. Przy czym... - zawahała się na moment - gdybym miała ci coś poradzić... tak prywatnie, to radziłabym ci, abyś z nim wyjechała.

Rozmawiała jeszcze przez kilka minut, głównie na temat przeszłości pana Webstera, po czym Tina podziękowała serdecznie Ednie, pożegnała się z nią i wróciła do pokoju ojca. Przez ten czas obaj panowie doszli już do momentu sromotnej kapitulacji wojsk amerykańskich na półwyspie Bataan. Gdyby nie zdawkowe skinienie głowy Harve'ego, Tina mogłaby sądzić, że jej pojawienie się nie zostało przez nikogo zarejestrowane. Usiadła sobie z boczku iw oczekiwaniu na lunch przeglądała jakieś ilustrowane pismo.

Jedzenie rzeczywiście okazało się wyśmienite, natomiast nadal nie było jej dane włączyć się do konwersacji: o drugiej wojnie światowej wiedziała raczej niewiele, a panowie interesowali się wyłącznie tym tematem. Tim odzywał się zresztą rzadziej - czasem trochę bez sensu i nie na temat - jednak Harve'emu zdawało się to w niczym nie przeszkadzać: po prostu mówił i mówił bez przerwy.

Pożegnawszy się z ojcem, Tina opuszczała Fairhope z mieszanymi uczuciami. Okropnym przeżyciem był dla niej

oczywiście fakt, że Tim kompletnie ją zignorował. Mimo to jednak jej samopoczucie znacznie się poprawiło: Nie musiała się już przynajmniej martwić o to, że kiedykolwiek może on za nią tęsknić.

Jadąc przez Amarillo, zdecydowała się natychmiast odwiedzić Beccę. Oczekiwała jakiejś współpracy i pomocy ze strony siostry i dlatego postanowiła o wszystkim ją poinformować. Od tego momentu, jeśli okaże się to konieczne, będzie się jej wprost naprzykrzać. W każdym razie przypominać - dosłownie co kilka dni - gdzie jest ojciec i jakie ma wobec niego obowiązki.

Spotkania z Beccą zwykle ją rozczarowywały. Wynosiła z nich niewiele więcej ponad to, iż każdorazowo przekonywała się, jak bardzo się od siebie różnią. Niemniej jednak - na jakiejś perwersyjnej zasadzie - gdy mijał pewien czas od ich ostatniego widzenia, zaczynała tęsknić za siostrą.

Zadzwoiła do niej z pierwszej napotkanej budki telefonicznej i dowiedziała się od służącej, że pani Jennings spędza popołudnie w domu swej matki. Wspaniale, pomyślała. W ten sposób uda jej się załatwić dwie wizyty za jednym zamachem.

- Tina! Co za niespodzianka! - powitała ją w drzwiach matka.

- Czy aby w niczym nie przeszkodziłam?

- Ależ skąd! Jest u mnie Becca. Wejdz, proszę.

W pokoju przywitała się z siostrą.

- Co cię sprowadza w sobotę do miasta? - spytała Joan.

- Coś się stało z ojcem?

- Owszem, stało. - Tina patrzyła wprost na Beccę. - Od wczoraj jest w zakładzie w Fairhope.

- Co ty mówisz? - Becca zmieniła się na twarzy.

- Tak. Wczoraj go odwiozłam. Słuchaj, Becca, mam tu mapę, z której zorientujesz się, jak tam dojechać. Obiecuj mi, że wkrótce się wybierzesz. Odwiedzisz go i przedstawiś się Ednie.

Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej mapę drogową i rozłożyła na stole. Becca pochyliła się nad nią, po czym wzdrygnęła się i cofnęła rękę.

- Odwiedziłam raz tego rodzaju zakład i nabawiłam się wielodniowej depresji.

- Niestety! Niewykluczone, że znowu się jej nabawisz. Ale to absolutnie konieczne, abyś go odwiedzała. A na pocieszenie mogę ci powiedzieć tyle: będziesz zdumiona atmosferą, jaka tam panuje. To niewiarygodne, ale jest tam wesoło. A w dodatku tatuś ma kolegę, którego uwielbia. Mieszkają razem w tym samym pokoju.

- Och, Tino! Musisz odczuwać ogromną ulgę. - Becca próbowała zmienić temat.

- Ulgę? - Tina zasępiła się. - Skończyły się pewne obowiązki, ale absolutnie nie odczuwam z tego powodu ulgi.

- Ale przecież musisz ją odczuwać, kochanie - wtrąciła się matka. - Ta stała opieka bardzo cię wyczerpywała.

- Jeśli cokolwiek czuję, mam, to raczej żal. Żal, że musiałam to zrobić.

- No, ale przynajmniej znowu możesz zająć się sobą.

I cóż zamierzasz teraz zrobić? Myślisz o sprzedaży rancza?

- Becca usilnie próbowała uciec od nieprzyjemnych tematów.

- Owszem. Ranczo pójdzie definitywnie na sprzedaż.

- A co potem? Przeprowadzisz się tu?

- Mam wam coś ważnego do powiedzenia. - Tina klasnęła w dłonie i radośnie się uśmiechnęła. - Właśnie złożono mi pewną bardzo intrygującą propozycję.

Becca i Joan nachyliły się w jej kierunku i całe zamieniły się w słuch.

- Propozycję pracy? - spytała matka.

- Nie. Russell mi się oświadczył. Po ślubie wyjechalibyśmy razem do Kalifornii.

Zapadło głucho milczenie. W mieszkaniu zrobiło się nagle tak cicho, że Tina miała wrażenie, jakby przestały tykać zegary i wyłączyła się lodówka. Matka i siostra wymieniły między sobą skonsternowane spojrzenia, po czym obie wbiły wzrok w Tinę. Przyglądały się jej z wyrazem absolutnego zaskoczenia i dezaprobaty w oczach. W końcu Becca przerwała milczenie.

- Czy masz na myśli człowieka, który pracuje w twoim gospodarstwie? - Jej głos stał się skrzekliwy ze zdenerwowania. - Tego... tego kierowcę?

- A dlaczego mówisz to takim tonem? - wybuchnęła Tina. - Słyszac cię, można by odnieść wrażenie, że prowadzenie ciężarówki samo w sobie jest łajdactwem. Dlaczego niby ten zawód ma być mniej wart niż budowanie domów, hodowanie bydła, czy.... czy zakładanie prawidełek na krzywe dziecięce zęby? Co ty, na litość boską, sobie myślisz?

- A więc to o niego chodzi! - Becca teatralnym gestem przycisnęła dłoń do serca. Gdyby to był dziewiętnasty wiek, pewnie natychmiast by zemdląca, pomyślała Tina. - Naprawdę mogłabyś znacznie lepiej ułożyć sobie życie.

- A co ty możesz powiedzieć na ten temat? Przecież absolutnie nic o nim nie wiesz. On jest najcudowniejszym, najmiłszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Potrafił wspaniale opiekować się tatusiem. Okazał mi więcej pomocy i zrozumienia niż... niż...-nie dokończyła.

- Och, moja droga! - powiedziała zbolalym głosem matka. - Jak coś podobnego w ogóle mogło przyjść ci do głowy?

- Z bardzo prostego powodu, mamusi. Pokochałam go i tyle.

Becca gwałtownie pokręciła głową.

- Absolutnie nie przyjmuję tego do wiadomości. Zbyt długo siedziałaś sama jak palec na tym odludziu. Zjawił się jakiś facet i...

- Bez przesady. Przedtem też zjawiali się różni. Nie jestem znowu taka podatna na...

- A co będzie z Pauliem?

- Z Pauliem?! - krzyknęła Tina. - A co Paul ma z tym wspólnego?

- Mówił mi, że był u ciebie.

- Owszem, był.

- Mówił mi, że pisał do ciebie.

- Owszem, pisał. I co z tego? Odkąd to jesteście w tak zażyłych kontaktach?

- Myślałam po prostu... Miałam nadzieję...

- Daj sobie z tym raz na zawsze spokój! Mówiłam ci, że nie jestem znowu taka podatna... także i na jego urok. Nie jestem również impulsywna. Nie myślisz chyba, że odeszłam od niego w napadzie złości. Kochałam go, a on zawiódł moje zaufanie. Długo rozważałam, jaki jest mój stosunek do niewierności w małżeństwie. I decyzja, aby się z nim rozwieść, była wynikiem tych rozważań.

- O Boże! - krzyknęła Becca. - Przecież każdy mężczyzna ma jakieś tam wysoki. Dlaczego jesteś taka naiwna?

- Nie chce mi się wierzyć, że tak naprawdę myślisz.

Becca spojrzała bezradnie na Joan, po czym zdecydowała się zagrać swą ostatnią, kartą.

- A co będzie z tatusiem? - spytała, zniżając głos. - Czy uczciwie jest ulokować go w takim miejscu i wyjechać sobie?

Tego było już za wiele! Tina poderwała się z miejsca. Nigdy w życiu nie była tak bliska wybuchu nie kontrolowanej furii.

- Słuchaj, Becco! Od ponad dwóch lat poświęcałam ojcu każdą chwilę. Byłam z nim od świtu do nocy. Goliłam go, ubierałam, karmiłam, strzygłam mu włosy, woziłam go do lekarza, dawałam mu lekarstwa, odpowiadałam po sto razy na te same, niezliczone pytania. I bez przerwy się o niego martwiłam. Gdy okazało się, że nie jestem już w stanie zapewnić mu należytej opieki, znalazłam dla niego najlepsze możliwe miejsce. Takie, w którym jest teraz bezpieczny. A co ty dla niego zrobiłaś przez cały ten czas? Nic! Absolutnie nic! Nie chciało ci się nawet go odwiedzać. Nigdy więcej nie waż się używać wobec mnie takich argumentów.

Becca i Joan, zaszokowane jej wybuchem, siedziały jak skamieniałe.

Tina ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Wybaczcie, ale muszę już jechać do domu. Nie odprowadzajcie mnie do drzwi. Jakoś się skontaktujemy.

Gdy znalazła się na ulicy, była tak roztrzęsiona, że musiała obejść kilka razy furgonetkę. Dopiero po chwili opanowała się na tyle, by móc usiąść za kierownicą. O Boże! Ależ ta Becca jest bezczelna! Po co wyjechała od razu z tym „odczuwaniem ulgi”. Tak jakby rzeczywiście zdarzyło się coś, na co ktoś drugi z utęsknieniem czekał. Tinę można było podejrzewać o różne uczucia, ale ulgi z pewnością nie odczuwała. Ani przez moment.

Przez całą drogę do domu nie opuszczała jej złość. Po co się w ogóle nimi przejmuję? - zastanawiała się. Każde spotkanie z nimi przypłacam zdenerwowaniem. A ten ich lekceważący stosunek do Russella naprawdę był już szczytem

wszystkiego. Miarka się przebrała. Zdecydowała, że od tej pory nie zadzwoni pierwsza do żadnej z nich.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Becca nie wspomniała ani słowem o pieniądzach. To ona właśnie od początku powtarzała, że ojciec powinien zostać umieszczony w zakładzie. A gdy wreszcie to się stało, nie uważała za stosowne spytać choćby o to, w jaki sposób będą finansowane koszty opieki nad nim. Tina była przekonana, że na miejscu Becci zadałaby to pytanie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że Tim z własnych funduszy opłaca swój pobyt w Fairhope. Tyle że Becca oczywiście o tym nie wie. Tina myślała czasem, że siostrze coś się poprzestawiało w głowie od nadmiaru pieniędzy - rzeczywiście miała ich masę, od dawna, co między innymi spowodowało w jej przypadku kompletne nieliczenie się z tym, że jakieś rzeczy kosztują. Takie tłumaczenie w niczym zresztą nie poprawiło Tinie nastroju: wiedziała, że dopóki ojciec żyje, ona będzie zmuszona myśleć o pieniądzach.

Zanim dotarła do domu, ochłonęła na tyle, by móc względnie spokojnie opowiedzieć Ruby o tym, co się stało. Ta oczywiście okazała jej pełne zrozumienie i sympatię, Zachowanie Becci i Joan uznała za oburzające. O żadnej z nich zresztą nie miała dobrego mniemania.

- A co u Tima? - spytała.

- W jakimś sensie były to dla mnie smutne odwiedziny.

Nie skinął nawet głową na mój widok. Ale cieszę się, że jest całkowicie zauroczony towarzyszem z pokoju. Słucha nabożnie każdego jego słowa. Mnie nigdy nie zaszczycił takim zainteresowaniem. Mam nadzieję, że potrwa to dłużej. - Westchnęła i rozejrzała się dokoła. - Trzeba coś zrobić w domu?

- Absolutnie nic. Kompletny spokój. Kilkanaście razy

złapałam się na tym, że idę do salonu sprawdzić, co się dzieje z Timem. Musi upłynąć trochę czasu, zanim człowiek sobie w pełni uświadomi, że już go tu nie ma.

- Wiem. Ze mną jest to samo. Gdy tylko się obudziłam, natychmiast powędrowałam do jego pokoju. I widok posłanego łóżka był dla mnie prawdziwym szokiem. Mężczyźni wrócili?

- Jeszcze nie. Widać Leon musiał znaleźć jakiś poważny defekt w tym dziepie.

Tina ponownie rozejrzała się dokoła. Nie bardzo wiedziała, po co to robi. Jakie to dziwne uczucie, mieć nagle tyle wolnego czasu - pomyślała.

- Jeśli rzeczywiście nie ma tu nic do roboty, to chyba pójdę na górę poczytać.

- Właśnie zamierzałam zrobić to samo - rzekła Ruby.

Tina poszła na górę, położyła się wygodnie i otworzyła książkę. Po pięciu minutach spała jak kamień.

Poczuła, że ktoś ją budzi, delikatnie potrząsając za ramiona. Otworzyła oczy, zamknęła i ponownie otworzyła. Przeciągnęła się i uniosła odrobinę. W pełni rozbudzona, ujrzała nachyloną nad sobą, uśmiechniętą twarz Russella.

- Śpiąca królowno! Już po szóstej. Zaraz będzie kolacja.

- Niemożliwe! Wierzyć mi się nie chce, że spałam tak długo. Kiedy wróciłeś?

- Jakąs godzinę temu. Dniówka w garażu Shawa to nie jest mój ulubiony sposób spędzania czasu. Co u Tima?

- Wszystko w porządku. Zapatrzony w tego Harve'ego.

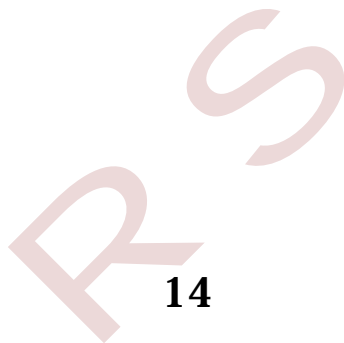
- Uniosła w górę ramiona i wplotła mu palce we włosy. - Dostanę całusa?

- Jednego. Dla poprawy apetytu.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Usta miał ciepłe i odrobinę jakby słone. Gdy tylko przestał ją całować, wydała z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk - wyraz skrajnego zadowolenia.

- Russell? - powiedziała zduszonym szeptem. - Jedźmy do Kalifornii.

RS



Russell nie posiadał się z radości. Wyjeżdżając z Red Star wyobrażał sobie co prawda, że osiedliwszy się w swym wymarzonym miejscu znajdzie z czasem kobietę, z którą spędzi resztę życia. A tu nagle wszystko ułożyło się w odwrotnej kolejności - i to było wspaniałe. Wyrzebał ze swoich rzeczy przewodniki turystyczne po Kalifornii i dał Tinie, aby mogła w wolnych chwilach je przejrzeć. Teraz znowu - tak, jak w pierwszych dniach pobytu na ranczu - opowiadał bez przerwy o północnym wybrzeżu. Wtedy się ożywał, oczy zaczynały mu lśnić, a głos drżał. Widać było, że nie może się wprost

doczekać, kiedy tam się wreszcie znajdą. Chciał nawet, aby wzięli ślub w pewnym małym kościółku, który wypatrzył kiedyś po drodze. Dla Tiny stało się jasne, że nigdy nie przestał o tym myśleć. Nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później i tak musiałby tam pojechać. Bez względu na to, co by się działo. Dzięki Bogu, jej sytuacja zmieniła się na tyle, że mogła tam z nim wyruszyć.

Pozostało jednak jeszcze sporo rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim należało się skontaktować z pośrednikiem sprzedaży nieruchomości. W końcu przybył on na ranczo i spędził z nimi prawie cały dzień. Jake obwiał go po terenie, a Tina wertowała razem z nim buchalterie. Pośrednik - niejaki Oscar Stilwell - zapewnił ich, że jego agencja bez trudu znajdzie nabywcę i że jest to wyłącznie kwestia czasu. Podał Tinie szacunkową wycenę nieruchomości i przybił przy bramie wjazdowej tabliczkę z napisem: „Posiadłość wystawiona na sprzedaż”. Od tej pory, gdy przejeżdżała obok niej, za każdym razem ogarniał ją jakiś nieokreślony żal i smutek.

Nadal bowiem nachodziły ją wątpliwości. Tyle że nie trwały one długo. Wystarczyło, by poszła do łóżka z Russellem i jej pewność, że dokonała najmądrzejszego wyboru w swym życiu, natychmiast wracała.

Przedstawiła także swe plany na zebraniu grupy wsparcia. Kathryn bez reszty zaaprobowała jej decyzję.

- Dostatecznie długo poświęcałaś całe swe życie ojcu, Tino - powiedziała. - Pora zająć się sobą. Szczęście jest czymś zbyt ulotnym, by ryzykować jego utratę przez bezzasadne poczucie winy. Odwiedzanie chorego w zakładzie jest w tym momencie oczywistym obowiązkiem pozostałych członków waszej rodziny.

A życie dalej toczyło się normalnie. Tina dwa razy w tygo-

dnia odwiedzała ojca. Czasem towarzyszył jej Russell, ale zwykle jeździła tam sama. Często odnosiła wrażenie, że te wizyty są jedną wielką stratą czasu i energii. Ojciec bardzo rzadko się do niej odzywał; był absolutnie zafascynowany swoim nowym znajomym. Gdy Harve wstawał, on także podnosił się z miejsca. Gdy tamten wychodził do sali rekreacyjnej, było absolutnie pewne, że Tim natychmiast podąży za nim jak cień. Tina zastanawiała się, czy ojciec nie próbuje towarzyszyć biednemu Harve'emu również i wtedy, gdy wybiera się on do toalety.

Po kilku wizytach spytała Ednę, czy nie ma w tym czegoś nienormalnego.

- Nie - odparła kobieta. - Chyba że Harve zacząłby przeciwko temu protestować. A na to się nie zanosí. Pacjenci z demencją często się tak zachowują: znajdują sobie przewodnika, który służy im jako tarcza bezpieczeństwa. Na razie wszystko dzieje się, by tak rzec, za obopólną zgodą i porozumieniem. Harve'emu zależy na tym, by mieć adoratora, a Timowi przyjaźń z nim zapewnia poczucie bezpieczeństwa.

Tina miała jednak nadal wątpliwości. Ten układ wydawał jej się jakiś chory. Oczywiście, należało pamiętać o tym, że jej ojciec nie jest zdrowym człowiekiem i do niczego, co robi, nie można przykładać normalnej miary. I tak funkcjonował lepiej, niż wyobrażała to sobie w najśmielszych marzeniach.

Z tabunu ewentualnych nabywców, których przybycie zapowiadał Oscar Stilwell, pojawiło się zaledwie dwóch. Ze sprzedaży nic zresztą nie wyszło: jeden z nich chciał kupić większe gospodarstwo, drugi nie aż tak duże. Pośrednik zaczął mnożyć trudności. Koniunktura, jego zdaniem, była zła. Zbyt wiele gospodarstw rolnych naraz wystawiono na sprze-

daż, warunki dyktowali więc nabywcy. W rezultacie mijały tygodnie, a Russell coraz bardziej się niecierpliwił.

- Słuchaj, kochanie. Czy naprawdę koniecznie musimy czekać do czasu, gdy ranczo zostanie sprzedane? Przecież to może potrwać jeszcze całe miesiące albo lata.

- Boję się, że gdybym wyjechała wcześniej, wszystko uległoby dewastacji - tłumaczyła mu Tina. - Poza tym okropnie bym nie chciała, by kukurydza i bawełna zgniły nie zebrane. No i... wybaczyć, że jestem małosłowna, ale chodzi tu także o pieniądze.

- Przecież sam mogę wszystkiego dopilnować - zaproponował Jake. - Wcale mi nie zależy, żeby tak od razu przeprowadzić się blisko dzieciaków. Ruby zdąży się jeszcze nimi nacieszyć. Mogę zostać na ranczu.

- Och, Jake! Absolutnie nie mam prawa cię o to prosić!

- Przecież o nic mnie nie prosiłaś. Sam ci to zaproponowałem.

- No, jeśli tak... Na pewno zdjąłbyś mi z głowy ogromny kłopot. Zostawiłabym ci dżipa i furgonetkę. Mają już taki przebieg, że nie bardzo jest sens je sprzedawać. A tobie chyba by się tu przydały.

- No pewnie. Tym dżipem jeżdżę od tak dawna, że się do niego przyzwyczaiłem jak do własnej ręki. Nie bardzo bym wiedział, co bez niego począć. A tak to zostałyby wszystko, choć na pewien czas, po staremu.

Tina uśmiechnęła się. Bardzo to było dziwne, ale często myślała podobnie jak Jake. Teraz - gdy nie była już przeciążona obowiązkami i miała przy sobie Russella - na ranczu było jej po prostu dobrze. Niby nie chciała go zachować, ale... Należało przecież od tyłu pokoleń do jej rodziny... Wychowała się na nim, dorastała... Nie dalej niż

poprzedniej nocy, leżąc obok śpiącego Russella, pomyślała nagle, że najbardziej by chciała, aby wszystko mogło pozostać tak, jak było. I dopiero po chwili uświadomiła sobie, że takie myślenie jest bardzo egoistyczne. Gdyby bowiem tak się stało, to wówczas Russell zostałby obrabowany ze swych marzeń. Do tego nie mogła dopuścić. Kocha go i dlatego wyjedzie z nim do Kalifornii. Mimo że gdy tylko o tym pomyśli, czuje ucisk w żołądku. Bo jakże to? Wyjechać - ot, tak sobie porzucić to wszystko —i być może nie wrócić tu nigdy więcej?

Te myśli były dla niej w jakimś sensie zaskoczeniem. Nigdy nie podejrzewała, że żywi jakieś sentymenty wobec tego, co ludzie nazywają ojcowizną. Co prawda rodzinne opowieści z okresu pionierskiego osadnictwa trafiały do romantycznej strony jej natury, a w życiu na wsi potrafiła odnaleźć coś, co daje spokój i odprężenie. Czuła jednak, że jest bardziej związana z ukochanym mężczyzną niż z tym miejscem. I dlatego gotowa była wyjechać z nim do Kalifornii.

- Kiedy chciałbyś wyruszyć? - zwróciła się do Russella.

Siedział obok w milczeniu i czekał, jak ona potraktuje propozycję Jake'a.

- Za tydzień. Najdalej dwa.

Skinęła głową i bezradnie rozejrzała się dokoła.

- O Boże! - westchnęła. - Przecież w tym domu są tysiące różnych rzeczy. Większość z nich była tu, zanim się jeszcze urodziłam. Co ja mam z tym wszystkim zrobić?

Russell także nie bardzo wiedział, co z tym począć. Jego własny dobytek nigdy nie przekraczał objętości bagażnika samochodu.

- Powinnaś chyba sporządzić listę tego, co będzie ci potrzebne, gdy się już osiedlimy. Jake mógłby to potem przesłać

przez jakieś przedsiębiorstwo zajmujące się przewodzkami. Co zaś do całej reszty... to naprawdę nie wiem.

- Możecie wszystko spokojnie zostawić na mojej głowie - rzekł Jake. - To, czego nie będzie potrzebowała Tina, być może przyda się Ruby. A całą resztę odda się na jakieś cele charytatywne. Nie musicie się tym przejmować. - Uśmiechnął się do Russella i odgiętym do góry kciukiem pokazywał Tinie, że wszystko będzie w porządku. - Straszny z niej jest kłopotnik. Zawsze takabyła, nawet jako mała dziewczuszka.

Tinę czekało ogromne zadanie. Z meblami było akurat najmniej problemu. Należało'po prostu poczekać, aż znajdzie sobie z Russellem jakiś dom w Kalifornii, i potem dopiero zdecydować, które z nich się im przydadzą. Najwięcej pracy wymagało, przejrzenie rzeczy zawalających szuflady, szafy i strych. Znajdowała się tam cała masa przedmiotów uznanych przez kilka pokoleń Websterów za nie kwalifikujące się do wyrzucenia.

Po kilku godzinach przeglądania tych rodzinnych zbiorów Tina zdecydowała, że również i ona nie jest w stanie się ich pozbyć. Nie chodziło tu bynajmniej o przeróżne rupiecie, jak stara odzież, szczątki mebli czy ścienne ozdóbki - to wszystko Jake mógł spokojnie wywieźć na śmietnik. Prócz nich jednak szuflady i kufry pełne były starych listów, zapisków, czasopism i gazet - czasami nawet z dziewiętnastego wieku - i tego już nie sposób było wyrzucić. Tina uświadomiła sobie, że zawierają one nie tylko historię rodziny, lecz także fragment historii osadnictwa na Południowych Równinach. Było oczywiste, że wszystko to może mieć wielką wartość dla zbieracza, historyka, a może jakiegoś muzeum. Zniszczenie tego wydało jej się czymś równie barbarzyńskim, jak spalenie biblioteki. Zdecydowała więc, że wszystko to zostanie rów-

niez wysłane do Kalifornii. Termin ich wyjazdu zbliżał się nieubłaganie. Tina wybrała się jeszcze do Fairhope. Pojechała o tej samej porze co zwykle - tak, aby zdążyć na lunch. Tym razem udało jej się dotrzeć na miejsce trochę wcześniej. Nie zastawszy nikogo w pokoju, pomyślała, że spragniony towarzystwa Harve wyciągnął Tima do sali rekreacyjnej. Tam jednak nie było ich również. Sprawdziła następnie, czy nie ma ich w pokoju telewizyjnym i w ogródku, po czym zajrzała na wszelki wypadek do jadalni. Dopiero zaczęto nakrywać do stołu. Wróciła więc do pokoju i czekała przez kilka minut, licząc, że może poszli gdzieś na spacer i zaraz wrócą. Po pięciu minutach zaczęła się jednak niepokoić i zdecydowała się spytać kogoś, co się z nimi dzieje. Idąc do dyżurki pielęgniarki, spostrzegła nagle Tima. Siedział samotnie na ławce w odległym kącie holu. Głowę miał zwieszoną i wyglądał jak porzucone dziecko. Harve'ego przy nim nie było i to wydało jej się podejrzane. Stała, pełna najgorszych przeczuc. Po chwili dopiero otrząsnęła się i podeszła do ojca.

- Dzień dobry, tatusiu!

Tim podniósł głowę, spojrzał na nią z ukosa i spytał:

- Kim ty jesteś?

- Jestem Tina.

- Aaa. To ty jesteś... Tina.

Pierwszy raz od kilku miesięcy wymówił jej imię. Niestety nie wiedziała, czy to dobry, czy zły znak.

- Tak. Dlaczego sam tu siedzisz?

- Bo wiesz... ktoś mnie tu przywiózł. - Schwycił ją nagle za rękę. - Możesz mnie zabrać do... do tego innego miejsca?

- Gdzie? Gdzie mam cię zabrać, tatusiu? - Tina przycisnęła wolną rękę do piersi.

- Tam, gdzie... gdzie przedtem byłem.

O Boże! Jak mogła być tak naiwna! Skąd ta jej pewność, że wszystko będzie się nadal gładko układało?

- Myślałam, że chciałeś mieszkać tu, gdzie są wszyscy.

Tim zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Zabierz mnie stąd. Oni tu robią jakieś złe rzeczy.

- Co takiego robią? - spytała, siłąc się na spokój.

Zastanawiała się, czy znowu miał halucynacje.

- Zabierają gdzieś ludzi... Jak na wojnie.

Tina zmarszczyła brwi i zastanawiała się rozpaczliwie, co na to odpowiedzieć.

- Zabierz mnie stąd!

Tym razem Tim krzyczał już prawie na cały głos. Przecho-
dząca korytarzem nieznamiona kobieta spojrzała w ich stronę.

Dla Tiny zabrzmiało to jak raniąca serce, rozpaczliwa skarga. W oczach jej ojca malowało się przerażenie. Co się stało? Gdzie, do diabła, podział się Harve? Delikatnie ujęła ojca za rękę i pomogła mu wstać. Objęła go ramieniem i poprowadziła w stronę pokoju. Jego chód ód dawna nie był spężysty, ale nigdy dotąd nie powłóczył nogami. A teraz właśnie to robił. Gdy wreszcie dotarli na miejsce, posadziła go na fotelu i powiedziała:

- Teraz sobie spokojnie porozmawiamy. Wiesz, w tych innych miejscach nie ma tylu rozrywek i takich fajnych ludzi jak tutaj.

Nic na to nie odrzekł, tylko się skrzywił. Odczekała chwilę i zagadnęła go:

- A gdzie jest Harve?

- Kto taki?

- Człowiek, który spał na tym łóżku.

Tim zasepił się jeszcze bardziej.

- Nie wiem - wybąkał.

Tina wypuściła przez zaciśnięte zęby powietrze, wydając przy tym lekki syk.

- Pozwól, tatusiu, że skorzystam z twojego telefonu. To potrwa tylko chwilkę.

Po drugim sygnale usłyszała w słuchawce znajomy głos Edny.

- Mówi Tina Webster. Dzwonię z pokoju ojca. Edno, powiedz mi, proszę, czy od ostatniej mojej wizyty coś... coś niezwykłego się tu zdarzyło?

- Słuchaj, Tino! Harve dostał dziś rano ataku serca. Zabrałam go do szpitala. Stwierdzili, iż to nie był zawał, ale zdecydowali, że zatrzymają go do jutra na obserwacji. Zaraz po powrocie stamtąd zadzwoniłam do ciebie, ale wyjechałaś już z domu.

- No właśnie. Ja natomiast zastałam ojca w bardzo złej formie. Nikogo przy nim nie było, co... w zaistniałych warunkach nie wydaje mi się właściwe.

- Oczywiście, że nie powinno się to zdarzyć - przyznała Edna. - Wydałam instrukcję, aby Tim stale znajdował się pod czyjąś opieką. Obiecuję ci, że zrobię wszystko, aby coś podobnego więcej się nie powtórzyło. Bogu dzięki Harve jutro zapewne wróci.

- Dziękuję. Będę wdzięczna, jeśli tego dopilnujesz. Chciałam jeszcze tylko spytać, czy moja siostra odwiedzała ojca? Ona się nazywa Rebecca Jennings.

- Nie, Tino - odpowiedziała po krótkiej pauzie Edna.

- Ja przynajmniej nic o tym nie wiem. A o wszelkich wizytach jestem zwykle informowana na bieżąco.

To było akurat do przewidzenia - pomyślała Tina i odwieściła słuchawkę. Awantura, którą wtedy urządziła, na nic się nie zdała. Równie dobrze mogła zwracać się do krzesła, na któ-

rym siedzi. Nie rozumiała siostry i nawet nie próbowała jej zrozumieć; wiedziała tylko tyle, że absolutnie nie może na nią liczyć.

Próbowała teraz zastanowić się spokojnie nad sytuacją. Miała oczywiście powody do niepokoju. Tim absolutnie nie powinien być pozostawiony bez dozoru wtedy, gdy Chestertona zabrano do szpitala, ale być może jej reakcja była trochę przesadna. Nigdzie nie znajdzie jakiegoś absolutnie doskonałego domu opieki. Tu w końcu też pracują tylko ludzie, a nie roboty. Tim nie jest ich jedynym pacjentem, a Edna nie zdoła przecież skontrolować tego, co robi w danej chwili każda osoba z jej personelu. To dobrze, że Harve będzie wkrótce zdrowy, ale miała rację, niepokojąc się tym, że ojciec jest tak bardzo od niego uzależniony. Wystarczyło, by tamten zniknął na pół dnia... A nikt przecież nie jest wieczny.

- Tatusiu! - zwróciła się ponownie do ojca. - No i co z tym innym miejscem?

- Jakim miejscem?

Kamień spadł jej z serca. Najwyraźniej zdążył już o wszystkim zapomnieć. W tym momencie do pokoju wpadł młody pielęgniarz. Na widok Tima oparł się plecami o ścianę.

- A więc tu pan jest. Przecież mówiłem, żeby pan nigdzie stąd nie wychodził.

Tina spojrzała na niego z wyrzutem. Podniosła się z krzesła, stanęła przed nim i zniżonym głosem oznajmiła:

- Mój ojciec nie powinien być pozostawiony bez opieki.
- Bardzo panią przepraszam. Odwołano mnie na chwilę do telefonu. Mówiłem, żeby na mnie poczekał.
- Nie zawsze pamięta, że mu się coś mówiło.
- Nie było mnie dosłownie kilka minut.
- W ciągu kilku minut wiele się może zdarzyć. Pójdę

z nim teraz na lunch, ale potem chciałabym, aby do czasu, gdy pan Chesterton wróci ze szpitala, była tu z nim jakaś inna osoba. Aż do momentu, gdy zaśnie.

- Oczywiście, proszę pani, oczywiście - wymamrotał pielęgniarz i pośpiesznie wycofał się z pokoju.

Wkrótce potem podano lunch i zaczęły się następne kłopoty. Tim nie jadł prawie nic, choć wszystko było - jak zwykle - wspaniale przyrządzone. Tina prosiła go, błagała, zagadywała, ale na nic się to nie zdało. Mimo iż krępowała ją obecność innych osób, próbowała go nawet sama karmić, ale i to nie pomogło. Zachowywał się jak rozkapryszone dziecko, zupełnie inaczej niż w towarzystwie Harve'ego. Tamten miał niby jutro wrócić, ale mogło się też okazać, że jest bardziej chory, niż przypuszczano. A jeśli po powrocie do Fairhope sam będzie wymagał jakiejś specjalnej opieki? Może wówczas przestać być tak cierpliwy jak przedtem. I co się wtedy stanie z jej ojcem?

Te pytania zadawała sobie jeszcze długo potem, gdy znużona i zatroskana wracała samochodem do domu. Russell przy kolacji przyglądał się jej bacznie. Sprawiała wrażenie pogrążonej w myślach i jakby trochę nieobecnej, ale specjalnie go to nie zdziwiło. Często widywał ją taką po powrocie z Fairhope. Te wizyty bardzo dużo ją kosztowały, a ponieważ - wedle tego, co mówiła - w zasadzie były one bezcelowe, utwierdził się w przekonaniu, że im prędzej znajdą się w drodze, tym lepiej - również dla niej.

Dla niego też byłoby to wielką ulgą. Ostatnio bowiem coraz częściej prześladowała go obawa, że coś nieprzewidzianego, jakiś nagły wypadek - rzeczywisty lub wymaginowany - może wszystko pokrzyżować. Tego właśnie wieczora, z nie znanych mu powodów, bardziej go to niepokoiło niż zazwyczaj.

Gdy znaleźli się na górze, Tina bardzo szybko porzuciła swój melancholijny nastrój i stała się tak samo przemiała i kochana jak zawsze. Zmieniła tego dnia pościel i zawyrokowała, że koniecznie musi się wykapać,

- Zmieścilibyśmy się we dwoje? - spytał Russell.
- Przecież brałeś prysznic tuż przed kolacją - zauważyła, zerknąwszy na niego przez ramię.
- Człowiek nigdy nie może być za czysty.
- No to zgoda. Ale umyjesz mi plecy.

Gdy napełniła już wannę, Russell podejrzliwie wskazał na małą buteleczkę, którą trzymała w ręku.

- Co to takiego?
- Płyn do kąpieli.
- Czy po tym nie będę przypadkiem pachniał tak, jakbym wyszedł z meksykańskiego burdelu?
- Nie wiem - odparła. - Nigdy nie byłam w meksykańskim burdelu.

Oboje rozebrali się i weszli do parującej, pachnącej wody. Spleceni w uścisku tak ciasnym, że nie bardzo było wiadomo, gdzie są czyje ręce i nogi, nie zważali na to, że przelewa się przez nich woda i wycieka z wanny, tworząc kałuże na podłodze łazienki. Ich gładkie, śliskie ciała ocierały się o siebie tak długo, aż wreszcie Russellowi udało się wciągnąć Tinę na siebie i zapleść wokół niej nogi. Długim, gorącym pocałunkiem pieścił jej usta, przyciskając ją jednocześnie do swego napiętego ciała. Zbliżenie, które potem nastąpiło, dostarczyło Tinie niezwykle intensywnych doznań, a jednocześnie było czymś bardzo czułym i delikatnym. Przypominało kochanie się na zwolnionym filmie. Gdy osiągnęli wreszcie jednoczesny orgazm, zdziwiło ją, że w tym momencie woda z wanny nie wytrysnęła do sufitu jak gejzer.

Z wanny wyszli dopiero wówczas, gdy woda była już ledwo letnia. Wytarli się nawzajem ręcznikami, powędrowali do łóżka i długo leżeli wtuleni w siebie. Minuty płynęły bardzo wolno.

- Tino? - mruknął wreszcie Russell.

- Hm?

- Czy coś niedobrego zdarzyło się dziś w zakładzie?

- Dlaczego pytasz?

- Taka byłaś nieswoja przez cały wieczór. Bałem się, że... Coś złego stało się z Timem?

Nastąpiła tak długa cisza, że Russell poczuł, jak wszystko w nim tężeje. Usta Tiny nadal dotykały jego karku. Usłyszał nagle dźwięk przypominający tłumiony szloch.

- Russell! Przepraszam cię, kochany, ale nie mogę z tobą jechać do Kalifornii. Po prostu nie mogę.

Spodziewała się różnych reakcji z jego strony, ale na pewno nie kompletnego milczenia. Nie chodziło zresztą tylko o to, że nie odezwał się ani słowem. Gn również się nie poruszył. Zupełnie jakby zeszywniał. Zaczęła więc mówić pośpiesznie, niespójnie i chaotycznie:

- Znalazłam tatusia w holu. Samiutkiego. Zaszył się w jakiś ciemny kąt. Zwrócił się nawet do mnie po imieniu... To znaczy, nie poznał mnie, ale... Był kompletnie przerażony, bo Harve... - Jej opowieść stopniowo stawała się coraz bardziej składna. - Russell! Ja cię naprawdę bardzo kocham, ale zrozum ... Jestem jedyną osobą na świecie, którą obchodzi to, co się dzieje z ojcem. Ci ludzie z Fairhope są być może bardzo dobrzy, ale to nie rodzina. Becca ani razu się tam jeszcze nie pokazała. Czy to nie paskudne z jej strony? I w rezultacie... Kto będzie uważał na to, co tam się dzieje? Kto będzie zgłaszał jakieś zastrzeżenia, gdy coś będzie nie tak, gdy mu się

będzie działa jakaś krzywda? - Próbowwała pozbierać myśli.
- Zrozum! Gdybym wyjechała do Kalifornii, bez przerwy
bym się o niego zamartwiała. Za dużo byłoby telefonów, po-
dróży tam i z powrotem... Prędzej czy później znudziłoby ci
się to. Miałam okazję rozmawiać z ludźmi, którzy coś takiego
przeżyli. Dobre, kochające się małżeństwa po dwudziestu pię-
ciu latach potrafiły się z tego powodu rozpaść. Chciałam być
wobec ciebie fair, ale...

Russell był skrajnie rozczarowany. Od tygodni właściwie
o niczym innym nie myślał, jak tylko o ich wspólnym
wyjeździe do jego wymarzonej krainy. Przez tyle lat znosił
rozmaite wyrzeczenia w nadziei, że wreszcie osiedli się tam
i będzie żył, nie troszcząc się o pieniądze. A potem doszła do
tego jeszcze Tina - najwspanialsze zwińczenie jego marzeń.

I teraz to wszystko miałyby.

Tina w dalszym ciągu oczekiwała jakiegokolwiek reakcji
z jego strony. Sam fakt, że człowiek może leżeć tak długo, nie
wykonując najmniejszego ruchu, wydawał się jej czymś nie-
samowitym. Nie wiedziała, czy skamieniał tak z zaskoczenia,
czy może że złości... Powiedziała już właściwie wszystko, co
było do powiedzenia, i teraz mogła się już tylko powtarzać.

- Tak mi jest przykro! Bardzo chciałam z tobą wyjechać.
Ale naprawdę nie mogę.

Nareszcie drgnął. Usłyszała, jak westchnął i w tym sa-
mym momencie poczuła, że ramię, którym ją obejmował,
tężeje i przyciąga ją do siebie. Musnął wargami jej skroń.

- Jeśli nie możesz ze mną jechać, kochanie, to ja też
nigdzie nie pojedę.

Poczuła, jak wszystko w niej topnieje. Powiedział to, na
czym jej tak bardzo zależało. Ale teraz - gdy to od niego
usłyszała - wiedziała już, jaki ma być jej następny krok.

Wsparła się na łokciu, popatrzyła na niego z czułością, nachyliła się i pocałowała go. A potem powiodła palcem po obrysie jego ust i uśmiechnęła się.

- Nie. Musisz tam pojechać - powiedziała, szybko oddychając. - Przecież sam wiesz, że musisz.

Miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Tino! Zależy ci na tym, abym wyjechał?

- Nie mogę ci wprost odpowiedzieć. Zależy mi na tym, aby być z tobą. Ale... chociaż będzie to dla mnie bolesne, wiem, że musisz pojechać i zobaczyć, jak tam jest. Nie ma innego sposobu na to, abyś przekonał się... Wtedy na pewno będziesz wiedział, na czym ci naprawdę zależy.

- Wiem na pewno, na czym mi zależy. Na tym, aby być z tobą.

- Owszem. Tak ci się... teraz wydaje. - Tina usiadła na łóżku, sięgnęła po szlafrok i narzuciła go na siebie. Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. - Najbliższe lata nie będą łatwe. Kłopoty z ojcem będą stale. A także z pieniędzmi. No i z tym ranczem. Go będzie, jeśli się go nie sprzeda? Będę wówczas musiała zostać i próbować prowadzić je dalej. Nie będzie mnie zapewne stać na to, by mieszkać w mieście i dopłacać do gospodarstwa. A rezultat będzie taki, że pewnego dnia poczujesz się jak w pułapce, a to jest okropne uczucie. Sprawdziłam to na sobie. Wiele razy.

Russell uniósł się i oparł plecami o wezglowie łóżka. Tina nerwowo przemierzała sypialnię, a on cały czas nie spuszczał z niej wzroku. Widział, jak w ciągu ostatnich tygodni napięcie stopniowo znikало z jej twarzy i poczytywał to za swoją zasługę. Ale teraz wróciło znowu, aż nadto widoczne.

- Słuchaj, kochanie! Przecież nie jestem dzieckiem. Wiem chyba, co chcę robić, a czego nie chcę.

Zatrzymała się i zwróciła w jego stronę.

- Proszę cię! Dla naszego wspólnego dobra! Od tygodni słyszałam to samo... To wielkie ożywienie, jakie pojawiało się w twoim głosie, ilekroć mówiłeś o Kalifornii. Pojeźdź i zobacz, jak tam jest. Niczego z góry nie przesądź. Uczciwie sprawdź, czy znowu cię zauroczy, czy nie. I jeśli stamtąd wrócisz, to oboje będziemy wiedzieć, co robić. A ja... nie będę musiała wyrzucać sobie tego, że obrabowałam cię twoich marzeń. - Odwróciła na chwilę oczy, a gdy spojrzała na niego ponownie, spostrzegł zbierające się w nich łzy. - Wiem, jakie podejmuję ryzyko. Wierz mi.

Russell nigdy nie widział, by mówiła o czymś z takim przejęciem. Nie zdążył się nawet zastanowić nad tym, na ile jej propozycja jest sensowna. Jeżeli można w ten sposób przynieść jej ulgę, sprawić, by poczuła się bardziej bezpieczna, to... W końcu gotów byłby dla niej okrażyć kulę ziemską, gdyby miało to przynieść jej spokój. Bóg tylko wie, jak mało go miała przez te dwa ostatnie lata.

- Wracaj do łóżka, kochanie. - Gestem ręki wskazała na puste miejsce obok siebie. - Prześpij się trochę. Pogadamy o tym później.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ogarnęło ją nagle wielkie zmęczenie. Zrzuciła z siebie szlafrok, wślizgnęła się do łóżka i wtuliła w jego ramiona.

- Słusznie robię, że cię do tego namawiam - wymamrotała jeszcze. - Wiesz, że mam rację. - Nie minęło kilka minut, a już mocno spała.

Gdy obudziła się rano, poczuła wokół dziwną pustkę. Do poduszki przypięta była karteczka: „Chciałem uniknąć pożegnań. Odezwę się. Bardzo cię kocham. Russell”.

Nie wierzyła własnym oczom. Pobieła do jego pokoju. Był kompletnie pusty. Wróciła do swojej sypialni i wyjrzała przez okno. Samochody stały zaparkowane na bocznym podwórku, ale thunderbirda wśród nich nie było. Nagle poczuła się strasznie. Nie był to smutek rozstania - raczej przerażająca niepewność, jak to się wszystko skończy. O ile spokojniej by się czuła, gdyby zostawił tu choćby część swojego dobytku...
O Boże! - pomyślała. Co ja najlepszego narobiłam!

RS

Bar motelu w Gallup, w którym Russell zatrzymał się na noc, był zatłoczony do ostatnich granic. Panował w nim niesamowity hałas. Odniósł wrażenie, że jest tu jedynym przybyszem z daleka: wszyscy się tu znali, włączając w to barmana i dwie kelnerki. Dokoła rozbrzmiewał gwar i śmiech. Russell siedział samotnie, sączył swą whisky z lodem i rozmyślał.

Zaczynał podejrzewać, że to, co jeszcze dziś o piątej rano wydało mu się takim świetnym pomysłem, było najgłupszą rzeczą, jaką w życiu zrobił. Chciał oszczędzić Tinie łez i dla-

tego wyjechał bez pożegnania, pewny, że i tak przecież wróci. Całą tę jazdę do Kalifornii traktował jako coś w rodzaju... służbowej delegacji.

Odjechał przed świtem, minął Amarillo, uparcie kierując się na zachód i starając się o niczym nie myśleć. Nie włączył nawet radia, gdyż obawiał się, że jakaś przypadkowa, tęskna piosenka country może sprawić, że nie wytrwa w swym postanowieniu.

Pierwsze poważne wątpliwości naszły go w chwilę po przejechaniu granicy ze stanem Nowy Meksyk. W Tucumcari bliski był tego, by zawrócić nagle i pojechać z powrotem. Ale dla Tiny nie byłoby to żadnym przekonującym dowodem, a w końcu dla niej przecież zdecydował się na całą tę idiotyczną eskapadę. Zdązał więc nieustępliwie przed siebie i nie zatrzymał się nawet -jak to uprzednio planował - w Albuquerque. Przejechał prawie przez cały stan i czuł się teraz strasznie zmęczony. Tak bardzo, że właściwie nie powinien pić. Ale co tam! Dziś już nigdzie nie jedzie, a po alkoholu może łatwiej mu będzie zasnąć.

- Zawsze tu u was taki tłok? - zagadnął kelnera.

- Nie - mruknął tamten i nalał mu następną porcję whisky. - Pewna młoda para, która poznała się tu parę miesięcy temu, bierze jutro ślub. Przyjaciele urządzili im małe kawalerskie przyjęcie. Nie myślałem, że ten stary Clayton kiedyś w to wdepnie. Ale cóż! Prędzej czy później nawet najlepsi z nas w to wpadają.

- Czemu zaraz wpadają? - obruszył się Russell. - Małżeństwo ma swoje dobre strony.

- Co ty powiesz? Jakie? - zdziwił się barman.

- No wiesz... Wracasz wieczorem do domu, do żony, do dzieci. Zawsze masz z kim pogadać. Masz kogoś, kto czeka

na ciebie... uciesz się na twój widok. Dobre jedzenie, wygodna, rodzinna atmosfera...

Barman przez chwilę przyglądał mu się podejrzliwie.

- O czym ty mówisz, chłopie? Kto w tych cholernych czasach może liczyć na coś takiego? - Zadawszy to retoryczne pytanie, odwrócił się, by obsłużyć następnego gościa.

Russell uśmiechnął się krzywo i wypił jednym haustem połowę swego drinka. Tina i ja możemy na to liczyć - pomyślał. Tego był akurat pewien. Przypomniawszy sobie, jak się czuł, wchodząc każdego wieczora do kuchni, jak nie mógł się doczekać, kiedy ją wreszcie zobaczy. Zateęsknił za nią. Z trudem udało mu się zwalczyć pokusę, by do niej zatelefonować. Wiedział, że jeśli usłyszy jej głos, to zamiast na zachód, pojedzie natychmiast na wschód.

Powiedziała mu, aby obejrzał wszystko bez uprzedzeń, dał szansę losowi - i to właśnie zamierza zrobić. Gdy znów się spotkają, Tina nie będzie już miała żadnych wątpliwości. Nie musi się martwić o to, że poświęcił dla niej swoje marzenia.

Pierwszy dzień po wyjeździe Russella wydawał się Tinie wlec w nieskończoność, a i następny nie był lepszy. Miała nadzieję, że może zadzwoni z drogi, ale cóż by to w końcu zmieniło? Usłyszałaby jego głos i tęsknota mogłaby ją doprowadzić do szaleństwa. Ruby wyjechała do Connie, Tim był w Fairhope, Jake całymi dniami w polu, a ona nie miała zupełnie nic do roboty. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, dlaczego samotni ludzie uzależniają się od telewizji.

Trzeciego dnia zrobiła generalne sprzątnięcie, którego dom nie potrzebował. Ale okazało się pożyteczne, gdyż Oscar Stilwell przywiózł po południu następnego ewentualnego kupca. Przez resztę dnia nie odchodziła od telefonu, mając nadzieję,

że pośrednik zadzwoni i poinformuje ją, iż właśnie podpisał umowę. Ale nic podobnego się nie zdarzyło. Nie zadzwonił również Russell.

Czwartego dnia wybrała się do Fairhope. Harve wydobrzał całkowicie, był jowialny i gadatliwy jak zawsze, w związku z czym ojciec nie zwracał na nią uwagi. Przez moment było jej żal, że zrezygnowała z wyjazdu do Kalifornii ze względu na człowieka, który zdawał się jej w ogóle nie dostrzegać, ale szybko się z tego otrząsnęła. Ojciec nie ponosił za to żadnej winy, a ona była mu potrzebna, niezależnie od tego, czy był tego świadom, czy też nie.

Zwlekąca z odjazdem i w rezultacie została tam dłużej niż zwykle. Po lunchu zostawiła Tima i Harve'ego samych i poszła odwiedzić pewną panią - pensjonariuszkę zakładu, którą zdążyła poznać i polubić. Ta rześka, osiemdziesięcioletnia starsza pani nazywała się Bertha McCorkle i zawsze była tak wystrojona, jakby właśnie wybierała się do kościoła. Tak też prezentowała się, gdy Tina zapukała do jej pokoju.

Przywitała się z Tiną i wskazała jej krzesło. Kończyła właśnie toaletę, perfumując się jakimś sprayem.

- Wyjątkowo ładnie dziś wyglądasz, Bertho - zagadnęła ją Tina. - Czy szykujesz się na jakąś specjalną okazję?

Bartha pochyliła się ku niej z błyskiem w oczach.

- Tino, czy znasz prawdziwy powód, dla którego tu się wprowadziłam? - spytała konspiracyjnym tonem.

Tinie wydawało się, że coś wie na ten temat. Staruszka na samym początku ich znajomości opowiedziała o tym, że jej córka miała pod swą opieką trójkę wnuków. Dla niej oczywiście byli oni prawnukami. Cóż z tego, skoro Bertha z tą trójką przedszkolaków absolutnie nie była w stanie wytrzymać. Wedle jej własnych słów, dzieci doprowadzały ją do szaleństwa

i wytrzymałaby z nimi chyba tylko wtedy, gdyby stale brała środki uspokajające albo dawała je malcom. Syn jej natomiast mieszkał na farmie w Północnej Dakocie i raz na tydzień dzwonił, błagając ją, aby się do nich przeprowadziła. Niestety, nie lubiła jego żony, z wzajemnością zresztą - jak twierdziła. Wszystko więc wydawało się jasne. Znalazła się tu z podobnych powodów, co większość pensjonariuszy zakładu: nie bardzo mogła mieszkać samotnie i nie miała nikogo, z kim chciałaby żyć pod jednym dachem. W tym momencie Tina ze zdumieniem uświadomiła sobie, że najwyraźniej nie zna całej prawdy.

- Jaki jest ten prawdziwy powód, Bertho? - spytała z nieukrywanym zaciekawieniem.

- Bardzo prosty. Dziwię się, że sama na to nie wpadłaś. To doskonale wprost miejsce, by zawierać znajomości z mężczyznami.

- Naprawdę? - Tina zaniemówiła ze zdziwienia.

- Oczywiście. Spójrz dookoła. Prawie sami mężczyźni. A w dodatku większość z nich to wdowcy - zauważyła rzeczowo Bertha. Strzepnęła jakiś pyłek z sukienki i wstała. - Chodź ze mną. Chciałam ci coś pokazać.

Tina wyszła za nią z pokoju. Nadal kręciła z niedowierzaniem głową i robiła wszystko, by nie chichotać. Bertha zmierzała prosto do sali rekreacyjnej. Nie weszła jednak do niej; zatrzymała się w drzwiach i lustrowała wzrokiem siedzące tam osoby. Po chwili ścisnęła Tinę za rękę i powiedziała:

- Widzisz ten stolik przy oknie? Ten, przy którym grają w domino?

Tina skinęła głową.

- Siedzi tam czterech mężczyzn. Jeden z nich jest bardzo

elegancko ubrany. Ma na sobie krawat i marynarkę. Wiesz, o kórego mi chodzi?

Wskazany przez Berthę starszy pan miał gęste, siwe włosy i takie same wąsy. Kolor jego marynarki wydał się Tinie nieco krzykliwy.

- Tak. Wiem, o kim mówisz.

- On jest nowy. Przybył tu dopiero wczoraj. Natychmiast wpadł mi w oko, ale nie miałam dotąd okazji, aby się z nim poznać. Przystojny, prawda?

- Tak. Naturalnie - przyznała z całkowitą powagą Tina.

- Słyszałam również, że jest cholernie nadziany. Rozumiesz, o co chodzi - ciągnęła dalej konspiracyjnym szeptem Bertha. - I wygląda na całkiem zdrowego. Nigdy nie wybaczę mojemu drogiemu Fredowi, że umarł przede mną. Nie doszłoby do tego, gdyby bardziej o siebie dbał. Ale ten facet naprawdę mi się podoba. Nie wiem tylko, jak się z nim poznać...

- Co ty mówisz, Bertho! Nie ma nic łatwiejszego.

Podejź do niego, wyciągnij rękę i przedstaw się.

- Naprawdę myślisz, że to będzie w porządku? - Bertha nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- No pewnie! Dziś kobieta nie musi już czekać pokornie, aż mężczyzna raczy ją zauważyć. Powinna raczej zachować się tak, aby nie można jej było zignorować. Wierz mi na słowo.

- No... jeśli rzeczywiście tak uważasz... W imię boże!

Gra w domino dobiegła akurat końca. Obiekt zainteresowania Berthy wstał, zamienił kilka słów z pozostałymi przy stoliku mężczyznami, po czym skierował się wprost w stronę drzwi. Gdy się do nich zbliżył, Tina delikatnie wypchnęła Berthę przed siebie. Starsza pani zastąpiła drogę idącemu i wyciągnęła do niego rękę.

- Halo! To ty jesteś ten nowy? Nazywam się Bertha McCorkle.

- Jak się masz, Bertho! - Mężczyzna uściśnął jej dłoń. Głos miał dźwięczny i głęboki, - A to moja przyjaciółka, Tina Webster.

- Bardzo się cieszę! Nazywam się Lionel Gage. Do usług, piękne panie. Do usług.

- Czy lubisz muzykę, Lionelu? - bez żadnych wstępów zaczęła wdzięczyć się Bertha.

- Niespecjalnie.

- Mamy tu wspaniałe wieczorki taneczne.

- Nie znoszę tańca.

Bertha straciła pewność siebie.

- To może... zajęcia plastyczne i roboty ręczne?

- Co takiego? Robótki ręczne? -oburzył się Lionell. - To dobre dla zgrzybiałych staruszek.

- Ale masz przecież jakieś zainteresowania, prawda? - nie dawała za wygraną Bertha.

- Owszem. Golf, golf i jeszcze raz golf! To jest gra dla dżentelmenów. Edna obiecała mi, że będę mógł ćwiczyć sobie uderzenie na podwórku. A teraz, pozwólcie drogie panie, czas na moją drzemkę. - Dotknął palcami czoła, salutując im na pożegnanie.

Nie miały innego wyjścia, jak usunąć się i pozwolić mu przejść. Bertha patrzyła za nim, gdy się oddalał.

- Co za wstrętny, stary cap! - powiedziała z wyrazem niesmaku na twarzy.

Tina skwitowała to kwaśnym uśmiechem.

- Jakże często kierujemy na kogoś wzrok tylko po to, aby przekonać się, że nie dorasta on do naszych marzeń - zauważyła.

- Trudno - westchnęła Bertha. - Znajdzie się ktoś inny. Absolutnie nie mam ochoty pozostać tu długo bez męża. Możesz być tego pewna.

Jak to dobrze, że nadzieja jest czymś niezniszczalnym
- pomyślała Tina.

Przy wjeździe na rancho wyjęła ze skrzynki pocztę. Na podwórku brakowało dżipa, a więc dom był pusty. Weszła do kuchni, wysypała przesyłki na stół i usiadła, by je przejrzeć. Jak zwykle były to w większości katalogi, magazyny i cały śmietnik reklamówek. Także kilka kopert z urzędową korespondencją - zapewne z Ministerstwa Rolnictwa, które co miesiąc rozsyłało farmerom i hodowcom rozmaite materiały informacyjne - często bardzo dla nich istotne. Odłożyła je na bok do późniejszego przeczytania.

Przez moment wydawało jej się, że znalazła to, na czym jej najbardziej zależało - ręcznie adresowaną kopertę z jej nazwiskiem, ale natychmiast się rozczarowała. Był to kolejny list od Paula. Przyszło ich już kilka. Nie odpisywała mu dotąd - nie bardzo bowiem wiedziała, o czym miałyby mu pisać. Przez chwilę obracała kopertę w palcach, zastanawiając się, czy w ogóle warto ją otwierać. Ale jednak... Co innego nie odpisywać, a co innego wyrzucić nie przeczytany list. To ostatnie wydało jej się czymś równie nieprzyzwoitym, jak nieodebranie dzwoniącego telefonu. Wstała, nalała sobie szklankę herbaty i otworzyła kopertę.

Ten list, w przeciwieństwie do poprzednich, nie był utrzymany w stylu gawędziarsko-plotkarskim. Przeczytała jeszcze raz najważniejsze jego fragmenty:

Dostałem ostatnio bardzo interesującą propozycją od kolegi, który od piętnastu lat prowadził wraz z ojcem gabinet

ortodontyczny w Amarillo. Jego ojciec zdecydował się przejść na emeryturę, w związku z czym kolega poszukuje współnika. Propozycja jest dla mnie bardzo atrakcyjna: byłbym w ten sposób jednym z dwóch, a niejednym z wielu specjalistów, jak to ma miejsce w Fort Worth. Atrakcyjność tej propozycji byłaby dla mnie jeszcze większa, gdybym przeprowadzając się do Amarillo, mógł liczyć na to, że zechcesz się ze mną widywać. Zmieniłem się bardzo od czasu naszego niefortunnego rozwoju. .. Daj mi szansę, a sama się o tym przekonasz..

Z tego, co zdołałem się dowiedzieć od Becci, te ostatnie lata były dla ciebie bardzo trudne. Choroba twego ojca musi być dla ciebie czymś okropnym. Jestem przekonany, że mógłbym ci pomóc. Jak poprzednio mówiłem, stać mnie obecnie na wiele. Wystarczy jeden telefon. Dzieliliś ze mną lata chude, a ja mam stale nadzieję, że mogłabyś dzielić również te tłuste, które teraz nadeszły. Cóż jednak mogą zrobić w sytuacji, gdy nie dostałem od ciebie ani jednego listu...

Stawiam sprawą uczciwie: moja wolność już mi się znużyła, a ty jesteś jedyną kobietą, z którą potrafiłbym wieść wspólne życie. Kocham cię nadal i wierzę, że potrafisz sprawić, byś ty również mnie ponownie pokochała. Ile razy mam ci powtarzać, że żałują tego, co się stało? Pamiętasz, jak było nam razem dobrze na początku? Teraz znowu mogłoby być tak samo. Daj mi tylko szansę. I proszę odpowiedz wreszcie na mój list.

Tina odłożyła list na stół i pokręciła głową. Nie bardzo wierzyła, by człowiek mógł całkowicie się zmienić. Paul zawsze uganiał się za kobietami. Na początku ich małżeństwa, zafascynowany młodą żoną, być może na pewien czas trochę się opamiętał, ale prędko powrócił do starych przyzwyczajeń. Myślała, że są to niewinne flirty, popisywanie się w towarzy-

stwie, ale oczywiście nie miała racji. Paul naprawdę potrzebował nowych zdobyczy: najwyraźniej one właśnie - bardziej niż cokolwiek innego - podnosiły jego samoocenę i poczucie własnej wartości.

Zasady dobrego wychowania nakazywały odpowiedzieć na ten list. Ale co ona właściwie ma mu do zakomunikowania? Czy ma napisać mniej więcej tyle: „Drogi Paulu! Co tam u ciebie nowego? Bo u nas znowu zepsuł się ciągnik, a dżipowi trzeba było zrobić przegląd...” itd. Może byłby to nawet niezły żart?

Tyle że zupełnie nie była w nastroju do żartów. Popatrzyła na telefon i zaklinała w duchu Russella, aby zadzwonił; O Boże! Co z niej za idiotka! Zamiast cieszyć się, że postanowił zostać - sam, z własnej woli - uparła się, żeby pojechał i zobaczył to północne wybrzeże. Na co ona właściwie liczyła? Zafascynowało go już raz i ta fascynacja trwała długie dziesięć lat. Tym razem również może się zdarzyć to samo. Odsunęła na bok list i zaczęła segregować pisma urzędowe. Nudy na pudy, jak zwykle - zdążyła pomyśleć - i nagle jej palce znieruchomiały: jedno z pism nie miało nic wspólnego z Ministerstwem Rolnictwa. Na odwrocie koperty odczytała nadawcę i nerwowo przełknęła ślinę. Pismo przesyłał Urząd Skarbowy i adresowane było ono do Tima. Niczego dobrego nie należało się spodziewać. Pełna niepokoju otworzyła je i zaczęła czytać.

Był to gotowy formularz wypełniony na maszynie. Informował on, że w rozliczeniu podatku dochodowego sprzed trzech lat popełniono błąd. W rezultacie, wraz z grzywną i odsetkami, Tim był obecnie winien fiskusowi ponad osiem tysięcy dolarów. Kwotę tę należało wpłacić do dnia piętnastego września. Za przekroczenie terminu groziła następna grzyw-

na. W przypadku jakichś niejasności podany był numer telefonu, pod który należało zadzwonić.

Opadła na oparcie krzesła i zamknęła oczy. Osiem tysięcy dolarów! Rzeczywiście, przypomniała - sobie, że Tim robił ostatnie samodzielne rozliczenie właśnie trzy lata temu. Widocznie był już wtedy chory. Potem ona robiła bilanse.

Co za pech! Skąd, do diabła, ma wytrzasnąć na piętnastego września te osiem tysięcy? Nawet połowę takiej sumy bardzo trudno byłoby jej zdobyć. Cóż więc ma robić?

Po pierwsze, należało to sprawdzić. Urząd Skarbowy też potrafi się mylić. Pamiętała, że był taki rok, w którym Tima podejrzewano o zaniżenie dochodu i poddano kontroli, a w rezultacie okazało się, że to skarb państwa jest mu winien jakieś pieniądze. Natychmiast powędrowała do biura i zaczęła wertować dokumenty.

Niestety! Błąd znalazła bardzo szybko. Była to zwykła, arytmetyczna pomyłka. Na moment wpadła w panikę, ale oparowała się natychmiast i zaczęła rozważać możliwe wyjścia z tej sytuacji. Do piętnastego pozostało dwa tygodnie. Najprościej byłoby po prostu poczekać. Gdyby Russell powrócił... Wówczas wzięliby ślub, uregulowali zaległości podatkowe i po wszystkim. Tyle że bardzo jej się nie podobało to „gdyby.” Ale cóż! Należało być realistką. Mógł on bowiem równie dobrze nie wrócić. A przynajmniej nie w tym terminie.

A więc jeśli nie on, to kto inny może jej pomóc? W zasadzie sytuacja jest przymusowa: trzeba myśleć o zaciągnięciu pożyczki. Możliwości są różne. Po pierwsze, bank. Notowania Tima jako kredytobiorcy były bardzo dobre, nie powinno więc być problemów z dostaniem pożyczki. Tylko jak potem spłacać miesięczne raty? Przy tych kosztach, jakie pochłaniało Fairhope, zupełnie nie było jej na to stać.

Pozostawała Becca... a właściwie jej mąż, Derek. No cóż... Tina nieświadomie wrzuciła ramionami. Lubiła w zasadzie swego szwagra, choć nigdy nie byli ze sobą w bliskich stosunkach. Zapewne by jej nie odmówił pożyczki. Najgorsze, że zwracając się o nią, musiałaby go uprzedzić, iż nie ma pewności, kiedy ją odda. Może wtedy, gdy sprzeda bawełnę? Jakoś by jej to nie mogło przejść przez gardło.

A właściwie dlaczego? - obruszyła się w duchu. W końcu Becca jest w tym samym stopniu odpowiedzialna za ojca co ona. Z jakiej racji miałyby się więc czuć jak uboga krewna? A jednak... choć to nielogiczne, tak by się właśnie czuła, zwracając się do swej siostry i jej męża o pieniądze; Dlaczego do tego doszło? - zastanawiała się przez chwilę. Może dlatego, że opiekowała się ojcem bez pomocy ze strony siostry tak długo, iż wszyscy zdążyli się do tego przyzwyczaić.

Któż jeszcze inny? Jake i Ruby? Nie, nie ma mowy. Cały czas pomagają finansowo Coñnie. Najlepiej, gdyby w ogóle się o tym nie dowiedzieli.

Pozostawała jeszcze matka, z tym że Tina w zasadzie nie wiedziała, jaka jest jej sytuacja materialna. Osiem tysięcy dolarów było naprawdę dużą sumą. Gdyby okazało się, że Joan po prostu nie może jej tyle pożyczyć, to sytuacja stałaby się kłopotliwa. W dodatku przypomniało jej się, jak ojciec przed laty przestrzegał ją przed pożyczaniem pieniędzy od bliskich przyjaciół i krewnych. Zaklinał się, że to najpewniejszy sposób pod słońcem, by stracić przyjaciela i wywołać rodzinne niesnaski, Postanowiła więc wykluczyć z tego również i matkę.

Gdyby tak przyszedł ktoś, kto nie może już wytrzymać ani dnia bez własnego rancza! Sprzedaż na pewno przyniosłaby sporo gotówki. Ale cóż z tego? Nawet gdyby ten wyśniony

kupiec zjawił się jutro, to i tak jest mała szansa, aby przed upływem dwóch tygodni zdolali spisać umowę i przekazać sobie z ręki do ręki pieniądze.

Wygląda na to, że trzeba wrócić do punktu wyjścia. A więc bank... i następne związane z tym problemy. Ostatni kredyt Tim wziął wtedy, gdy ranczo było dobrze prosperującym gospodarstwem; dziś ledwie łąduje na zero. Wiarygodnym kredytobiorcą był dla banku ojciec, a nie ona. Czy zaryzykują udzielenie pożyczki bezrobotnej córce pana Webstera? Nie jest to pewne. Wysłuzony park maszynowy gospodarstwa nie stanowi właściwie sensownego zabezpieczenia wierzytelności. No... ale ma za to jeszcze bawełnę i kukurydzę na pniu. I to może być dla nich dostatecznym zabezpieczeniem.

Westchnęła i ponownie pochyliła się nad biurkiem. Jeszcze raz obliczyła wydatki z zeszłego miesiąca. Naprawdę starała się ostatnio ograniczać je do minimum, a i tak na bieżąco nie starczało jej pieniędzy. Tak czy inaczej - wkrótce musiała by coś pożyczyć. A więc trudno. Wystąpi p pożyczkę pod zastaw tegorocznych zbiorów, zapłaci zaległości podatkowe i potem będzie się martwić, jak z tego wybrnąć. Długi! Wzdrygnęła się na dźwięk tego słowa. Dotąd sam fakt, że nie jest nikomu nic winna, dawał jej poczucie finansowego bezpieczeństwa, nawet wtedy, gdy nie miała pieniędzy.

No tale... Musi więc jak najszybciej znaleźć pracę. Chciała z tym poczekać do momentu, gdy dowie się czegoś o planach Russella, ale sytuacja uległa zmianie i nie może sobie pozwolić na luksus czekania. Skorzysta z pierwszej lepszej oferty, aby tylko mieć z czego oddać wierzycielowi - kimkolwiek się on okaże. Jeżeli miałyby pracować w Leatrice, to musiałyby ograniczyć wizyty u Tima praktycznie do weekendów. A znów praca w Amarillo oznaczałaby długie, męczące

dojazdy i związane z tym koszty. Stara furgonetka była strasznym pożeraczem paliwa. A Więc jak niejeden kłopot, to pięć innych. Cholerny pech!

Wyrwała kartkę z obliczeniami z notatnika, zmieła ją w kulkę i wyrzuciła do kosza. W tym momencie natrafiła wzrokiem na list Paula, który razem z resztą poczty zabrała ze sobą, idąc do biura. Przypomniała sobie fragmenty tego, co pisał: „... .mógłbym ci pomóc... stać mnie obecnie na wiele... wystarczy jeden telefon”. Natychmiast zrobiło jej się wstyd, że w ogóle o czymś takim pomyślała. Zrozpaczonemu człowiekowi najgłupsze myśli przychodzą do głowy. Skoczyła na równe nogi i - jakby pragnąc przed nimi uciec - wybiegła z biura. Na razie nic jeszcze nie musi robić. Ma przed sobą dwa tygodnie. Może zdarzy się jakiś cud?

W tym momencie oddałaby wszystko za to, by być razem z Russellem. Dziwne! Od jego wyjazdu upłynął niecały tydzień, a jej zdawało się, jakby minął już miesiąc. Tęskniła za nim nie tylko jak za kochankiem. Również jak za najbliższym przyjacielem, na którym zawsze można było polegać.

Do Rezerwatu Sekwoi jechało się prowadzącą na północ Sekwojową Autostradą. „Tędy dojedzie pan do tego parku nad parkami” - poinformowała Russella właścicielka pewnego zajazdu. Rezerwat stanowił niszę ekologiczną, w której przetrwał gatunek sekwoi nadbrzeżnej. Jak wynikało z przewodnika turystycznego, te archaiczne drzewa, których protoplaści pamiętają erę dinozaurów, osiągają wysokość stu dziesięciu metrów i wiek do osmiuset lat.

Rezerwat wywarł na Russellu niezwykle wrażenie. Poznał przecież nieźle ten kontynent, natrafił na wiele miejsc odludnych, ale nigdy nie spotkał miejsca, które tak bardzo emanol

wało spokojem i zapraszało niemal do skupienia i kontemplacji. Strzelistość pni, wysokie sklepienie gałęzi, półmrok rozświetlony jedynie przez pojedyncze smugi światła, kładące się plamami u podnóży drzew - wszystko to przypominało gotycką katedrę. Trudno było wprost uwierzyć, aby u schyłku dwudziestego wieku, w Ameryce, mogła ostać się taka oaza niezemskiego wręcz spokoju.

Znalazł sobie miejsce na rozbicie obozu i zaczął rozpakowywać nabyty w mieście sprzęt kempingowy. Gdy powiedział właścicielce zajazdu, w którym nocował, że ma zamiar spędzić parę dni pod namiotem, przyjrzała mu się z niedowierzaniem. Nie sprawił widać na niej wrażenia doświadczonego turysty, więc poradziła, aby wynajął raczej samochód kempingowy. Ale to byłoby za łatwe. Chciał przeżyć ten czas możliwie najlepiej. Do tego potrzebne mu było najprostsze wyposażenie - namiot, śpiwór, kuchenka turystyczna. Komfortowe wnętrze samochodu kempingowego wszystko by popsuło.

Rankiem zamierzał zwiedzić całą sieć szlaków pieszych prowadzących przez park. A może nie starczy na to dnia, kto wie? Wówczas zostanie dłużej. Niedaleko stąd jest wspaniała plaża i cudowna, piaszczysta laguna na skalistym wybrzeżu. Wszystko to pragnął obejrzeć i potem dopiero ruszyć dalej na północ, w kierunku granicy z Oregonem. Jak daleko? Nie miał pojęcia. To będzie zależeć od tego, co jest naprawdę na tej północy, czy mu się tam spodoba, jak się tam będzie czuł. Dotarł wreszcie do swojej ziemi obiecanej i chciał obejrzeć absolutnie wszystko.

Po prymitywnej kolacji - konserwie odgrzanej na kuchenke - usiadł na ziemi przed namiotem i wtulony w ciepłą kurtkę popijał kawę. Chłonał w siebie odgłosy i zapachy leśnej

nocy. Podniósł na chwilę głowę i zdziwił się, że nie widzi gwiazd, mimo iż mógłby przysiąc, że niebo jest pogodne. Przez ostatnie miesiące stale widział jedynie płaską, ciągnącą się aż po horyzont prerię i bezkresne niebo. Niesamowity był to kontrast.

W takim miejscu jak to - pomyślał nagle - nawet ja mógłbym stać się poetą.

RS

Tina zamartwiała się przez cały weekend i w końcu zdecydowała, że musi z kimś porozmawiać o swych kłopotach finansowych. Pomyślała, aby nie robić i czekać na cud, wyrażenie jej nie odpowiadało. Tym bardziej że od pewnego czasu miała poczucie, iż jej anioł stróż ją opuścił. Na powiernika swych kłopotów nie wybrała jednak nikogo z rodziny; miał nim być niejaki Nate Lomax, urzędnik Banku Narodowego. Jego ojciec był jednym z najbliższych przyjaciół Tima Webstera i - choć personalne znajomości nie odgrywały już teraz w interesach takiej roli, jak za czasów jej ojca - Tina ufała, że

Nate nie będzie nic przed nią ukrywał i na pewno poradzi jej coś sensownego.

Przyjął ją uprzejmie, wysłuchał, obejrzał przyniesione przez nią dokumenty i stwierdził, co następuje:

- Nie jest to najlepszy interes, o jakim ostatnio słyszałem, lecz również i nie najgorszy. - Uśmiechnął się do niej. - Gdyby to ode mnie zależało, zaryzykowałbym i przyznałbym ci tę pożyczkę. Niestety, ja to tylko opiniuję. O wszystkim decyduje Rada Nadzorcza, która zbiera się dopiero dwunastego.

- Dopiero dwunastego?! - przeraziła się Tina. - A więc do ostatniej chwili nic nie będę wiedziała. Przecież piętnastego o północy upływa termin, do którego muszę wpłacić pieniądze Urzędowi Skarbowemu.

- Wiem. Bardzo mi przykro, ale naprawdę nic na to nie mogę poradzić. Musimy teraz wypełnić formularz aplikacyjny, ja go zaopiniuję, ale decyzja naprawdę nie należy do mnie. Mam związane ręce. Natomiast gdy uda się to przepchnąć przez Radę, to czek będę ci mógł wypisać od ręki. Ale nic się nie da załatwić przed dwunastym.

Tina poczuła się tak, jakby nad jej głową zawisła czarna chmura. Czy wszystko sprzysięgło się przeciwko niej?

- No trudno - poddała się. - Nie mam innego wyjścia, A co będzie, jeżeli nie dostanę tej pożyczki? Rozumiem, że jeśli nie zapłacę do piętnastego, to doliczą mi po prostu do zaległości następną karę za zwłokę.

Nate otworzył szufladę i wyjął z niej formularz.

- To zależy - powiedział bez specjalnych emocji. - Zależy w wielkiej mierze od urzędnika, który się tą twoją sprawą zajmuje. W zasadzie Urząd Skarbowy ma prawo skonfiskować ci wszystko, co wedle ich wyceny zaspokoi ich roszczenia.

Po kilku minutach było już po wszystkim. Stała przed bankiem oszołomiona i starała się zebrać myśli. A więc wystąpiła o pożyczkę w wysokości ośmiu tysięcy dolarów. Połowa tej kwoty ma zostać spłacona ze sprzedaży kukurydzy i reszty bydła, połowa zaś ze sprzedaży bawełny. Nie będą nad nią wisały miesięczne raty, a więc może spokojnie rozejrzeć się za odpowiednią pracą. Gdyby nie wywiązała się ze swych płatności, bank stanie się szczęśliwym posiadaczem jej dzipa[^] furgonetki, ciągnika i maszyn rolniczych. Tina była dostatecznie inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że cały ten kontrakt możliwy był tylko dzięki temu, że wszystko działo się w małej, lokalnej społeczności - jakby „między sąsiadami”. Potężny bank w dużym mieście absolutnie nie zawracałby sobie głowy takimi interesami.

No tak... nie jest jednak w końcu pewne, czy dostanie tę pożyczkę. Poczciwy Nate zapewniał ją, że tak, ale ostatnio miała taką złą passę, że trudno się jej było zdobyć na optymizm. Jeśli wyjdzie z tego wszystkiego bez wrzodów żołądka, to i tak będzie cud.

Zdrowy rozsądek absolutnie nakazywał, aby szukać jakiegoś awaryjnego wyjścia na wypadek, gdyby pożyczka nie została przyznana. Czułaby się skończoną idiotką, nie zabezpieczając się w jakiś sposób na taką ewentualność. Należało więc zrzucić pychę z serca i wciągnąć w to jednak Becce. Wolałaby tego uniknąć, ale perspektywa, że będzie miała na karku Urząd Skarbowy, bardzo jej się nie podobała. Pojechała do domu i natychmiast do niej zadzwoniła.

- Hej, Tino! - odpowiedziała siostra do słuchawki. - Chodziło mi po głowie, żeby do ciebie zadzwonić. Co z tym... Russellem? Nie zrobiłaś, mam nadzieję, niczego pochopnego?

- Nie - odparła Tina, nie wdając się w żadne wyjaśnienia.
- Słuchaj, Becco, wybieram się do miasta. Czy mogę do ciebie wpaść?

Umówiła się z siostrą, napisała kilka słów do Jake'a i po pięciu minutach wsiadła z powrotem do furgonetki; zawróciła i odjechała w kierunku szosy. W domu nie było nikogo, kto mógłby odebrać telefon, który odezwał się tuż po jej wyjściu i dzwonił teraz bez przerwy.

Plan Tiny był prosty. Zamierzała opowiedzieć siostrze całą historię o zaległościach podatkowych ojca i wyjaśnić, że wystąpiła o pożyczkę, która umożliwi ich pokrycie. Miała cichą nadzieję, że przerwie jej ona w tym momencie i powie coś takiego: „Daj sobie spokój z bankiem! Weź pieniądze ode mnie. Oddasz mi je wtedy, kiedy będziesz mogła”.

Gdyby jednak tak nie zrobiła - co również było możliwe - to wówczas Tina zamierzała powiedzieć jej mniej więcej tyle: „Jeżeli nie dostanę tego kredytu, to mam nadzieję, że pożyczysz mi pieniądze. Zwrócę ci je w tym samym terminie, w jakim zwracałabym pożyczkę bankową”. W końcu... w takiej formie nie zabrzmiałoby to chyba jak jakaś żebranka.

Becca od początku miała jakąś nieszczególną minę. Zaprosiła Tinie kawę, którą zamówiła przez okienko do serwowania posiłków otwierające się na stronę kuchni, po czym czekając, aż zjawi się służąca, głęboko się zamyśliła. Tina zauważyła, że coś musiało ją wcześniej wyjątkowo zirytować. Pech mnie nie opuszcza - pomyślała. - Siostrzyczka nie wygląda na osobę skłoną do inicjatyw charytatywnych.

Nie wypadało zaczynać od pieniędzy, zadała więc grzecznościowe pytania:

- Jak dzieci?

- Świetnie.
- A Derek?
- O nim wolałabym dziś nie mówić - prychnęła ze złym błyskiem w oku.

- Przykro mi. Ale... w każdym małżeństwie zdarzają się jakieś nieporozumienia. Wiesz, jak to jest...

- To nie chodzi o nieporozumienia między nami. O coś znacznie gorszego. Derek wygląda na dorosłego mężczyznę, a wobec własnego ojca zachowuje się jak gówniarz. Tatusь powie, że ma być tak a tak - i to jest święte.

Tina nie miała najmniejszego pojęcia, o co chodzi siostrze. Jednak było dla niej jasne, że w klanie Jenningsów musiało się wydarzyć coś takiego, co absolutnie wyprowadziło ją z równowagi. Becca potrafiła na ogół całkowicie ignorować wszystko, co nie było po jej myśli - nie przyjmować tego po prostu do wiadomości. Tym razem jednak taka strategia najwyraźniej zawiodła. Zdarzyło się coś na tyle nieprzyjemnego, że nie potrafiła negować realności tego, co się stało.

Opowiedziała jej o wszystkim dopiero wtedy⁴ gdy służąca przyniosła kawę i oddaliła się na tyle, by nic nie usłyszeć.

- Milton wezwał wczoraj swoje drogie dzieci na dywanik

- zaczęła takim tonem, jakby była pewna, że Tinę to pasjonuje.

- Na dywanik? - powtórzyła bez przekonania siostra.

Te „dzieci” to był Derek, jego młodszy brat i starsza siostra. Dwie ostatnie osoby znała z widzenia, a z Miltonem Jenningsem, seniorem rodu, zamieniła zapewne nie więcej niż trzy zdania.

- Milton zakomunikował im, że wszyscy musimy nieco zacisnąć pasa. Stwierdził, że jego dzieci i ich współmałżonkowie absolutnie żyją ponad stan. I wyszło wreszcie na jaw, że my nie żyjemy z normalnej pensji. Wyobrażasz sobie?! Do-

stajemy od „tatusia” pewną ustalaną przez niego arbitralnie kwotę. Coś w rodzaju kieszonkowego. Aktualnie obcięto nam tę sumę do dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie. I ani centa więcej. Powiedziałam oczywiście Derekowi, co o tym myślę. Gdy wychodził dziś rano z domu, nie był zdaje się ze mnie specjalnie zadowolony. Ale ja również nie mam powodów do radości.

Tina poczuła okropny ucisk w żołądku. W milczeniu przyglądała się siostrze. Becca pochyliła się ku niej i zaczęła gestykulować, coraz bardziej wzburzona.

- Nie masz pojęcia, ile kosztuje prowadzenie tego domu. Przecież nie możemy pozwalać się jedynie zapraszać na przyjęcia. Wypada, aby również samemu je wydawać. Nie mogę pokazywać się ludziom jak czupiradło. Potrzebuję czasem włożyć na siebie coś nowego.

Tina odstawiła kubek i masowała sobie skronie. Becca nie przestawała wyrzekać. Poinformowała siostrę, ile wynosi czesne w prywatnych szkołach, do których chodzą ich dzieci, ile płaci służącej i ogrodnikowi, ile kosztują lekcje tenisa i jaka dokładnie jest miesięczna składka na country-club. Tina starała się robić dobrą minę do złej gry, ale zamiast współczuć siostrze, była przede wszystkim zdumiona. Jakoś nie mieściło jej się w głowie, że są ludzie, którzy żyją w ten sposób, i że właśnie jej siostra również do nich należy.

Gdy wreszcie tamta spytała ją, jaki jest konkretny cel jej wizyty, odparła, że przyszła tak sobie. Bez żadnego celu... i że właściwie, to chyba musi już iść.

Zwykle, gdy była już w Amarillo, odwiedzała za jednym zamachem Tima, ale tym razem była w tak podłym nastroju, że zrezygnowała z tego. Bała się, że może zarazić go złym humorem. Wsiadła więc do furgonetki i pojechała prosto

do domu. Dziesięć tysięcy dolarów! Dla niej była to bająńska suma, ale jej siostra najwyraźniej zdążyła się przyzwyczaić do znacznie większych wydatków. Tak czy inaczej, awaryjny plan zawiódł na całej linii i teraz była całkowicie na łasce lub niełasce banku.

Gdy weszła do kuchni, Jake kończył właśnie spóźniony lunch.

- Biedaku! - powiedziała z kwaśnym uśmiechem. - Który to już dzień spędzasz na kanapkach?

- Nie przejmuj się. Bardzo lubię kanapki.

- Przygotuję przyzwoitą kolację. Masz jakieś wiadomości od Ruby? - spytała.

Sięgnęła do kredensu po szklanę. Jake wstał, by odstawić swój talerzyk i w ten sposób spotkali się w pobliżu zlewozmywaka.

- Ostatni raz rozmawiałem z nią w czwartek. Wydaje mi się, że przed chwilą słyszałem z podwórka, jak dzwonił telefon, ale zanim się tu przyczłapałem, to ten ktoś się rozłączył.

- Jake spojrzał na nią z wyraźną troską w oczach. - Co cię gryzie, Tino? - zagadnął ją serdecznie.

- Nic takiego... Znaczący... wiesz, to co zwykle. Tatuś i wszystko, co się z nim wiąże... A dlaczego pytasz?

Wyciągnął rękę i szorstkim kciukiem potarł zmarszczkę pomiędzy jej brwiami.

- Kto by to pomyślał! Uważaj, bo któregoś dnia już ci się nie wygładzi.

- Wiem. Zawsze mi mówiłeś, że się zanadto martwię.

Jake udał się z powrotem do pracy, a ona zaczęła szukać czegoś do zjedzenia. Okazało się, że lodówka jest prawie pusta. Czekala ją wycieczka do supermarketu, a to

oznaczało kolejny wydatek. Zawsze była oszczędna, ale teraz stawała się istnym dusigroszem. Znalazła w końcu jakąś zupe w puszcze i zdecydowała, że to powinno jej wystarczyć na lunch.

Po skończonym posiłku wepchnęła stertę ubrań do pralki automatycznej i kiedy sadowiła się na sofie w salonie, u drzwi frontowych odezwał się dzwonek. Ten dźwięk był na tyle niezwykły, że niemal ją przestraszył. Prawie wszyscy korzystali z kuchennych drzwi. Nagle zaświtało jej w głowie, że może to Oscar Stilwell. Był tu kilka razy i zawsze wchodził do nich od frontu.

Natychmiast pośpieszyła ku drzwiom, modląc się w duchu o to, by pośrednik przyprowadził ze sobą kogoś, kto natychmiast zakocha się w tym miejscu. Otworzyła z rozmachem drzwi i jej nadzieje natychmiast się rozwiały,

W progu, z rękami wspartymi niedbale na biodrach, stał Paul. Z kącika ust zwieszały mu się okulary słoneczne. Był nadzwyczaj przystojny... a poza tym wszystko, co miał na sobie, obwieszczało światu, że jest człowiekiem sukcesu. Tina zerknęła ponad jego ramieniem i dostrzegła wóz, którym przyjechał. Nie bardzo znała się na markach samochodów, ale zauważyła, że jest on lśniący, wymuskany i nader ekstrawagancki. Bardzo nie w porę była ta jego wizyta. Absolutnie nie miała ochoty na jakieś scysje.

- Co cię tu sprowadza?

- Dlaczego za każdym razem zaczynasz od tego samego pytania? Grzeczność nakazywałaby raczej zaprosić mnie najpierw do środka.

- A... proszę, wejdz. - Tina cofnęła się o krok, robiąc mu miejsce w drzwiach.

- Dziękuję - powiedział.

Przesunął się koło niej, zatrzymał na moment i przelotnie pocałował ją w czoło.

Zamknęła drzwi i podążyła za nim do salonu.

- Masz ochotę się czegoś napić? - spytała.

- Nie, dziękuję.

- No to... siadaj, proszę.

- Najpierw ty usiądź.

Przeszła przez pokój i usiadła w starym fotelu Tima. Właściwie zapadła się w niego - tak miał sfatygowane sprężyny. Paul usiadł na sofie, prezentując jej jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów.

- No właśnie. Teraz możesz już spytać, co mnie tu sprawadza.

- A więc co?

- Przyjechałem do Amarillo, aby rozmówić się z kolegą, który proponuje mi tu pracę. Mam nadzieję, że... w końcu czytasz jednak moje listy.

- Tak. Oczywiście, że czytam. Miałam nawet zamiar ci odpowiedzieć, ale... tyle spraw nagle zważyło mi się na głowę...

- Rozumiem, że musiałaś wreszcie oddać Tima do jakiegoś zakładu.

A więc gorąca linia między Beccą a nim nadal funkcjonuje - pomyślała Tina. Ciekawe, czy powiedziała mu również o Russellu. Chyba jednak nie, gdyż chciała zapewne uniknąć wszystkiego, co mogłoby go zrazić. Paul był uparty, ale nie do tego stopnia, by ryzykować, iż zostanie odrzucony na rzecz kogoś innego.

- Owszem. Udało mi się znaleźć zakład znacznie lepszy, niż się spodziewałam.

- Więc jest on również i drogi.

- Tak. Stosunkowo drogi.
- Tino, naprawdę chciałbym ci pomóc. Proszę cię, zgódź się na to! - mówił z coraz większą pasją. - Gdy się rozdzieliśmy, nie wzięłaś ode mnie złamanego szeląga i zawsze parzywie się z tego powodu czułem. Podejrzewam zresztą, kochanie, że o to ci dokładnie chodziło. Wszystko jedno, ważne jest, abyś teraz zechciała coś ode mnie przyjąć. Suma nie ma znaczenia. Wystarczy, że ją wymienisz. I nie próbuj mi wmawiać, że nie są ci teraz potrzebne pieniądze.

Tina przyglądała mu się ze zdumieniem.

- Nie rozumiem cię, Paul. To ma być lekarstwo na twoje wyrzuty sumienia?

- Może. Możesz to i tak nazwać.

Tina zamarła na chwilę. Nie była w stanie odpędzić natrętnej myśli, że wystarczy otworzyć usta i najgorszy z jej kłopotów będzie już poza nią. A w dodatku... suma, która jest jej potrzebna, dla Paula nie stanowi żadnego problemu, mogłaby mu się wydać nawet śmieszna. A czy w końcu nie należy jej się jakieś odszkodowanie za... moralne straty, jakie poniosła? Tak to się chyba w sądzie nazywa... Czy nie należy zrezygnować z fałszywych ambicji, poprosić go o pieniądze i zafundować sobie w ten sposób spokojny sen?

- Rozumiem, że wolałabyś uniknąć jakichkolwiek zobowiązań wobec mnie - odezwał się Paul.

- Oczywiście. Miałabym w ten sposób dług do spłacenia.

- O Boże! Jeśli się upierasz, to rzeczywiście potraktuj to jako pożyczkę. Oddasz mi za dziesięć, dwadzieścia lat. Albo wcale. Wszystko mi jedno. Pozwól mi raz w życiu zrobić dobry uczynek.

Jakie to wszystko wydaje się proste. Aż za proste. Nie dała się jednak nabrać. Było dla niej oczywiste, że przyjmując

pieniądze, zaciągnęłyby coś w rodzaju długu wdzięczności. Przede wszystkim zaś nie mogłyby wówczas wykreślić go na zawsze ze swego życia, W przeciwieństwie do wielu spraw, które nadal pozostawały otwarte, tutaj nie miała wątpliwości: jej związek z Pauliem należał bezpowrotnie do przeszłości.

- Dziękuję ci, Paul. - Z trudnością przełknęła ślinę. - Naprawdę nic od ciebie nie potrzebuję.

Ramiona opadły mu nagle, a z ust wydobył się zduszony śmiech.

- Zawsze byłaś taka sama. Zasady, zasady i zasady. Nie wierzę ci ani odrobinę, ale nie mogę cię zmusić do przyjęcia pieniędzy. Trudno się z tobą dogadać. - Wzruszył ramionami i wstał gwałtownie. - No cóż! Próbowałem, nie udało się. Pora jechać do miasta. Umówiłem się tam za godzinę.

Tina odprowadziła go do drzwi. W progu zatrzymali się oboje i przez chwilę nawzajem się sobie przyglądali.

- Więcej już nie będę ci się naprzykrzał - oświadczył Paul.

- Nie potraktowałam tego jako naprzykrzanie. A... tak przy okazji... powiedz jeszcze, czy weźmiesz w końcu tę pracę w Amarillo?

- Sam nie wiem, Tino. Naprawdę jeszcze nie wiem.

- No cóż... Tak czy inaczej, życzę ci powodzenia.

- Dziękuję. Uważaj na siebie.

- Do widzenia, Paul.

- Dowidzenia.

Po jego odjeździe jeszcze przez kilka minut stała oparta o drzwi, starając się uspokoić oddech. Otrząsnęła się w końcu i powędrowała do biura. Od tej pory nie wolno jej się użalać, że prześladuje ją pech. Miała pieniądze w zasięgu ręki i sama z nich zrezygnowała. Nie żałowała jednak tego. Właściwie

czuła się nadspodziewanie dobrze. Miała absolutną pewność, że gdyby je przyjęła, to jej samopoczucie byłoby teraz zdecydowanie gorsze.

W biurze było cicho i chłodno. Usiadła i zaczęła przeglądać pocztę. Nic pilnego w niej nie znalazła, sięgnęła więc po lokalną gazetę. Przejrzała pierwszą stronę, rzuciła okiem na prognozę pogody, po czym, jak zwykle, zaczęła czytać wiadomości lokalne. Nagle jej uwagę przykuł pewien nagłówek. Już pierwsze zdania sprawiły, że wstrzymała oddech i gwałtownym gestem przysłoniła dłonią usta. Skończyła czytać tekst, lecz po chwili wróciła do niego jeszcze raz.

- O Boże! - szepnęła.

Chwyciła telefon i drżącymi palcami zaczęła wybierać podany w gazecie numer.

- Cieszysz się dziś ze wszystkiego, jakbyś wygrała los na loterii - zauważył następnego dnia przy kolacji Jake.

- No... może nie na loterii. Ale rzeczywiście miałam pewien kłopot i jakimś cudem udało mi się z niego wybrnąć. Kiedyś ci wszystko opowiem - powiedziała wykrętnie Tina.

- To i dobrze. Chciałem wyskoczyć na chwilę do Leatrice. Nie będziesz się bała sama zostać? W razie czego możesz się zamknąć.

- Nie. Przecież wiesz, że się nie boję.

- To do zobaczenia.

Sprzątała kuchnię i bez przerwy, obsesyjnie myślała o tym, że w jej biurowym sejfie leży czek na dziesięć tysięcy dolarów. Rzeczywiście graniczyło to z cudem. Wszystko zaczęło się od tego artykułu w gazecie. To znaczy niezupełnie. Jakiś czas temu przeczytała gdzieś, że Bennett Cole pracuje nad kolejną książką, której akcja ma rozgrywać się w północ-

no-zachodniej enklawie Teksasu. Zdążyła już o tym zapomnieć i dopiero tamten anons w lokalnej gazecie przypomniał jej tamtą wiadomość.

Bennett Cole należał do najbardziej poczytnych autorów. Tina przeczytała wszystko, co dotąd napisał i była tym zachwycona. Jego specjalnością były długie, często ponad tysiącstronicowe sagi rodzinne, wielopokoleniowe opowieści, których zdążył już napisać kilkanaście. Każda jego powieść rzeka imponowała nie tylko objętością, lecz głównie tym, że oparta była zawsze na skrzętnie zbieranych przez autora materiałach źródłowych. I tego właśnie dotyczyła ta wczorajsza notka w gazecie. Informowała ona, że sławny pisarz obrał Amarillo jako bazę do zbierania dokumentacji potrzebnej mu do napisania kolejnej książki. Interesuje go wypożyczenie lub zakup wszelkich starych dokumentów, listów i zapisków rodzinnych. Podany był tam także numer telefonu, z którego natychmiast skorzystała.

Cole przybył na rancho punktualnie o dziesiątej w towarzystwie niejakiego pana Burdicka, którego przedstawił jako swego „asystenta i eksperta od wszystkiego”. Tina zaprowadziła ich na strych — wyjaśniając po prostu, że nie była w stanie znieść tego wszystkiego na dół. Obaj panowie usiedli na przygotowanych przez nią krzesłach i z pasją archeologów zaczęli przekopywać się przez sterty zapakowanych w kartony papierów.

Gdy po kilku godzinach zeszli na dół, Cole stwierdził, że to rodzinne archiwum Websterów przedstawia dla niego bezcenną wartość. Oszczędzi mu ono masę czasu, gdyż w zasadzie jest to wystarczający materiał na książkę. Wymienił sumę, na którą Tina - nie wierząc własnemu szczęściu - natych-

miast się zgodziła. A potem Burdick wypisał jej czek, a ona musiała jedynie podpisać oświadczenie stwierdzające, że zezwala Bennettowi Cole'owi na wykorzystanie tej dokumentacji w sposób, jaki uzna on za stosowny.

Obaj panowie załadowali własnoręcznie kartony do swojego mikrobusu, pożegnali się i odjechali. A Tina, z czukiem przyciśniętym do piersi, odtańczyła najpierw taniec radości, po czym natychmiast zadzwoniła do banku, aby poinformować Nate'a Lomaxa, że pożyczka nie jest już jej potrzebna.

Zatelefonowała do Fairhope i dowiedziała się od dyżurnej recepcjonistki, że z ojcem jest wszystko w porządku. Następnie zaparzyła sobie mocną kawę, a ponieważ do zachodu słońca pozostał jeszcze mniej więcej kwadrans, postanowiła uczcić ten szczęśliwy dzień i wypić ją na ganku. Dni były już krótsze, ale oglądany z tego miejsca wieczorny spektakl tak samo piękny jak w lecie. Nie była jednak odprężona; nadal dręczył ją jakiś wewnętrzny niepokój. Szybko zdała sobie sprawę, że dzieje się tak za sprawą Russella. W ostatnich dniach te perypetie z pieniędzmi absorbowały ją do tego stopnia, że jej główne zmartwienie odsunięte zostało jakby na dalszy plan. Teraz zaś znowu powróciło.

Próbowała sobie tłumaczyć, że jego nieobecność musi po prostu potrwać dłużej. W końcu pojechał obejrzeć kraję, o której myślał przez tyle lat. Mówił jej przecież, że za każdym zakrętem drogi pojawia się tam niespodzianka. A na obejrzenie tych wszystkich cudowności potrzeba dużo czasu, nie j akis tam tydzień.

Mimo niepokoju, intuicja podpowiadała jej, że zrobiła słusznie, namawiając go, by tam pojechał. Nagle przypomniało jej się coś, co przeczytała bardzo dawno temu, chyba jesz-

cze jako dziecko: „Niczego, co kochasz, nie trzymaj w klatce, gdy samo powróci, powróci na zawsze”. Chyba tak brzmiał ten dwuwiersz. Albo bardzo podobnie. I tak właśnie postąpiła z Russellem. To było najmądrzejsze wyjście. Szkoda tylko, że ta świadomość nie była w stanie ukoić tęsknoty. Szczególnie wieczorem, gdy wchodziła do swego pustego łóżka.

Przestała już zadrećcać się pytaniami o to, co pocznie ze sobą, jeśli on nie wróci. Będzie po prostu żyć dalej i dawać sobie jakoś radę. Ale tęsknić będzie za nim do końca swych dni. Tego była pewna.

Siedząc tak nad wystygłą kawą i wpatrując się w bezkresne pastwiska, straciła jakby na chwilę poczucie czasu. Dopiero warkot podjeżdżającego od strony szosy samochodu kazał jej spojrzeć na zegarek. Zdziwiła się, że Jake wrócił z miasta wcześniej niż zwykle. Wylała resztkę kawy na ziemię, postawiła kubek obok siebie, objęła dłońmi kolana i czekała, aż się pojawi na ganku.

Zobaczyła wynurzającą się zza węgła domu sylwetkę. To nie był Jake. Skoczyła na równe nogi.

- Russell!

Za sekundę znalazła się w jego ramionach. A więc jednak wrócił! Słowa powitania zastąpił im długi, namiętny pocałunek. Dopiero po długiej chwili Russell cofnął się o krok i spojrzał na nią z troską i niepokojem.

- Nic złego ci się nie stało?

- Nie. Czuję się świetnie.

- Bogu dzięki! - westchnął z ulgą.

Wyraźnie się uspokoił.

- Co takiego się stało, kochany?

- Będziesz pewnie myślała, że mam nie po kolei w głowie... - powiedział z niepewnym uśmiechem. - To się stało

trzy dni temu. Obudziłem się nagle z takim okropnym prze-
czuciem, że masz jakieś kłopoty. To nie miało nic wspólnego
z logicznym myśleniem; po prostu taki straszny niepokój.
Próbowałem się natychmiast do ciebie dodzwonić. A gdy mi
się to nie udało, wrzuciłem graty do bagażnika i jak wariat
ruszyłem z powrotem.

Tina zmarszczyła brwi. Trzy dni temu była niedziela. Jake
pojechał zobaczyć się z żoną i córką, a ona była rano w Leatri-
ce.

- A potem już... nic tylko jechałem jak szalony - cią-
nęła dalej Russell. - Wczoraj znowu dzwoniłem i znowu
nikt nie odpowiadał. Po paru godzinach próbowałem jesz-
cze raz, też bez rezultatu. Strasznie się bałem, że przydarzyło
ci się coś złego. Jakaś choroba albo wypadek. - Poglaskał jej
plecy, chcąc jakby sprawdzić, że naprawdę nic się z nią złego
nie stało. - Rzeczywiście wszystko jest w porządku? Żadnych
kłopotów?

Tina uśmiechnęła się do niego z czułością. Postanowiła,
że opowie mu o swych kłopotach za dzień lub dwa, ale nie
teraz, kiedy mają tyle radosnych spraw do obgadania.

- Wszystko się ułożyło wspaniale. Sto razy lepiej niż
przed twoim odjazdem. Po prostu dlatego, że wróciłeś.

- Mam nadzieję, iż ani przez chwilę nie wątpiałś w to, że
wrócę?

- Widziałeś północne wybrzeże?

- Tak. Jest cudowne. Wydało mi się tak samo cudowne,
jak za pierwszym razem. Tylko teraz ani przez chwilę nie
przyszło mi do głowy, aby tam zostać. Bez ciebie na co by mi
się zdały te piękne, wiktoriańskie miasteczka, olbrzymie se-
kwoje, ustronne plażę... Kiedyś zabiorę cię tam i pokażę ci to
wszystko. Ale teraz... Teraz zostaniemy tu... Póki ktoś tu nas
potrzebuje.

Tina ujęła jego dłoń i zaczęła ją pieścić.

- Głodny jesteś?
- Głodny. I spragniony. Ale przede wszystkim ciebie.
- To dobrze trafiłeś. W samą porę. - Pociągnęła go za rękę w głąb domu.

RS

Następnego ranka Tina, Russell i Jake siedzieli właśnie przy śniadaniu, gdy nagle otworzyły się drzwi i do kuchni wkroczyła Ruby.

- Jak się cieszę! - powitała ją radośnie Tina.
 - Hej, żabciu! Czemu tak wcześnie przyjechałaś? - spytał żonę Jake.
 - Connie wreszcie załatwiła do końca tę adopcję. Dlatego też natychmiast tu wróciłam i nie mam zamiaru się stąd ruszyć, dopóki nie wyrzuci mnie nowy właściciel.
- Audytoryum wydało z siebie pomruk zdziwienia.

- Myślałam, że... No wiesz, myślałam, że Connie... -
zaczęła Tina i zamilkła w pół zdania.

Ruby rzuciła torebkę na krzesło i zdjęła wiszącą na kolku przy drzwiach fartuch.

- Słuchajcie, ludzie! - zwróciła się do siedzących przy stole. - Nauczyłam się ważnej rzeczy, wychowywaniem dzieci należy się zajmować wtedy, gdy jest się młodym. Nie mam już na to zdrowia. Ta trójka mało mnie nie wykończyła. Connie zachciało się dzieciaków, to niech się z nimi męczy. Od czasu do czasu mogę jej pomóc, ale na pewno nie na cały etat. Co to, to nie!

Jake uderzył dłonią w stół i zachichotał radośnie.

- Racja, zabciu! Brawo!

Ruby zwróciła się teraz do Russella. Nie sprawiała wrażenia zdziwionej tym, że go tu widzi.

- A co z tobą?... Na stałe już wróciłeś?

- No pewnie - odrzekł z uśmiechem. - Końmi mnie już stąd nie wyciągną.

- Ruby! Siądź, proszę, z nami - zaprosiła ją do stołu Tina. Jej oczy lśniły radością. - Jeśli tak, to... Mam pewien pomysł i chciałabym, abyśmy wspólnie się nad tym zastanowili. Akurat jest po temu okazja.

Cała trójka utkwiała w niej wzrok. Tina poprawiła się na krześle i wsparła się łokciami o stół.

- Jak zdążyliśmy się przekonać, kupcy jakoś nie biją się o pierwszeństwo do nabycia tego rancza. Zbliżają się żniwa, a sytuacja na rynku wygląda nie najgorzej. Nie jesteśmy zadłużeni, istnieje więc szansa, że zostanie nam jakiś kapitał inwestycyjny na... przyszły rok.

Badawczo przyjrzała się słuchaczom. Nikt się nie zachnął, nikt nie zaprotestował. Wymienili między sobą kilka spoj-

rzeń, po czym znowu skierowali na nią wzrok. Odkasznęła i zaczęła mówić dalej:

- Chodzi mi od pewnego czasu po głowie, by ranczo Websterów doczekało... i przeżyło następny rok. Gdybyśmy jednak wspólnie zdecydowali się go prowadzić, to już nie na takich zasadach jak dotąd. Taką vegetacją nastawiona na przetrwanie, przy założonym z góry zerowym zysku, już mnie nie interesuje. Miałoby to dla mnie sens tylko wtedy, gdybyśmy rozwinęli interes i doprowadzili go do takiego przynajmniej stanu, w jakim się znajdował pod zarządem tatusia. Myślę, że należałoby w tym celu zwiększyć uprawę bawełny i pszenicy. Być może zrezygnować zupełnie z kukurydzy. Być może starać się powoli wymienić inwentarz żywy. Oczywiście bardzo ostrożnie, gdyż wszyscy wiemy, jak drogie są sztuki zarodowe. No i w przypadku, gdybyśmy powiększyli areał pszenicy, należałoby skalkulować, czy dalsze wynajmowanie kombajnów nie kosztuje więcej niż zakup jednego lub dwóch własnych.

Tina tak dokładnie nie wiedziała, kiedy zaczęła o tym poważnie myśleć. Sama idea kielkowała w niej chyba już od tygodni. Za dużo było jednak wówczas niewiadomych i teraz dopiero wszystko stało się realne i możliwe. I wreszcie wczoraj, gdy szczęśliwa i nasycona leżała w ramionach Russella, nie mogąc usnąć, zaczęła zadawać sobie szereg pytań: Czy rzeczywiście zależy jej na pracy w Amarillo? Czy chciałaby pracować od dziewiątej do piątej, pięć razy w tygodniu, z wyrętu co drugi piątek itd.? Przecież Russell przez całe lata też przywykł do jakiejś niezależności. Ciekawe, jak by się czuł, nastawiając co wieczór budzik? A może lepiej byłoby pracować na swoim? Zbudować coś, co można by potem przekazać następnemu pokoleniu. No bo... jeżeli spełnią się ich nadzieje, to następne pokolenie zagości przecież na tym świecie.

- Wiem, oczywiście, że istnieje również odwrotna strona medalu - ciągnęła dalej. - Kaprysy pogody, stałe wahania koniunktury rynkowej, kłopoty z siłą roboczą, kregosłup Jake'a...

- Hola, hola! - przerwał jej zainteresowany. - Od czasu do czasu daje mi się we znaki, ale kaleką jeszcze nie jestem. I długo nie będę. Swoje robić mogę. A jak nie będę mógł, to od czego mamy Russella?

Jake na pewno będzie za tym, by nadal prowadzić ranczo. Tina z góry o tym wiedziała. Zupełnie natomiast nie wiedziała, co na to powie Russell. Nie trzeba było specjalnej inteligencji, by zorientować się, jaki miał na początku stosunek do pracy na roli. I nie jest wykluczone, że w istotnym stopniu go nie zmienił.

- A jakie jest twoje zdanie? - zwróciła się do niego. - To naprawdę musi być wspólna decyzja.

Jakie to wszystko razem dziwne! Jeszcze kilka tygodni temu praca na ranczu wydawała mu się niewiele bardziej atrakcyjna niż praca w kamieniołomach, ale ostatnio, będąc już w Kalifornii, potrafił nawet za nią tęsknić. Oczywiście, głównie tęsknił za Tiną, ale brakowało mu również Jake'a, Ruby, domu, ziemi. Czy to, o czym marzył dotąd, nadal było realne? A może coś nowego stało się już przedmiotem jego marzeń?

Zatopiony w myślach, potarł dłonią policzek. Wiedział, że jeśli zostaną na tym ranczu, to nigdy nie wyjadą razem do Kalifornii. Co najwyżej kiedyś, gdy będą już starzy. Ale dom zawsze będzie już tutaj i Dzwonne, ale jakoś mu to nie przeszkadzało.

- Jestem za tym, żeby zatrzymać ranczo - oznajmił.

Tina usiadła głębiej na krześle. Uśmiechała się i widać było, jak bardzo jest zadowolona.

- Ostatnie dwa lata poświęciłam wyłącznie opiece nad tatusiem. Ale nadal jestem zdrowa, młoda i silna. Będę mogła robić wiele rzeczy, których dotąd, z braku czasu, nie mogłam. Ale, niezależnie od tego, musimy wynająć ludzi. To jest absolutnie konieczne. Tego, na czym mi zależy, nie są w stanie zrobić cztery osoby. Porozysłałam ogłoszenia na setki mil dookoła. Może szczęście się do nas uśmiechnie. Zobaczymy.

- Wiesz, co lepiej zrób? - przerwał jej Jake. - Wyjdź za - mąż za Russella i urodź jak najszybciej parę dzieciaków. Co to za farma bez dzieciaka? Ani się obejrzyysz, a zaczną już pomagać.

Tina spojrzała na Ruby.

- A jakby tak... Alejandro?-spytała.

- Może to i dobry pomysł - przyznała Ruby. - W wakacje, święta, weekendy. Może by mu dobrze zrobiło, jakby sobie popracował trochę z mężczyznami. Pogadam o tym z Connie.

Tina jeszcze raz spojrzała na nich po kolei.

- No to jak? Chcecie, żebym wycofała ofertę sprzedaży? Cała trójka w milczeniu skinęła głowami.

Tina i Russell pobrali się w dwa tygodnie później. Ślub odbył się w kaplicy w Fairhope - miejscu trochę po temu niezwykłym. Tina nie wyobrażała sobie tej ceremonii bez udziału ojca, mimo iż zapewne nie zdawał on sobie sprawy z powagi tego wydarzenia. Russellowi udało się ubrać Tima na tę okazję w garnitur, który co prawda jakoś smutno na nim wisiął, ale Tina i tak uważała, że prezentuje się świetnie.

Skromny ślub zupełnie nieoczekiwanie przeistoczył się w huczne, lokalne święto. Przybyli na nie wszyscy mogący chodzić pensjonariusze zakładu. Jake, pełniący rolę drużby,

rozśmieszył Tinę do łez. Po raz pierwszy w życiu widziała go w krawacie. Wyglądał w nim jak jakiś bankier, ale co z tego, kiedy nie wytrzymał i zerwał go z szyi w chwilę potem, gdy państwo młodzi wymienili obrączki.

Z przyjęcia, na którym podano poncz i ciastka, państwo młodzi wymknęli się wcześniej, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Tina zatrzymała się tylko na moment i upuściła swój ślubny bukiet na kolana przepięknie wystrojonej Berthy McCorkle.

RS